

Fantastyka NAJLEPSZE KSIĄŻKI NA ŚWIECIE
PRAWDOPODOBNIĘ



DZIECI
DEMONÓW

J. M. McDERMOTT

Prószyński i S-ka

J. M. McDermott

DZIECI DEMONÓW

(NEVER KNEW ANOTHER)

(CZĘŚĆ I)

(TRYLOGII PSIA ZIEMIA)

Przełożył Kamil Lesiew



Prószyński i S-ka

Wydawnictwo: Prószyński i S-ka 2012

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

Ludziom, którzy dbali o mnie podczas pracy nad książką i którzy wciąż o mnie dbają.

Matce, Ojcu, Bratu, Siostrze – Wam wszystkim ją dedykuję.

ROZDZIAŁ I

Mój mąż i ja umieściliśmy głowę z ciała, które znaleźliśmy, na wysokiej skale, gdzie zawsze będzie na nią padało światło słońca i księżyca. Za życia nosił mundur ludzi króla, lecz wśród przodków miał demona i splamił ziemię w miejscu, gdzie umarł. Mój mąż i ja modliliśmy się nad tą głową do bogini Erin i unosiliśmy oczy ku niebu, ku niej. Pościliśmy i pościliśmy, cały dzień. Piliśmy jedynie wodę, gdy księżyc wyłonił się zza chmur. Modliliśmy się i modliliśmy. W półmroku poranka Erin zesłała mi wizję. Zawylałam z bólu. Gdzie jest moje ciało?! – wrzasnęła czaszka. Gdzie jest Rachel?!

On i Rachel się kochali. Ona go porzuciła. On umarł, goniąc ją. Zapytałam męża, czy umarłby dla mnie. Powiedział, że nie. Jona powiedziałby to samo, aż do chwili, gdy uświadomił sobie, co zrobił.

Jego umysł był teraz moim. Mogłabym przetrząsnąć jego wspomnienia, gdybym wiedziała, czego szukać, wniknąć w życie ludzi wokół niego, tak jak on ich znał. Mogłam przeniknąć swoimi oczami do jego świata. Ręka jego ludzkiej matki na jego twarzy, jego dni i bezsenne noce, jego wielka miłość, to wszystko unosiło się na powierzchni świata. Wejrzałam w lesiste wzgórza, widząc, któredy chodził pośród nich – jak widział mój dom i jak tęsknił za własnym.

Mąż dotknął mojej ręki. Nawet gdy byliśmy ludźmi, mówiliśmy do siebie pod postacią wilków. Jakiś trop?

Jego matka była człowiekiem. Jego ojca już nie ma. Żyje jeszcze jedno dziecko demona. Nie, dwoje dzieci.

A więc do jego miasta, by chodzić za jego wspomnieniami. Nasienie Elishty musi zostać doszczętnie wypalone, nieważne, kim jest ani kim było.

Ci zrodzeni z takiej krwi plugawią życie na każdym kroku.

Jak on się nazywał?

Jona. Jest jeszcze dwoje – Rachel Nolander i... Drugie imię mam na końcu języka.

Oni mogą nas doprowadzić do reszty. Nie spiesz się. Przypomnisz sobie to imię. Wszystko sobie przypomnisz.



Mój mąż i ja znaleźliśmy ciało opodal niewysokiego klifu. Najpierw je poczuliliśmy, coś wypaliło dziurę w zapachu słoneczników. Potem zobaczyliśmy – leżało twarzą do ziemi, do połowy zagrzebane w błocie, sztywne i zimne.

Wszystko co żywe umarło tam, gdzie rozlała się skażona krew. Małe czerwone grzyby, śmiertelnie trujące, wyrosły tam niczym kurzajki. To trujące ciało miało na sobie mundur ludzi króla.

Mój mąż zmarszczył czoło. Ostatnim razem był tylko jeden. Nie miał braci ani sióstr. W miarę poszukiwań tych dwoje pozostałych może zaprowadzić nas do kolejnych.

Mój ukochany odnalazł jednego dawno temu, gdy był młody, a ja jeszcze się nie urodziłam. Po tym, jak go zabił, przez wiele miesięcy chorował z powodu trucizny we krwi tego człowieka. Wypaliła mu wszystkie włosy na głowie. Patrząc na niego i nie potrafię go sobie wyobrazić bez długich srebrnych włosów spadających na plecy.

Opowiadał mi historie ze wspomnień tego demona, o życiu wiedzionym w ukryciu, w zaułkach miasta i na górskich zboczach. Ten czort zjawiał się w mieście tylko po to, by kraść klatki z gołębiami i małe gołąbki. Lubił ptaszki, lubił obserwować, jak latają. Gdy go znaleziono, wszystkie jego ptaki trzeba było zabić i spalić. Nie można było pozwolić, by jastrzębie i

koty złapały je i rozniosły zarazę ze spoconych dłoni demona głaszczących gołębie pióra.

Dzieci demonów nie pojawiały się już często. Bezimiennych Elishty zapędzono głęboko pod ziemię, gdzie nie mogli płodzić dzieci z ludzkimi matkami. Tego znaleźliśmy już jako dorosłego mężczyznę, martwego na ziemi, niczym pamiątkę dawno minionych czasów. Oderwaliśmy głowę od reszty ciała za pomocą grubego rzemienia. Musieliśmy uważać, by nasza skóra nie zetknęła się z jego krwią. Umieściliśmy głowę na wysokiej skale w pełnym świetle słońca i księżyca, a Erin obdarzyła mnie umysłem demonowego pomiotu.



Mój mąż i ja narzuciliśmy na siebie wilcze skóry, gdy powróciliśmy na miejsce znalezienia ciała. Z nosami przy ziemi węszyliśmy wszędzie dookoła, szukając śladów, które pobudziłyby moją świadomość – inne ciało, zgubione narzędzie albo coś cennego, czyjś zapach, jakikolwiek ślad budzący wspomnienia Jony. Zapach Rachel był dla niego wszystkim. Jej trop wiódł na północ, wciąż na północ. Tutaj nie znaleźliśmy już nic innego. On nie był z lasów, jak my.

Mrówki nie mają dusz, które mogłyby stracić. Im oddaliśmy skażoną głowę. Wsadziliśmy dwie czerwone królowe w jej rozdziawione usta i pobłogosławiliśmy obydwie, by przyspieszyć narodziny ich głodnych córek. Gdy pozostaną nagie kości, wokół zasadzimy wytrzymałe mniszki, by wchłonęły najgorszą część jadu z ziemi. Zbierzemy pierwsze pokolenie mniszków, nim rozprzestrzenią swoje białe nasiona. Potem zasadzimy słoneczniki. Pierwsze wyrosną małe i pokryte kolcami, ale następne będą się miały lepiej. Kilka pokoleń później kwiatów nie trzeba będzie już palić.

Kiedyś słoneczniki tutaj znów będą wysokie jak człowiek i słodko pachnące.



Poprowadziliśmy naszą watahę wilczych braci na północ, wzdłuż drogi, tropiąc najeźdźców do krańca naszego terytorium, podążając za śladem Rachel. Zatrzymaliśmy się na skraju zdewastowanego pola. Czerwona dolina była granicą naszych ziem. To tutaj zakończyła się wojna. Śmiercionośna magia powstrzymała obie armie, a człowiek, który rzucił czar, lord Sabachthani, ogłosił zwycięstwo swojego miasta. Czar ten zniszczył całe życie wszędzie tam, gdzie rozlał się po ziemi. Zdmuchnięty piasek, barwy wyblakłej czerwieni przypominającej zaschniętą krew, zatruwał glebę na granicy królestw. Mój mąż i ja zatrzymaliśmy się na czerwonej linii granicznej doliny. Tutaj służyliśmy królestwu ludzi. Nie mogliśmy pobiec przez dolinę razem z wilkami. Wataha podąży dalej już bez nas, polując na północy. Mój mąż i ja jesteśmy Wędrowcami Erin, nie prawdziwymi wilkami. Musieliśmy zostać w tyle, by przeczesać wspomnienia Jony w poszukiwaniu symptomów skazy w tym królestwie. Żałosnym wyciem zegnaliśmy naszą wilczą brać i tuman kurzu wzbijany ich łapami. Nie mogliśmy opłakiwać ich odejścia. Mieliśmy ważne zadania, w imię Erin Błogosławionej. Mój mąż i ja zasadziliśmy nowe nasiona na obrzeżach piasku. Ścieliśmy rośliny, które obumarły, nim zdążyły rozkwitnąć. Posialiśmy trawę w czerwonym błocie, tam gdzie woda spływająca ze wzgórz stała w martwych piaskach. Ta zadawniona rana będzie musiała poczekać. Musimy znaleźć demonowy pomiot i nowe skazy na tych ziemiach, nietłumione przez wzgórze i czas.

Niedaleko stąd stała wieża strażnicza. Tutejsi ludzie króla byli uprzejmi, nic ponadto. Powiedzieli, że zanim znaleziono ciało, doszło do jakiejś

niewielkiej potyczki. Były ofiary. Te znalezione w pobliżu wieży odesłano do rodzin na pochówek i nikt nie zachorował od ich ciał. Tylko tyle wiedzieli. Młodzi mężczyźni, co do jednego, śmiertelnie znudzeni. Chcieli, żebyśmy sobie poszli, by mogli dalej grać w karty, rzucać kośćmi i wszczynać między sobą bójki. Nie byliśmy z ich świata. Zapytali, czego chcemy. Spełnili nasze prośby. Gdy odchodziliśmy, odwróciłam się i zobaczyłam, jak się garbią i pocierają szyje. Umysł Jony nie znał żadnego z tych mężczyzn. W mieście to się zmieni. Ludzie króla wzajemnie się znali.

Mrówki miały już wtedy dość czasu, by zrobić swoje. Wraz z mężem wróciliśmy do ogryzionych przez nie kości, by zabrać nagą czaszkę. Podniosłam ją delikatnie na kawałkach juty obwiązanych wokół dłoni. Umieściliśmy ją w wiklinowym kufrze.

Ściągnęłam resztki munduru z kości demona, by w razie czego dać miastu dowód jego proveniencji. Odzienie było mocno zniszczone przez demonową krew, ale zostało się dość, by było rozpoznawalne. Zanim się do tego zabrałam, owinęłam ręce żołnierskimi skórzanymi pasami. Wiedziałam, że zostałam skażona, ale nic nie poczułam. Uniosłam jego czaszkę do góry, obróciłam w dłoniach. Gdybym nie wiedziała, że należała do demonowego pomiotu, i gdybym nie czuła zapachu skazy, uznałabym ją za normalną ludzką. Prawie nie była zdeformowana. Widocznie dzieliło go kilka pokoleń od protoplasty. Ale wspomnienia wciąż tkwiły tam, gdzie dusza wtopiła się w demonową skazę w kościach. Muszę mieć ją blisko przy sobie, żeby dotrzeć do resztek jego świadomości.

Mundur również wsadziliśmy do kufra.

Mój mąż włożył kufer do worka. A worek do większej skrzyni z solidnej dębiny. A skrzynię umieścił na kawałkach grubej juty rozciągniętych między dwiema żerdziami. Zaciągniemy to z powrotem do miasta.

Po drodze owijaliśmy dłonie w nasączoną olejkami jutę, jakbyśmy zostali poparzeni. Namaszczaliśmy ręce świętym olejkiem każdego dnia, póki skaza nie znikła.

Miasto przycupnęło nad zatoką obok długiego półwyspu, który arystokraci przecięli kanałem, by utworzyć wyspę, odgradzając się od reszty mieszkańców. I któż mógłby ich winić? Wszędzie indziej cuchnęło gównem, dymem i rybami. Te tereny na stałym lądzie należą do naszej krainy, ale nigdy nie zapędzamy się tam bez powodu. Kościół Imama jest tam silniejszy niż nasz, a oni nie chcą, żeby wilki biegały po ulicach. W tym zadaniu dadzą nam wolną rękę – oczyścimy demonową skazę i zniszczymy wszystkich nosicieli, którzy jeszcze pozostali. Gdyby to oni znaleźli ciało, z chęcią sami by się tym zajęli, ale my byliśmy w tym lepsi. Możemy naciągnąć wilcze skóry na plecy i rozpocząć polowanie.

Mój mąż i ja nie chcieliśmy opuszczać lasów, lecz wzywały nas obowiązki. Zostawiliśmy więc kości demona pod opieką wilczych watah tego regionu, by w swej mądrości przez jakiś czas dbały o nie bez nas, lojalnych Wędrowców Erin Błogosławionej.



Moja matka, Wędrowiec z gór, opowiedziała mi o miastach na długo przed tym, nim w jakimś byłam. Powiedziała, że Erin Błogosławiona powierzyła wszystkim stworzeniom i roślinom trzy zadania: jeść, spać i kochać. Lecz przeklęła ludzkość, obdarzając ją inteligencją, i od tej pory żaden człowiek nie jadł spokojnie, nie spał spokojnie ani nie kochał z prostotą ryb. Większość zapomniała już o tej klątwie, pogrążona w tym, co uznają za naprawdę ważne, gdzieś w ich mieście, które dla nich jest naprawdę ważne. Dla nich klątwa, która oderwała ich od ziemi, stała się błogosławieństwem. Tacy są mężczyźni i kobiety budujący miasta.

Gdzie zaczyna się miasto? Gdzie się kończy?

Zanim wyszłam za mąż i zdecydowałam się na jedno królestwo i jedną watahę, sporo podróżowałam. Pewnego razu zobaczyłam bramę stojącą pośrodku łąki. Nic, jedynie trawa aż po horyzont. Ściągnęłam z pleców wilczą skórę, by przemienić się w młodą kobietę. Wstałam. Zapytałam strażnika, gdzie jest miasto, to miejsce, którego nigdzie nie widziałam i nigdzie nie czułam. A strażnik delikatnie odsunął mnie od siebie i powiedział, że miasto zaczyna się w miejscu, gdzie stoję.

Podróżowałam do różnych miast. Zwykle pozostawałam poza obrębem murów, włączając się na trasie teatr – tawerna – dom – park. Wszyscy napotkani nazywali siebie obywatelami, choć nikt z nich w życiu nie był wewnątrz murów własnego państwa.

Niegdyś przechodziłam przez miasto o siedemnastu murach, z których każdy kolejny coraz trudniej było pokonać, z niepisanymi regułami ubioru i łapówek wymaganymi do przedostania się z jednej sfery do drugiej, od rogatek do świątyni w centrum.

Nie wiem, co czyni miasto tym, czym jest. Nigdy się tego nie dowiem. Wiem tyle, że ludzie żyją tam słóceniem ciasno obok siebie i nazywają się jego obywatelami.

Urodziłam się w jaskini. Gdy stopami po raz pierwszy dotknęłam ziemi, kłuły mnie igły sosnowe. Skały były zimne, przejmowały dreszczem. Woda była orzeźwiająca. Powietrze czyste niczym śnieg. Zrozumiałam, że każde drzewo walczy o promienie słoneczne wśród koron, ale to dzieje się tak wolno, że panuje pozorny spokój.

Tak też myślałam o miastach – każdy człowiek jest jak drzewo, wspina się byle wyżej od innych, by sięgnąć słońca. Przypadek zasiał nasiona, a one wyrosły na duże drzewa. Wszyscy w mieście byli jak dziwaczny las.

Mój mąż i ja przybyliśmy do miasta, którego nie będę nazywać Wilczą Ziemią, lecz Psia Ziemią. Tak bowiem nazywa się ludzkie miasto w języku wilczych stad.



Trzy dni wędrowaliśmy na południe, przez mokradła, nim dotarliśmy do głównego traktu. Szliśmy powoli, ciągnąc za sobą ciężką skrzynię z czaszką w prymitywnym zaprzęgu. Obraliśmy ludzką drogę ku miastu, przez trawy na poboczu, by uniknąć starych kolein, które mogłyby rozerwać złęczone żerdzie.

Mury zobaczyliśmy z daleka. Były wyższe niż wzgórza. Poza ich obrębem stały niewielkie budynki połączone ścieżkami. Kiedyś te nowe zabudowania otoczy mur, wyższy niż poprzedni.

Dalej, za ludzkimi osadami, ciągnął się las. Drzewa są cierpliwe. Oddają całą ziemię w ręce uzurpatorów, wiedząc, że prędzej czy później ją odzyskają.

To miasto nazywamy mianem nadanym mu przez naszą watahę. Wilki mówią, że to Psia Ziemia. Psy błąkają się tu po ulicach, nurzają się w stertach śmieci i przepędzają koty z ganków. Wysikują na piasku granice swego rewiru. Wszędzie je czuć. Czemu psy trzymają się miejsca zamieszkanego przez agresywne mały, to dla wilków zagadka, ale psie gówna i szczyny odstręczają naszych braci od miasta. Dla złej wilczej ziemi to nawet dobrze. Na polach jest niegorzej, ale znacznie lepiej pomiędzy wzgórzami, gdzie emerytowani żołnierze otrzymują grunty, próbując wykroić zagony w nieprzystępnym terenie. Zostają tam na tyle długo, by stracić owce na rzecz wilków i widzieć, jak uprawy marnieją. Z nastaniem wiosny odsprzedają działki królowi i znikają z naszych ziem. Wracają do miasta, jak się domyślłam. Zostawiają chaty, które chronią wilki od nocnych

deszczy. Zostawiają też psy, ale one uciekają do lasu, gdy nadchodzi wataha, dziczeją i zdychają samotnie. Potrafią żyć tylko w miastach, wśród ludzi, a nie na zalesionych wzgórzach.

Mój mąż i ja żyjemy tam, gdzie te wzgórza i daleka awangarda miasta wzajemnie napierają na siebie, na płynnej granicy między nimi, służąc ludziom i zwierzętom zarazem. Niektórzy rolnicy wciąż uparcie walczą tu o przetrwanie, siejąc pszenicę. Tej trzodzie służymy najczęściej. W miejskim kościele nie ma miejsca dla wilków. Ani dla Wędrowców.

Opuszczając znajome lasy, zastanawiam się, ile czasu minie, nim będziemy mogli zawrócić do domu. Skazę trzeba wyplenić. A ziemię uleczyć. Jak długo to potrwa? Jesteśmy Wędrowcami, wiemy niejedno. Na skórze człowieka potrafimy wyczuć zapach jego życia, a czasem i śmierci. Czujemy upływ życia dokoła, tak jak senty przepowiadają przyszłość ze swoich koanów, lecz nie widzimy w metaforach jak we śnie. Postrzegamy świat świętymi oczami, czujemy zapach tajemnic tej ziemi. Tak wiele wiemy tylko dlatego, że zostaliśmy wychowani na sługi Erin. Potrafimy zespolić się z pamięcią umarłych. Potrafimy naciągnąć wilcze skóry na plecy i biegać z watahą. Jednak pomimo całej naszej wiedzy, pomimo naszych darów nie mieliśmy pojęcia, jak długo potrwa wyplenienie tej skazy i wytropienie reszty potomków demona oraz ich popleczników.



Przy okazałych bramach Psiej Ziemi strażnicy kontrolowali wszystkie ładunki, wszystkie furgony i wozy – nawet nas. Szturchali bydło i przesypywali ziarno pszenicy. Wbijali miecze w skrzynie w poszukiwaniu kontrabandy. Byli poważni i bardzo czujni. Coś musiało się stać, skoro nawet naszą skrzynkę dokładnie przeszukali.

My dwoje, z naszymi skrzynkami w skrzynkach owiniętych w skórę i konopie, ciągniętych na żerdziach, wydawaliśmy się mali. Powiedzieliśmy strażnikowi, że lepiej nie interesować się zawartością, bo mamy tam czaszkę demona. Nie posłuchał. Pozwoliliśmy mu otworzyć pierwszą skrzynkę. Zanurzył miecz w drugą. Nadział się na kość. Uszy mu pobladły, zacisnął szczęki. Widać nie pierwszy raz dotykał kości swym ostrzem. Nie miał już wątpliwości.

Powtórzyliśmy mu, że to czaszka demona. Dotknęliśmy liściem krawędzi ostrza tam, gdzie otarła się o kość. Liść zwiądnął w tym miejscu. Powiedzieliśmy strażnikowi, żeby schował miecz do pochwy i oczyścił go w świątyni Erin, nim przypadkowo kogoś zadraśnie. Potaknął, blady jak kreda.

– Skąd to macie? – zapytał.

– Znaleźliśmy nieopodal czerwonej doliny – odparłam. – Nosił taki sam mundur jak twój. Kapral ludzi króla, leżał martwy w lesie.

– Aha. Założę się, że to ten zdrajca.

– Kto? I gdzie znajdziemy jego rodzinę i znajomych?

Znałam imię tego demonowego pomiotu, ale chciałam usłyszeć je od niego. Mógł podać inne i naprowadzić mnie na głębszą prawdę o tym utraconym życiu. Nawet dobre wspomnienia nikną, stając się nieprawdą, a ja musiałam je przejrzeć. Tu był dom Jony, tu minęły wszystkie dni jego życia. Gdziekolwiek spojrzałam, czułam jego przeszłość w niewyraźnej smudze miriad deja vu.

Strażnik spuścił wzrok na buty.

– Zabijecie jego krewnych?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli mają w swych żyłach krew demona, przekazemy ich ludziom króla, będą spaleni na stosie z błogosławieństwem Kościoła Imama. Chyba

że znajdziemy ich w lasach. Wtedy my musimy ich zabić, to nasze zadanie.

Próbował nie patrzeć mi w twarz. Był taki młody. Pochyliłam się nieco, by napotkać jego spojrzenie.

– Nie wiem, co zrobimy z jego rodziną i przyjaciółmi, ale na pewno będziemy co do joty przestrzegać prawa tego miasta – ciągnęłam. – Przekażemy każdego grzesznika waszym ludziom.

Skinął głową. Już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Odchrząknął.

– Znałem tego kolesia za życia – przyznał. – Nie za dobrze, raczej tak z widzenia. Nikt nie wiedział, że był demonem. Nazywał się Jona.

– Może i był dobrym człowiekiem, gdzieś w głębi pod skazą Elishty, lecz w demonowym pomioście zło narasta, oni z każdym dniem coraz bardziej mu się poddają, aż w końcu stają się... – nie dokończyłam, zachęcając żołnierza, by sam dośpiewał sobie resztę. Czekałam i czekałam.

– ...zdrajcami – odezwał się w końcu. – Tak, rozumiem. Nazywał się Jona, lord Joni. Jego matka mieszka w mieście, ale nie wiem gdzie. Chodzą słuchy, że sierżant Nicola Calipari go zabił. Sierżant... no cóż, nie wiem, gdzie jest, ale jeśli chcecie go znaleźć, możecie popytać ludzi. Wszyscy znają Caliparięgo. Więcej nic nie wiem.

– Dziękuję. Jak dobrze znałeś Jonę?

Kątem oka zerknął na skrzynkę między żerdziami. Zmarszczył brwi.

– Przelotnie. Kilka razy byliśmy razem na patrolu, ale potem został przeniesiony do jednostki Caliparięgo, a ja tutaj. Nigdy mnie nie zawiódł. Wydawał się równie dobry jak każdy.

– I pewnie był taki przez jakiś czas. Jeśli giną, zanim skaza za bardzo na nich wpłynie, mogą uniknąć zesłania na potępienie w Elishcie, dołączając do swych niegodziwych ojców.

Parsknął.

– Naprawdę wierzysz w te brednie?

- W co wierzę, to moja sprawa – ucięłam dyskusję.
- Jak cię zwą? Chcę wiedzieć, bo może będę musiała cię odszukać, zadać ci więcej pytań.
- Christoff. Kapral Christoff. Bez nazwiska. Rodziców nie znałem. Sam wybrałem sobie imię.
- Miło mi cię poznać. – Skłoniłam głowę. – Mojego imienia nie sposób wypowiedzieć bez wilczego języka, więc wybaczone, że zachowam je dla siebie. Gdzie się modlisz?
- Nigdzie.
- A czy kiedykolwiek gdzieś się modliłeś?
- Mój sierociniec był prowadzony przez świątynię. Ale nie Erin. Imama.
- I nie wracasz tam?
- Nie. Gdy jesteś dorosły, dają ci wolną rękę. Słuchaj, nie mam czasu na pogaduchy.
- Pytam tylko dlatego, że musisz oczyścić swoje ostrze w świątyni. Imam jest trochę droższy niż Erin, a to nie twoja wina, że wykonywałeś swoje obowiązki.
- Wyciągnęłam do niego woreczek monet.
- Niepewnie otworzył rękę. Normalnie wyglądałoby to na bezwstydną próbę przekupstwa w biały dzień. Położyłam woreczek na jego dłoni i zamknęłam jego palce, nie pozwalając im rozewrzeć.
- Jeśli świątynia będzie musiała zniszczyć miecz, powiedz im, że Wędrowcy Erin przysłali cię, byś oczyścił ostrze, a dadzą ci inne.
- Monet było więcej niż na oczyszczenie ostrza. Reszta starczy na pogrzeb, którego zapach czułam na jego skórze. Przyciągnęłam go bliżej siebie.
- Nie zaszkodziłoby zapalić świecy dla Jony – wyszeptałam. – My wszyscy, każdy z nas, szukamy światów, które wylewają się przez szczeliny

w naszych zmysłach. Zapal świecę dla przyjaciela. Poczciwi ludzie mogą przeniknąć przez wiele barier. Miej wiarę, Christoffie. Miej wiarę w cokolwiek.

Przytaknął. Mam nadzieję, że modlił się przed nadejściem choroby. Mam nadzieję, że zapalił świecę i modlił się za czyjąś duszę, nim skaza wyszła z jego skóry i zmusiła do błagań o własne życie pewnej długiej nocy.

Koleje naszego losu, naszych wędrówek za życia już nigdy się z nim nie przetną. Czuję zapach rychłej śmierci. Dzień wcześniej nadział się na coś ostrego – gwoździe z drewnianej skrzyni albo poszczerbiony świecznik. Metal głęboko go zranił. Zwęszyłam tęzec, który niebawem go uśmierci. Gdybym pocałowała go w policzek, poczułabym to w smaku jego potu.

Domyślałam się, że na jego pogrzeb przyjdzie jakaś dziewczyna, by płakać gorzkimi łzami. Jej miłość będzie się wylewać z kącików oczu przez wiele tygodni. Żal mi tych biednych stworzeń, tych młodych kochanków, ich historii skazanej na zapomnienie. Sięgam do wspomnień demona, podczas gdy dobrzy ludzie po cichu żyją i umierają, i nikt nie bada ich pamięci w poszukiwaniu dobrych uczynków. Po Christoffie nic się nie ostanie, może z wyjątkiem cierpiącej dziewczyny.

Christoffie, poczułam całe twoje życie niczym burzową chmurę.

Te miasta, z wszystkimi rysami i pęknięciami widocznymi jak na dłoni, rozdierają me serce smutkiem straconych szans. Za dużo widziałam. Nikt z tu obecnych nie próbował wieść prostego żywota. Christoffie, żałuję, że nasze zadanie cię nie obejmuje, że nie mogę pomóc tobie ani żadnemu z twych braci udreńczonych przez klątwę miast Erin. Odór śmierci czuć tu wszędzie, a ja i mój mąż jesteśmy bezsilni. Możemy tylko oczyścić ziemię. I modlić się. Za stracone uczucia i stracone dusze.

Erin Błogosławiona, pozwól nam szybko wypełnić zadanie. Sprowadź nas z powrotem do lasu, gdzie śmierć jest tym samym co życie. Obdarz nas znowu miejscem, gdzie jedyna rozkosz to jeść trochę więcej w zimowe miesiące.

ROZDZIAŁ II

Nie pojmujemy w pełni losu tych przeklętych demonową skazą. Kapral Jona, lord Joni, może nawet wciąż być żywy wewnątrz swych kości, z duszą na wieki złączoną ze skażonym ciałem. Obracając skrzyneczkę w palcach, zastanawiałam się, czy duch Jony wciąż tu jest, przygląda się światu, który opuścił. Czy widział sieć życia tak jak mistycy Senta? Czy widział prawdy o świecie jak my? Czy jego ludzki duch błąkał się po lasach, cicho wypłakując jej imię w stronę księżycy: Rachel, Rachel...?

Dla jego duszy już za późno, musimy więc zagłębić się w jego życie.



Przed wizytą w którymś z kościołów Erin w mieście mój mąż i ja zaciągnęliśmy czaszkę i mundur Jony do kapitana straży miejskiej. Nalegaliśmy, by zobaczyć się z nim od razu. Chcieliśmy to rozegrać efektownie. Skoro demonowy pomiot mógł żyć tu tak długo niezauważony i służyć u królewskich ludzi, straży miejskiej należało przypomnieć o ich kompromitacji i o powadze tego błędu. Czekaliśmy w gabinecie, gdy kapitan mył ręce i twarz, by przyjąć nas z należnym szacunkiem. W międzyczasie położyliśmy czaszkę demona na czystych kartkach papieru na jego biurku – niech podczas naszej rozmowy puste oczodoły oskarżycielsko świdrują go swym martwym wzrokiem.

Na widok czaszki przystanął w drzwiach. Splunął i rzekł, byśmy umieścili to coś na blankach albo zabrali, ale nie pozwolili temu zdrajcy ponownie patrzeć na swego kapitana. Zostawiliśmy czaszkę na miejscu, gdy z nim rozmawialiśmy, by na niego patrzyła. Tutaj jego obowiązkiem

było chwytać demonowy pomiot, a tak Kościół Erin został w to wciągnięty, bo znaleźliśmy kości. Chcieliśmy kapitana zawstydzić.

Gdy go ujrzałam, do głowy przyszły mi imiona, nazwiska i twarze. Wiedziałam, że kapitan nie będzie wiedział więcej, niż już nam powiedział. On nie pracował z Joną w Zagrodach.

– Nicola Calipari – rzekłam. – Gdzie go znajdziemy?

– Tego starego wiarusa? Nie mam pojęcia – odparł.

– Jeśli jest na służbie, może być wszędzie. Jego podwładni będą wiedzieć, gdzie go poniosło. Jak słyszałam, ostatnio siedział w Zagrodach, niedaleko ubojni, ale wiem, że często chodził na przegląd swoich ludzi. Właśnie to robił, gdy wyszło na jaw, co za ziółko z tego kaprała. Rzecz jasna, taki stary wyga jak on ma gdzieś protokoły. Jego ludzie mogą mnie okłamywać tylko po to, by trzymać go na liście, póki nie dostanie swej ziemi. Tak, ostatnio bawił w Zagrodach. Ale może być wszędzie.

Chcieliśmy zawstydzić kapitana za to, że pozwolił demonowemu pomiotowi tak długo pracować pod swoim dowództwem. Przebadaliśmy jego krew w poszukiwaniu demonowej skazy, by go zawstydzić. Nakazaliśmy mu przebadać wszystkich podwładnych. Niech krwawią. I niech wiedzą dlaczego.

Rozłożyliśmy kartkę jego najprzedniejszej papeterii z drewna twardego pod jego otwartą dłoń. Nacięliśmy mu skórę jego własnym sztyletem i pozwoliliśmy, by kilka kropli skapnęło na papier. Potem podnieśliśmy kartkę nad stalowy kosz i podpaliliśmy. Gdy ogień liznął krew, czerwona struga oparła się rozżarzonej linii popiołu. Nie był demonowym pomiotem.

Kapitan pokłonił się Erin i przyrzekł, że jeszcze tej samej nocy oczyści swą krew w jej świątyni – na wszelki wypadek, bo nie było takiej potrzeby. Padł na kolana przede mną i poprosił o błogosławieństwo.

Mój mąż położył wilczą łapę na jego głowie i udzielił mu błogosławieństwa Erin Łaskawej. Odezwał się po raz pierwszy od chwili przybycia do miasta. Tęskniłam za dźwiękiem jego ludzkiego głosu. Wsadziłam czerwony kwiat we włosy kapitana – czerwony, barwy krwi i łowów.

Powiedzieliśmy, że zwrócimy się do niego o pomoc, gdy już będziemy gotowi. Prosił, by uzbroił się w cierpliwość. Skinął głową. Przymknął powieki. I tak go zostawiliśmy, na klęczkach, pogrążonego w modlitwie. Ludzie króla dowiedzą się, że tu byliśmy. Pozwolą nam pracować w spokoju, nawet jeśli będzie to wymagało krwi i śmierci.

Wyszliśmy. Chwyciłam męża za rękę.

– Powiedz do mnie coś jeszcze. Niech usłyszę twój głos. Powiedz coś, bym przypomniała sobie, kim jesteś.

Wciągnął nosem powietrze. Pamiętam, jak sobie radził demonowy pomiot za dawnych czasów – jak cię tu czuł. Wciąż to we mnie siedzi, choć minęły dziesięciolecia.

To miasto go przerażało. A mnie zasmuca. To nie jest nasz dom. My tu nie pasujemy.

– Zrobisz to dla mnie?

– Spróbuję.



Poszliśmy dalej, mijając zagrody, gdzie zwierzęta czekały na ubój. Zanim trafiły do rzeźników, dopływały rzeką do oceanu. Trzymano je w ciemnych klatkach pod pokładem, przepędzano z jednej ciemnej klatki do drugiej. Śmierć czuły wszędzie dokoła, tłocząc się w ciepłe i błotne. W dzielnicy Zagrody ten smród czuć było najmocniej.

To był dom Jony. Każda ulica była jego. Jego rodzime ziemie leżały w samym środku tego kwartału, jego dom ukryty był gdzieś za nowymi budynkami, które zewsząd go otoczyły. Tutaj mieszkali ludzie, których znał od lat. Skinęłam na mego męża.

To tu.

Wiem. Nie czujesz tu jego skazy?

W końcu poczułam. Gdy wypchnęłam Jonę z własnych myśli, starając się nie zwracać uwagi na wzbierające fale jego życia w tym miejscu, poczułam skazę w powietrzu, niczym krawędź metalu przecinającą smród zwierząt i śmierci.

Gdy dotarliśmy do posterunku straży w Zagrodach, sierżanta Calipariego nie było na służbie. Nowy sierżant uśmiechnął się szeroko i powiedział, żebyśmy mówili do niego „Pup”, nie „sierżancie”, ale wiedziałam to już, zanim się odezwał. Pup dostał awans, bo wszyscy inni strażnicy, których znał Jona, zmarli, z wyjątkiem Calipariego. Lecz nie z powodu skazy. To była niebezpieczna dzielnica i niebezpieczna praca. Pup powiedział, że Nic jest chory i urlopował się na dobre. I że już nie wróci.

Nicola Calipari zabił zdrajcę, Jonę. Tylko on poczuł na skórze krew demona. Będzie uwięziony w zatrutych wizjach czarnej duszy, którą zniszczył, wrażając nóż w swego przyjaciela. Będzie chory, ciężko chory, umierający.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Zobaczyłam tysiące chwil. Zobaczyłam, jak zlewają się w jedną. Wciąż czułam tu zapach Jony, przytłumiony wonią atramentu i krwi z sali przesłuchań. Już miałam się odezwać, gdy mąż dotknął mego ramienia. Nowy sierżant wskazał ręką w stronę obrzeża miasta, za murami, gdzie udał się Calipari, by być blisko swej ukochanej. Stary sierżant sądził, że skaza go zabije. A nie chciał umierać w zagraconym pokoiku nad mrowiem ludzi jak on. Nie chciał

umierać w samotności. Chciał umrzeć w objęciach Franki. Pup tak mówił cicho o śmierci Calipariego.

– On nie umrze – rzekł mój mąż drwiąco. – Krew Jony nie była aż tak silna. Ale spraw, że wszyscy wokół bardzo się pochorują. Czemu tacy jak ty lekceważą świątynie, gdy wam ich potrzeba? Dajecie jałmużnę i w samotności modlicie się o pomoc, ale lękacie się pokazać twarz innym śmiertelnikom, gdy prosicie o wstawiennictwo.

Pup wzruszył ramionami.

– Te sprawy mnie nie interesują. Czy mogę wam pomóc w czymś jeszcze?

Karczma znajdowała się daleko na wschód poza murami miasta. Mój mąż i ja zostawiliśmy czaszkę pod opieką tutejszego Kościoła Erin. Naciągnęliśmy wilcze skóry na plecy i pognaliśmy przez ulice. Byliśmy dzikimi psami w biegu, wielkimi jak wilki. Na nasz widok kobiety krzyczały, a mężczyźni ustępowali nam z drogi.

Mój mąż i ja okłamaliśmy sierżanta. Nicola mógł umrzeć. I zabrać ze sobą innych do grobu. Musieliśmy się spieszyć.



Znów znaleźliśmy się przy murze, a zaraz – poza nim, tym razem jednak na dalekim wschodnim obrzeżu. Podmokłe lasy sosnowe rozciągały się na wzgórzach przeciętych ciemnymi błotnistymi drogami. Czułam wiatr na twarzy. Byliśmy w domu.

Zapadła noc, a my biegliśmy nadal. Nie ściągając wilczych skór z pleców, gnaliśmy na przełaj przez lasy.

Karcznię poczuliśmy już z oddali. Pijani ludzie najwyraźniej zgubili drogę do wychodka i zrobili swoje w zaciszu drzew. Trzymając nos przy ziemi, czułam zapach ich moczu wszędzie wokół. Czułam zapach dymu

palenisk osmalających drzewa. Nocna lampka w ciemnościach wskazywała strudżonym wędrowcom miejsce na nocleg.

Mój mąż przystanął na skraju światła. Powiedział, żebym poszła sama; on powęszy tu i tam, szukając śladów pozostałej dwójki demonów.

Podniosłam wzrok na budynek. Na parterze krzątał się tłum wędrowców i miejscowych farmerów. W pokojach wyżej spali podróżni oraz właściciel i jego pracownicy, gdy pijacy opuścili już parter.

Najpierw poszłam do stodoły. Czułam tam jakiegoś człowieka i słyszałam oddech dziecka. Konie rżały nerwowo, wietrząc mój zapach. Musiałam jednak wejrzeć w ten mrok, więc nie zdejmowałam wilczej skóry.

Chłopca poznałam od razu, gdy go zobaczyłam. Syn Franki spał na słomie, czekając, aż ktoś przyjdzie z końmi i kilkoma miedziakami za fatygę. Chrapał z otwartą buzią, a wokół jego zębów latały muchy.

Wyciągnęłam rękę z wilczej skóry, sięgnęłam do worka i skropiłam chłopakowi głowę wodą ze świętego źródła. Widocznie była bardzo zimna, bo gwałtownie poderwał się ze snu.

– Wypij tę wodę – warknęłam.

– C – c – co? – Wstał, niezdarnie cofając się do ściany. Opamiętałam się. On był dzieckiem, a ja wilkiem w ciemnościach. Ściągnęłam wilczą skórę z pleców do końca. Uśmiechnęłam się możliwie najcieplej, kobieta w pełnej krasie, i to miła kobieta.

– Jestem Wędrowcem Erin – powiedziałam. – Wiesz, kto to taki? To ktoś, kto pomaga ludziom. Jesteś synem Franki, tak? Widziałam cię już wcześniej, ale ty tego nie pamiętasz. Wypij to.

– Ja...? – Otrząsał się ze snu. Przyglądałam się jego twarzy, podczas gdy jego umysł borykał się z nazwaniem tego, co widziały oczy. To przecież musiał być sen. Kobieta wyłaniająca się z ciała wilka.

Podalam mu wode.

– Wypij to – powtorzylam.

Chwycil ja, obwachał, poczul zapach slodkich kwiatow, ktore ja poblogoslawily. A potem wypil z wahaniem.

– Dobra jest – ocenil zaskoczony.

– Musisz spedzic troche czasu w swiatyni – zasugerowalam zyczliwie.

– Nigdy w zadnej nie bylem. – Nie patrzył na mnie. Plecy przyciskal do sciany. – Zawolam mame.

– Ona tez nie czuje sie dobrze, prawda?

– Od wielu tygodni. Bellini nie chce chorych w pracy, wiec musze robic i za nia.

– Zuch chlopak. – Zmierzwilam jego mokre wlosy. Odsunal sie, jakbym go uderzyla.



Oberzysta zbudzil sie na skrzyp otwieranych drzwi. Gdy zobaczył mnie i mojego meza, szybko sie zorientowal, ze nie jesteśmy klientami. Zmierzył mnie wzrokiem, czekajac na klopoty. Nazywal sie Bellini.

– Ludzie tu umieraja – stwierdzilam. – Przyszliemy pomoc.

Potaknal, cokolwiek sztywno, i kazal synowi Franki zaprowadzic nas na gore. On zaraz do nas dolaczy, powiedzial, wejdzie tam po nas. Chlopiec zabral mnie na drugie pietro, gdzie nagrzaný dach lupkowy trzymal cieplo slonca jeszcze dlugo w noc. Tutaj spal personel tego przybytku, duszac sie w lozdkach zbyt cieplych dla gości placacych za nocleg.

Syn Franki znal droge po ciemku. Szlam za nim mrocznym korytarzem miedzy wiadrami wymiocin. Upal jeszcze pogarszal panujacy tu zaduch i smrod. Zadna pokojowka nie chciala sprzatac na tym pietrze, a Franka byla

zbyt chora, by zająć się kubłami. Bellini miał przynajmniej tyle rozsądku, by odseparować chorych.

Chłopiec otworzył drzwi na końcu korytarza. Oblało go nikłe światło księżyca przezierające z głębi pokoju.

– Śpią – powiedział.

Weszłam. Kobieta i mężczyzna spali pod otwartym oknem, wtulając się w siebie niczym dzikie korzenie, pomimo upału.

Widziałam już dość, by dostrzec, jak głęboko sięga tu skaza. Może trzeba będzie spalić całą oberżę. Odwróciłam się do chłopca.

– Nie powinni być przy sobie w takiej chwili. On tylko przyspieszy jej chorobę. Musisz teraz zejść na dół i powiedzieć Belliniemu, by wyprowadził wszystkich z oberży. Wszyscy muszą wyjść. Idź już.

Nie odszedł daleko. Sądzę, że nie zrozumiał, o co go prosiłam. Ja nie mam dzieci, nie umiem do nich mówić. Wilcze szczenięta rozumiałyby wszystko i instynktownie by wiedziały, że trzeba czym prędzej wynieść się z tego skażonego korytarza.

Od łóżka dobiegł jęk i kobiecy głos, cienki jak u śmiertelnie chorego.

– Kto tam?

Wypchnęłam chłopca przez próg i zamknęłam drzwi.

– Jestem z Kościoła Erin – oświadczyłam. – Przyszłam tu, szukając niejkiej Franki i Nicola Caliparięgo. Jesteście chorzy. A ja mogę was uleczyć.

Mężczyzna także się zbudził.

– Kto cię przysłał? – zapytał rozkazująco. Rozpoznałam jego głos ze wspomnień Jony. Był taki słaby. Próbował usiąść w ciemnościach, ale nie starczyło mu sił. Franka pchnęła go z powrotem na posłanie. W bladym świetle księżyca dostrzegłam jego zapadnięte policzki i oczy.

– Potrzebujesz pomocy – rzekłam. – Choroba, która cię toczy, to trucizna skażonej krwi, krwi Jony. – Podniosłam ubrania z podłogi i rzuciłam na łóżko.

Mogę je spalić później. Nie było tu ludzi kapitana, by wyegzekwować nasze rozkazy. Musieliśmy działać z wyczuciem, krok po kroku. – Ubierzcie się i wyjdźcie na dwór. Zabierzcie z sobą wszystko, co się pali. Waszą pościel. Wasze ubrania. Książki i dokumenty. Wszystko. – Usłyszałam jakieś głosy na dole. Krzyki mężczyzn. I mojego męża. Bellini nie zamierzał nikogo wyganiać na zewnątrz. – A może inaczej, wyrzucimy to przez okno. Spalimy wszystko.

Otworzyłam jedyne okno w pokoju. Wychyliłam się i zawylałam do mego męża: Mam ich. Spal ich rzeczy.

Dobrze.

Pierwszy przez okno wyleciał materac. A raczej wielki wór pierza i siana. Wypchnąć go nie było trudno. Małe gęsie piórka pofrunęły na dół ze szwów. Potem wyrzuciłam wszystkie ubrania, których nie mieli na sobie, i wszystkie kubły z korytarza.

Sierżant Calipari słał się na nogach. Franka pomogła mu usiąść na krześle. Zwymiotował, choć nie miał czym. Trochę popłynęło mu po piersi i tam się zatrzymało. Nie miał siły się wytrzeć. Ona nie była tak słaba jak on. Jeszcze.

Odepchnęłam Frankę od niego. Kazałam jej dalej sprzątać. Umyłam go, podczas gdy ona wyrzucała papiery i poduszki z mebli. Musiała się wstydzić, że ktoś widział ją w takim brudzie. Musiała się wstydzić, że nie potrafiła tak jak ja pomóc choremu. Wmusiłam w Calipariego trochę mniszkowego wina z miętą, by ostudzić palenie w żołądku. Nie miałam przy sobie wystarczająco dużo. Ugaszenie u niego najgorszych objawów demonowej gorączki zajęłoby wiele tygodni. Był za słaby, by mówić.

Musieliśmy szybko odwrócić działanie skazy w jego wnętrzu i spalić wszystko, czego dotknął, a czego nie dało się oczyścić.



Ogień na podwórzu przyciągnął tłumy. Wszystko, na co demonowa skaza wylała się z Calipariego w postaci potu i wymiotów, zajmowało się jak od nafty, wypluwając kule ognistej pożogi. Ludzie wyszli z oberży, by to zobaczyć. Widowisko o wiele skuteczniej wyludniło budynek niż nasz święty nakaz.

Mój mąż już zniknął, biegł w mroku ku najbliższej świątyni. Potrzebowaliśmy więcej akcesoriów, by zwalczyć śmiertelną falę demona wzbierającą w jego zabójcy.

Pijani wznieśli radosny wiwat. Później kac będzie im doskwierał bardziej, a pijacka czkawka jeszcze długo będzie co chwila mącić nocną ciszę. Niektórzy z nich mogą umrzeć, jeśli bawili tu parę nocy, chłonąc skazę wraz z trunkiem. Mój mąż spróbuje przejść się po farmach i domach, gdy ja będę doglądać Calipariego. Nasza świątynia pomoże. Nawet duchowni Imama spróbują pomóc. Śmierci nie obchodzi, któremu bogu się służy.



Opiekowałam się Caliparim w przytulniejszym pokoju, też na drugim piętrze. Po paru dniach Franka wydobrzała na tyle, by móc pracować na dole. Nie zdołałam jej namówić na odpoczynek. Próbowaliśmy objąć to miejsce kwarantanną, lecz Bellini pozwolił nam tylko odizolować pokoje gościnne. Wbrew naszym nakazom oberża wciąż działała. Wkrótce i tak dopniemy swego.

Najpierw jednak skupiliśmy się na sierżancie. Gdy skaza ustępowała, Calipari był w stanie mówić. Jego twarz i głos podsycaly wspomnienia Jony i w mojej głowie zapaliła się świeczka, rozjaśniając się coraz bardziej wraz z tym, jak z mętliku scen zaczął się wyłaniać spójny, uporządkowany obraz. Lecz sam Calipari był tylko wydrążoną skorupą chodzącego tarana, którego znał Jona. Powinien być jak mocny postronek, nie do zdarcia, nie jak to piórko leżące na materacu.

– Czemu mnie szukaliście?

Patrzyłam na niego. Poczul się niezręcznie. Zaniknęłam oczy.

– Masz dość sił na dłuższą rozmowę?

– Tak.

Słabość w jego głosie mówiła co innego. Odczekałam jeszcze chwilę. Już się nie odezwał. Uśmiechnęłam się.

– To nie jest przesłuchanie. Ja tylko ratuję sytuację, uzdrawiam chorych i upewniam się, że nie ma ich więcej.

Wciąż milczał.

– Nikogo nie skrzywdzimy, obiecuję. Próbujemy tylko pomóc

– Hm... – zaczął. Z zamkniętymi oczami starałam się wyobrazić sobie jego twarz, usta wykrzywione, jakby chciał coś wypluć przez zęby. – To nie było w porządku, ale wiem, co się dzieje, gdy ma się do czynienia z krwią demona. Nie chcę myśleć, co będzie dalej. Niedobrze się dzieje, jeśli sami nie możemy sobie z tym poradzić. Ty nie jesteś nawet człowiekiem jak my. Jesteś wilkiem, kapłanką czy czymś takim.

Otworzyłam oczy i wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego ramienia.

– Jestem człowiekiem, sierżancie. I wilkiem zarazem. Zgodnie z wolą świętej bogini Erin.

– A co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, co zechcesz mi wyjawić. Jeśli wolisz, możesz ograniczyć się do Jony. Nie musisz nikogo obciążać. My nie będziemy nikogo aresztować. Jeśli doszło do przestępstwa, przekazemy winnych ludziom króla.

Przez długi czas nie odezwał się ani słowem. Miał powody, by mi nie ufać. Nie wiem, jak dobrze znał prawo kościelne, ale mój mąż i ja możemy zabić każdego nosiciela skazy i spalić każdy budynek. Gdyby wiedział, do czego możemy się posunąć w wypełnianiu naszych obowiązków, milczałby jak grób. Bil się z myślami. Uznałam to za znak, że wie więcej, niż jest skłonny przyznać. A może to wina zmęczenia. Na jakiś czas zapadł w sen, tak jak i ja na krześle. Franka przyniosła zupę i delikatnie go obudziła. Zjadł tyle, na ile pozwalał mu żołądek. Ja nie tknęłam nic. Czekałam, cicha i nieporuszona. Franka nie zaproponowała mi zupy.

Wreszcie Calipari się odezwał.

– Ludzie chorują.

– Owszem. – A umierają?

– Czasami.

– Znam kilku, którzy umarli. Straciłem wielu dobrych chłopaków. Co do niektórych, wiem dlaczego. Co do innych, nie mam pojęcia. Spodziewasz się, że to czasem się zdarza, szczególnie gdy chodzisz wśród najgorszych szumowin. A mimo to...

Wciąż odwracał wzrok. Przyszłam tu, by uratować mu życie, a on nie potrafił spojrzeć mi w oczy, bo zdawał sobie sprawę, co może się stać, gdy zacznę mówić. Wiedział coś, co mogłabym wykorzystać.

– Pomóż mi – poprosiłam.

– Chyba jestem ci to winien. I spłacił swój dług.



Jona był lordem Joni. Nadal miał swą rodową siedzibę, ale utracił ziemie i w mieście, i gdzie indziej. Wszystkie przednie meble i kosztowności już dawno sprzedano. Dom stał jeszcze, ale używano tylko niewielkiej jego części i starannie dbano o dach, by się nie zawalił. Matka Jony szyła suknie dla arystokratycznych rodzin, którym powodziło się lepiej.

Majątek ojca został skonfiskowany podczas wojny. Przemysł był nielegalny, ale w tym czasie wszyscy się nim parali. Ojciec Jony nie przemyczał jednak niczego, co przydałoby się królowi, a miał wiele ziemi, którą można było sprzedać, by opłacić rosnące koszty prowadzenia wojny. Za jego przestępstwa ziemie Jonich przepadły na rzecz Korony, a on sam zawisł obok zwykłych złodziei, zhańbiony i wyzuty z majątku.

Mój mąż i ja będziemy musieli później wykopać ciało i wypalić ziemię, gdzie spoczęło. Jona najpewniej odziedziczył skazę po ojcu, który sam był pomiotem demona.

Po śmierci lorda wojna trwała jeszcze przez wiele miesięcy, a na targach i w sklepach panowała drożyzna. Matka Jony nie miała nic, za co mogłaby kupić jedzenie, prócz lasów. Sprzedawała je więc, a drzewa ścinano na potęgę. Jona widział, jak resztki jego rodowych posiadłości wchłania miasto, które zabrało mu ojca, by zagarnąć jego ziemie. Bezsilnie przyglądał się z okna sypialni, jak ludzie ze spoconymi plecami kładą kamień na kamieniu. W dniu, gdy stracono ojca, przywdział czerń. Żałobne ubranie nosił jeszcze długo potem. Matka musiała sprzedawać ziemię, by mieć na chleb dla syna. Król nie zostawił wdowie nawet złamanego grosza z rodzowego majątku. Jej bracia zginęli na wojnie, a wszyscy dziadkowie Jony już nie żyli. Rodzina popadła w straszliwą biedę. Matka znalazła pracę jako szwaczka. Jona nosił tanią wełnę, drapiącą gorzej niż siano, i patrzył, jak robotnicy w pocie czoła stawiają mury tam, gdzie niegdyś huśtał się na drzewach, beztroski w białych jedwabkach.

Wyrósł na wysokiego, silnego mężczyznę i wstąpił do straży miejskiej. Matka wyrzuciła go z domu za to, że złożył przysięgę zabójcy jej męża. Nie robił tego dla króla, ale ona tego nie zrozumiała. Mogła jednak przynajmniej dostrzec, że chciał poprawić ich położenie. Po szkoleniu na prowincji wrócił do miasta. Przez jakiś czas mieszkał w koszarach, pracując jako pisarczyk, póki nie awansowali go na kaprała. Przepuszczał pieniądze na grę w karty i kości. Matka przyszła po niego do koszar, błagając, by wrócił do domu. Była samotna i stara. Nie miała nikogo innego na świecie. Choć króla wciąż nienawidziła, z czasem zaczęła dostrzegać mądrość decyzji syna. Pewnego dnia mógł zostać oficerem. Mógł dorobić się tej godności własną pracą, zamiast kupować ją jak inni młodzi arystokraci. Mógł przywrócić szacunek ich rodowi, znaleźć dobrą partię, a wtedy wnukom będzie się żyło lepiej.

Kochał swoją pracę. Był dobry w tym, co robił, mając poczucie, że robi coś ważnego.

Tego wszystkiego dowiedziałam się od sierżanta. To był świat, który znał.

Zapytałam Calipariego, czy wie, który rodzic Jony nosił w sobie skazę demona.

– Tak. Ojciec.

– Skąd wiesz?

– Jona mi to powiedział, zanim go zabiłem.

– Sprawdziłeś?

– Pewnie, że nie. To paskudna sprawa. Jeśli król i kapitan chcą sprawdzać, niech wyślą kogoś innego. Wszystko było w raporcie.

– Doprawdy?

– Czy kapitan mówił coś o sprawdzaniu?

– Nie. I nie wspomniał o żadnym raporcie.

– Cóż, ona się już zestarzała, a raportów jest mnóstwo. Tyle biurokracji... Gdybym więcej czasu spędzał z dobrą pałką w dłoni, a mniej z tanimi piórami, które ciągle mi przysyłali, w Zagrodach byłoby inaczej. Lepiej. Kilka razy widziałem matkę Jony. W jej wieku nie będzie miała już więcej dzieci, a ja nie chcę nikogo palić.

Spojrzał nad moim ramieniem. Siedziałam przy oknie, a on, leżąc na łóżku, patrzył na błękitne niebo i nadciągające chmury znad morza, które przetrwały podróż tak daleko w głąb lądu.

Czekałam, aż coś powie. Założyłam ręce na piersi i znacząco uniosłam brwi. Pozwoliłam, by cisza go onieśmieliła.

– Ona nie sprzeniewierzyła się miastu – oznajmił z naciskiem.

Nachyliłam się do niego. Mówiłam tuż przy jego twarzy, by mnie dobrze słyszał.

– Skoro dawała dach na głowę takiemu złośliwemu demonowi jak Jona, sprzeniewierzyła się całemu ludzkiemu światu. On nigdy nie sypiał. Nie mógł. Wewnętrzna skaza nie dawała mu zasnąć. Gdy wszyscy porządni ludzie spali, on zabijał. Przez całą noc pracował dla najgorszego przestępcy w tym mieście. Jego matka pewnie się domyślała, widząc, ile pieniędzy przynosi do domu. Sama sprawdzę jej krew. Nie przekazemy jej strażnikom z byle powodu, ale jeśli pomagała pomiotowi demona mordować niewinnych ludzi...

Calipari spojrzał mi na ręce. Były ludzkie.

– To nie moja sprawa – rzekł ze znużeniem. – Teraz to już problem kapitana, a nie mój. Jona uratował mi życie. A ja go za to zabiłem.

– Czemu więc to zrobiłeś, skoro tego żałujesz? Sierżant Nicola Calipari był twardym człowiekiem, gotowym do walki w razie potrzeby. Teraz walczył.

– Jona zdradził miasto i ludzi króla. Przez niego zginęli dobrzy chłopcy. Pełniłem swoje obowiązki, cóż, służba nie drużba. A to już nie jest mój obowiązek, więc tego nie zrobię. Proszę, zostaw jego matkę w spokoju.

– Zadziwiające, że ona wciąż żyje – odparłam. – Każdy, kto ma dwóch panów, musi wybrać, po której jest stronie. A on wybrał trzecią drogę. Zdradził wszystkich swoich mocodawców dla ciebie i Rachel.

– Skąd wiesz?

– Jestem Wędrowcem Erin, sierzancie. Potrafię wejrzeć w umysł demonowych pomiotów nawet po śmierci. Widzę wszystko, co on pamięta. I wiem, że nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego.

– Jak to możliwe?

Pokręciłam głową.

– Dobrze zrobiłaś, sierzancie. Prędzej czy później każdy skażony przez demona śmiertelnik poddaje się złu drzemiacemu we krwi. Zabijając go, ocaliłaś tę część duszy, którą można uznać za ludzką. I możesz ocalić więcej ludzi przed potępieniem w otchłani Bezimiennych w Elishcie.

Odwrócił wzrok na okno, na zbierające się chmury.

– Nie. Takich jak ja i on nie czeka zbawienie. Wiem, że postąpiłem właściwie. I nienawidzę tego. Jona był jednym z moich chłopaków przez prawie trzy lata.

– Zabiłaś wielu ludzi?

– Oczywiście – przyznał – ale wszyscy byli przestępcami. Nawet jeśli czasem zdarzało im się zrobić coś dobrego, tam, gdzie stacjonowałem, ludzie zawsze schodzili na złą drogę. I wiem, że Jona nie był do końca zły. Był też człowiekiem, prawda? Nie tylko pomiotem demona. Był też człowiekiem.

– Czy zeszłej zimy spaliliście jakąś dziewczynę?

– Tak. Tę akurat znaleźliśmy. Krew ją zdradziła. Zakonnice z klasztoru jakoś ją przegapiły. Wymykała się nocami jak głupi dzieciak. Narobiła sobie kłopotów. Sama nie wiedziała, co robi i co ją do tego pcha.

– Krew ją zdradziła – powtórzyłam.

– Spalili ją żywcem. Nie zrobiła nic, by sobie na to zasłużyć. – Calipari westchnął i spuścił wzrok na swoje ręce. – Też była pomiotem demona. Skoro są dwa... to chyba trzeba się rozglądać za kolejnymi. Dwa z nich, jeden po drugim... można by pomyśleć, że krucjaty wciąż trwają.

– Pewnie jest ich więcej. Mój mąż i ja ich poszukamy. Jona wiedział o trojgu, a z nich tylko on jest martwy. Dziewczyna nie była jedną z nich. Jona dolał do próbki własną krew, by ją skazali. Umarła, bo Jona wysłał ją na stos, żeby ochronić prawdziwy pomiot demona. Przekazywał ci też innych, by chronić tych, którzy na to nie zasługiwali. Nie zostali spaleni, rzecz jasna, ale powieszani. Powiesił ich jako złodziei. Calipari zasłonił sobie oczy.

– Proszę, nie mów mi tego. – Odkasznął, a pierś mu drgała. Odsunął ręce. Jego twarz stwardniała jak kamień. – Jak wielu?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? To nie była twoja wina, tylko jego. Co się stało, to się nie odstanie.

Wyraźnie stracił odwagę.

– Nie, nie chcę wiedzieć. – Odwrócił się ode mnie. Okno było otwarte. Gdyby miał siłę wstać, zobaczyłby Franke, jak obserwuje syna jeżdżącego konno po podwórzu. Chłopak nie był jego synem, ale o tym nie wiedział.

– Jak wielu? – zapytał sierżant przez zaciśnięte gardło, nie patrząc na mnie. – Powiedz.

– Dziewiętnastu, łącznie z dziewczyną.

– Za dużo, niech to Elishta pochłonie. Dziewiętnastu, psiakrew! Znasz ich imiona?

– On pamięta ich imiona, więc ja także. Gdyby osiągnął to, co miał zrobić, byłbyś numerem dwudziestym.

– Za dużo, niech to Elishta pochłonie.

– Niewinni też umierają – pocieszyłam go. – Nie ma idealnej sprawiedliwości, bo żaden człowiek nie dostąpił mądrości wilków. Wilki mówią, że łatwo być mądrym, gdy ma się pełny żołądek. A gdy pusty, mądrze jest go napełnić. Gospodaruj całym sercem. Nie jesteś już na służbie. Okazuj miłosierdzie, gdy możesz, i żyj w pokoju.

Odwrócił wzrok od okna w moją stronę. Odzyskał rezon. Choć nie mógł jeszcze wstać o własnych siłach, był teraz tym mocnym postronkiem, jakim pamiętał go Jona.

– Powiedziałem, że ci pomogę. – Wyciągnął kartkę papieru z szuflady obok łóżka i zaczął pisać referencje dla nas adresowane do swych informatorów w mieście.

Zeszłam na dół i własnoręcznie przygotowałam mu obiad. Gdy wróciłam, zjadł i znów chwycił pióro do ręki.

– To może trochę potrwać – uprzedził mnie. Koniec końców poszedł na to cały papier, jaki dało się znaleźć w oberży. Do zmroku obok łóżka piętrzył się stos kartek ułożonych według numerów posterunków straży, poprzetykanych odręcznymi mapami. Kolejne notki na mapach wskazywały ludzi i miejsca, które należy odwiedzić. Ludzie z Zagród nie będą nam ufali, ale zaufają jego listom polecającym.

– To już wszystko – rzekł. – Zostanę tu jeszcze trochę, a gdy odzyskam siły, odbiorę ziemię, która mi się należy. Służyłem dwadzieścia lat. Teraz będę gospodarował na swoim.

Sierzant Calipari zobaczył mężczyznę, który pojawił się w drzwiach za moimi plecami, niczym cień wynurzający się z mroku korytarza. Mój mąż powrócił.

– On nie mówi za dużo, prawda? – Mój mąż?

– Tak, o niego mi chodzi.

– On cały czas mówi – powiedziałam. – Dla nas cisza też jest słowem, sierżancie.

– Nie może być miłym słowem. Co on chce przez to powiedzieć?

Spojrzałam na męża. Odwrócił się od nas i wyszedł na korytarz. Słyszałam, co mi mówi: Ludzie wolą umrzeć, niż iść do kościoła; pomagają nam, bo ich uratowaliśmy, a nie dlatego, że chcą uchronić ludzi tego świata przed pomiotami demonów; i bronią nikczemników przed ujawnieniem.

Wstałam z plikiem kartek pod pachą.

– On chce przez to powiedzieć, cokolwiek chcesz usłyszeć – odparłam. – Ty i on jesteście bardzo podobni. Nienawidzimy tego tak samo jak ty, na swój sposób. – Pokłoniłam się Calipariemu. – Musisz wyzdrowieć. Zostań tu jeszcze przez rok, nawet jeśli będziesz czuł się na siłach, by odejść. Nie zabraknie tu pracy dla silnych mężczyzn, gdy już skończymy oczyszczać to miejsce.

Zaśmiał się.

– Gdy je spalicie doszczętnie, tak? W każdym razie dziękuję, że mnie znaleźliście i pomogliście wydobrzeć. Jeszcze nigdy nie byłem tak chory. Jak dotąd nie przeżyłem chyba niczego gorszego.

Skłoniłam się raz jeszcze. Poszłam za moim mężem do głównego budynku. Było wcześniej, w oberży siedziało dwóch pijaków, którzy nie mieli gdzie się podziać i przepuszczali ostatnie grosze.

Mój mąż rozrzucił ogniste nasienie na kontuarze. Bellini zaklął siarczyście i zaczął protestować. Był przerażony.

Mój mąż odepchnął go od nasion.

– Przyjmij naszą pomoc – warknął. – Próbujemy ocalić ci życie i ochronić twych gości.

W mieście kapitan straży kłoni się przed nami. Biskupi wyznawców Imama i najwięksi tutejsi lordowie przyjęliby nas jak równych sobie. A w tym śmierdzącym szynku spocony oberżysta wrzeszczy, byśmy przestali ratować życie jemu i jego klientom.

Stałam przed moim mężem i uśmiechnęłam się do Belliniego. Gdybym miała wilczą skórę na plecach, zobaczyłby w tym zamierzoną groźbę. Lekko napałam na jego pierś. Próbował uderzyć mojego męża ponad mą głową. Trafił w pustkę. Mój mąż był szybszy. Chwycił go za włosy i wypchnął na podwórze. Rzucił ogniste nasienie na jego plecy. Zapaliłam zapałkę i cisnęłam na rozrzucone nasiona, pobudzając je do życia. Podpalone, wrosły w skórę Belliniego, rozkwitając niczym fajerwerki na sznurku. Kwiaty miały długie pomarańczowe łodyżki i płatki z płomieni.

Bellini tarzał się po piasku, by zdusić ogień. Wrzeszczał z bólu. Ogniste nasiona piekły raptem jak ukąszenie pszczoły, ale było ich dużo i bardzo dały mu się we znaki.

Kazaliśmy wszystkim się wynieść. Posłuchali nas. Ktoś podniósł Belliniego na nogi, z ognistymi kwiatami wciąż wżerającymi się w jego skórę. Uciekli do lasu.

Wraz z moim mężem wypędziliśmy wszystkich ludzi z pokojów, nawet Caliparięgo. Budynek mógł nie przetrwać tego, co musieliśmy zrobić.

Mój mąż i ja rozrzućiliśmy nasiona po całym parterze, w kuchni i w górę schodów. Rozsypaliśmy grubą warstwę wzdłuż korytarza na trzecim piętrze i wokół pokoi. Nie potrzebowaliśmy zapałki. Wyszliśmy na podwórze, wystarczyło poczekać. Puściliśmy w obieg butelkę wina mniszkowego, bo zaraz robi się gorąco. Pod jaskrawym słońcem ciepło z nagrzanego łupkowego dachu zapaliło nasiona na trzecim piętrze. Stamtąd kwiaty rozkwitły po sam dół, żywiąc się paliwem skazy. Gorejące kwiaty

ognistego nasienia wydzielały dość ciepła, by spalić budynek, płomienie doszły do izolatki Calipariego. Tapety zajęły się ogniem i schodziły ze ścian. Tanie drewniane meble wypaczały się i zapadały.

Gorejące kwiaty żyły tylko przez kilka godzin. Po wydzieleniu ciepła owoc ognistego nasienia tężał na koniuszkach kwiatów jak kamień. Te kamyki rozniosą się po całym budynku, wcisną w każdy zakamarek. Wiele spadnie na podwórze. Wiatr je poniesie, a gdy żar pełni lata powróci, te nasiona rozkwitną. Każde skupisko skazy wokół tawerny, nieważne jak nikłe, podsyci gorejące kwiaty. Pewnego dnia to miejsce będzie odkażone, nieskalane.

Nie stworzyliśmy tu żadnego remedium o natychmiastowym działaniu, było już za późno. Natomiast zapoczątkowaliśmy stopniowy system uzdrawiania. Będziemy czuwać nad tym miejscem, obserwując je z cieni lasów, wężąc w poszukiwaniu ewentualnego nagromadzenia skazy. Pewnego dnia sytuacja tu się poprawi. Tutejsi ludzie powoli dojdą do siebie. Ogniste nasienie będzie kwitło na tej ziemi przez wiele następnych lat.



Najtrudniejsze już zrobiliśmy. Miejscowe świątynie Erin i Imama mogą teraz zająć się resztą, doglądając powrotu ziemi i ludzi do pełni zdrowia. Mój mąż i ja wróciliśmy do Psiej Ziemi, polując na kości pomiotu demona, który stworzył Jonę, lorda Joni. Polowaliśmy na tego nieśmiertelnego, zbyt długowiecznego, by wiedzieć, któremu demonowi zawdzięcza istnienie, by wiedzieć, jak głęboko sięga jego skaza. Polowaliśmy na Rachel Nolander, córkę mimika, która znowu uniknęła śmierci w Psiej Ziemi, demona w pierwszym pokoleniu. Zabraliśmy czaszkę z kościoła, musiałam ją mieć przy sobie. Zagrody nie były bezpieczne nawet dla nas, lecz znaleźliśmy

kwaterę w pobliżu. Zjedliśmy tam obiad, z wilczymi skórami na plecach. Meble odsunęliśmy pod ścianę, by nam nie przeszkadzały.

Ostrożnie rozłożyliśmy mapy od Calipariego na podłodze, zostawiając odstępy, by móc swobodnie przechodzić między kartkami. Czaszkę mieliśmy ze sobą. Mogłam jej dotknąć, ryzykując infekcję. Mogłam ją przebadać.

I tak zrobiłam.

Jak to jest zyskać pamięć miliona chwil cudzego życia? To jak być na wyspie pośród dwóch oceanów – ocean, który widzisz, gdy masz otwarte oczy, jest twój; ten, który widzisz z zamkniętymi oczami, twój nie jest. Musiałam pływać w wodach kogoś innego i zanurzyłam się w nie. Przez wiele dni studiowałam mapy i zamykałam oczy. Mój mąż cierpliwie czekał, aż skończę.

Zaczynam sobie przypominać. Zaczynam widzieć zarys wspomnień.

Czy widzisz człowieka i potwora, czy wnikas w jego życie naszymi oczami?

Zaczynam widzieć pełny obraz.

Zapisz to. Zapisz wszystko.

Tak zrobię.

ROZDZIAŁ III

Rosło tam drzewo. Wielkie i rozłożyste, co było rzadkością w tym mieście, wierzba z ciężkimi liśćmi zwisającymi w upale niczym kokardki z upiętych włosów. Ludzie zażywali odpoczynku w cieniu długich gałęzi. Nieopodal drzewa jakaś staruszka rozstawiła wózek z herbatą, powoli krążąc wokół pnia, by schować się przed słońcem.

To pierwsze wspomnienie Jony o Rachel Nolander. Drzewo i oni kryjący się w cieniu. Próbowali rozmawiać i żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Jona chciał zapytać ją o ważne sprawy, ale nie mógł, bo wokoło kręciło się za dużo ludzi, a do głowy nie przychodziły mu inne tematy. Rachel przerwała ciszę.

– A więc... Jak ci się żyje? Znaczy, kim jesteś? – Odwróciła wzrok i powtórzyła szeptem: – Jak ci się żyje?

Zmarszczył brwi. Wiedział, że z takim marsem na twarzy nie wygląda jak szlachcic. Miał na sobie mundur ludzi króla i skórę twardą niczym kora, ogorzałą po wielu dniach na słońcu. Ona pewnie zrazu nie uwierzyła, gdy powiedział, że jest lordem. I nie uwierzy w żadne jego słowo.

– Nie wiem – odparł. – A jak tobie się żyje? I jak niby tacy jak my mają na to odpowiedzieć?

– Ja mam swój sposób. Mogę powiedzieć ci koan, który zawiera całą prawdę o moim życiu.

– Senta? Nic nie wiem o sentach.

– Tak daleko na południu nie ma nas wiele. Głównie paramy się uliczną magią. Nikt nie traktuje tego poważnie oprócz nas. Ja traktuję to poważnie.

– Powiedz więc, ile możesz.

– No dobrze, powiem ci wszystko, co musisz o nas wiedzieć. Była kiedyś senta znana ze swej mądrości. Tak mądra, że nigdy nie odezwała się nawet słowem. Pewien młodzieniec, zgłębiający tajemnice naszej wiary, dowiedział się o niej od rodziców, którzy mówili o tej nobliwej sencie z wielkim szacunkiem. Wyruszył na poszukiwania, przebył góry i morza. Gdy ją odnalazł, nie powitała go. Zapytał, dlaczego nigdy nic nie mówi. A ona tylko otworzyła klatkę, w której trzymała ptaka. Ptak został w klatce. Miał tam lustro i miseczkę z ziarnem, i drugą na wodę. Milcząca senta czekała. Nic się nie stało. A potem zamknęła drzwi klatki.

Jona czekał.

– I to już koniec? – zapytał w końcu.

– Tak. – Hm.

– Myślę, że tak wcześniej wyglądało moje życie. To... to chyba wszystko, co mogę ci teraz o nim powiedzieć. Rozumiesz?

– To znaczy, że nigdy o nim nie mówiłaś?

– Więcej. To głęboka prawda o tym, jak wygląda świat dla każdego z nas.

– To jedno z twoich zaklęć?

– Tak. Spójrz tylko. – W jej dłoni pojawiła się mała kula lodu. Z pluskiem wpadła do jego herbaty. – Kto to rozumie, zna również to zaklęcie.

Jona zamieszał herbatę.

– Moje życie chyba wyglądało podobnie, zanim się spotkaliśmy. – Wyciągnął rękę, próbując wyczarować lód.

Rachel zaniósł się śmiechem.

– Widać, że nie zrozumiałeś przesłania. Trzeba jeszcze pojąć ten koan na poziomie poza samymi słowami. Moja matka od kołyski wychowywała mnie na sentę taką jak ona. To wymagało ode mnie wielu lat skupienia i

medytacji. Pewnego dnia nagle poczułam chłód w gardle, a z moich ust uleciał obłoczek pary. Teraz czuję lód wszędzie wokół, jak tylko o nim pomyślę.

Jona skrzywił się na te słowa.

– Nie lubię takiego myślenia. Nic nie ma sensu, gdy za długo się nad tym głowisz. Co jak co, ale ci od Erin i Imama nie chcą, żebyśmy dużo myśleli.

– Nie mają racji, Jona. Nie mów mi o fałszywym podziale. Kosmos wciąż jest jednością.

– A co z Bezimiennymi? Oni nie mają sensu. Wierzysz w nich?

– W końcu się urodziliśmy, czyż nie? Tylko pomyśl. Nie obchodzi mnie, co mówią inni. Mamy swoje miejsce na tym świecie. Psy nie czują do nas takiego wstrętu jak ludzie. Sądzisz, że one są zdolne pojąć kosmiczną jedność?

– Psy? – zdziwił się Jona. – Muszę przyznać, że nie myślałem o tym w ten sposób...

– Psy nie lękają się nas. Dla nich jesteśmy zwykłymi ludźmi – przekonywała Rachel. – No, powiedz mi wreszcie, kim byłeś, gdy jeszcze mnie znałeś. Oto kolejne zaklęcie, czar potężnego ognia. Powiedz, jaką miałeś twarz, zanim się narodziłeś. Cokolwiek mi powiedz, Jona. Po prostu... nie siedzmy tu, gapiąc się na siebie. Dość już, że ludzie się na nas gapią.

Cisza wypełniła mu uszy, pełna spraw, o których nie mógł tej kobiecie powiedzieć. Było w nim dość z człowieka, by wiedział, że nie może jej wyznać prawdy pod osłoną tej wierzby, w cieniu wieczoru, przy herbacie, gdy wielu dobrych ludzi siedzi wokół.

– Cokolwiek – poprosiła.

Otworzył usta.

Nie wiem, co powiedział. Sam nie pamiętał swoich słów. Wiedział tylko, że nie były do końca szczere.



Jona siedział z kolegami z pracy w jakiejś speluncie na skraju Zagród. Śmierdziało tu martwymi zwierzętami. Ale to nic w porównaniu z odorem żywych. Ludzie wychodzili z zaplecza w różowym zwidzie, mamrocząc pod nosem, co im ślina na język przyniosła, a co nie miało żadnego związku z tym miejscem, gdzie zwierzęcy smród przeciskał się przez ściany. Do tego szynku przesiąknięci zapachem krwi rzeźnicy przychodzili się napić po przybyciu statku na rzeź, wciąż umazani zwierzęcą juchą. By golnąć sobie co nieco, udając, że są zwykłymi ludźmi. Za jedyną muzykę robiły tu sporadyczne przyśpiewy intonowane przez tych doświadczonych zabójców. Nucili takie śpiewki całymi dniami, zapędzając bydło, kozy i owce do ubojni. Właśnie tutaj Jona, Jaimie, Tripoli i Szajbus urządzili sobie libację.

Rozsiedli się przy stole w głębi szynku, tuż obok kuchni. Tripoli robił maślane oczy do barmanki i czał się, by uszczyplić ją w tyłek, gdy będzie przechodzić. Szajbus łykał surowe jajka niczym kieliszki wódki, a popijał je piwem czarnym jak smoła i kwaśnym jak zgniły owoc. Tripoli i Jaimie zakładali się, ile jajek Szajbus zdoła w siebie wdusić, zanim się porzyga.

Jona też obstawił. Podał tak niską liczbę, że reszta go wyśmiała. Szajbus może zjeść o wiele, wiele więcej, upierali się, krzycząc jeden przez drugiego. Jona nic sobie nie robił z ich docinków. Uważnie liczył jajka Szajbusa, aż doszło do jego liczby. Wtedy znienacka zamachnął się pałą, rozbijając jajko w dłoni kolegi. Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, kopnął skrzynkę z jajkami, rąbnął w nią pałą i podeptał te, które jakimś cudem ocalały z pogromu.

Trzej strażnicy siedzieli bez ruchu, kompletnie zaskoczeni. Nie mogli uwierzyć, że Jona rozbił tyle jajek dla paru miedziaków. Zrazu nie chcieli zapłacić. Jona śmiał się szyderczo. Nikt wszak nie powiedział, że nie może powstrzymać Szajbusa przed zjedzeniem kolejnych jajek.

Jego koledzy byli zbyt zdumieni, by się kłócić. Gdyby wypili trochę więcej, może by się o to pobili, ale wciąż byli na tyle trzeźwi, że nie chcieli kończyć popijawy. Nie byli jeszcze gotowi, by już teraz wyrzucano ich z knajpy.

Jona był dumny niczym zwycięzca walki kogutów. Śmiał się, licząc ich monety na dłoni. Wytarł pałkę w spódnicę barmanki, by jeszcze bardziej ich upokorzyć, na oczach Tripolego. Tripoli wyszedł. Chwilę potem wyszedł też Szajbus. Jaimie został, ale do końca ignorował Jonę, pochylony nad kubkiem, jakby chciał się w nim utopić.

Jona się znudził. Barmanka podała mu ostatnie piwo, na koszt lokalu, mówiąc, żeby poszedł rozbijać jajka gdzie indziej. Nie miał pojęcia, co było w kubku, ale smakowało jeszcze gorzej niż ohydne piwo. Wyszedł sam. Podeszwy kleiły się od jajek. Będzie musiał zdjąć buty, jeśli pójdzie do domu, ale nie chciał tam iść. Był wściekły. Powinien wiedzieć, że rozbicie jajek wszystko zepsuje. Powinien przeprosić.

Jutro uda, że ma straszliwego kaca, i powie, że nic nie pamięta, bo był tak pijany, i to zanim konkurs się zaczął. Że pił od rana. Będzie kłamał i szedł w zaparte. Nikt nie zarzuci mu, że było inaczej. I nikt mu nie uwierzy.



Tak dawno, że tego nie mógł pamiętać, matka odcięła z jego pleców skrzydła demona. Jeśli pytali go o blizny, mówił, że w dzieciństwie upadł na ogrodzenie z kolcami. Czasem zapominał, że szramy tam są. Nieraz kątem oka dostrzegał je w lustrze i zastanawiał się, czy to naprawdę są jego

plecy, czy mógł zostać tak pokaleczony bez wspomnień o bólu. Potrafił o bliznach zapomnieć, gdy okrywał je mundur, potrafił zapomnieć o swojej krwi.

Jak tylko się zorientował, że ludzie chorują, gdy choćby na nich splunie, nigdy nie robił tego celowo. Czasem to się jednak zdarzało, bo wszyscy plują, ludzie piją z tych samych naczyń, podają sobie ręce, czasem całują się w porywie chwili, niekiedy uprawiają seks. A on nie mógłby się wśród nich ukryć, gdyby choć od czasu do czasu nie zachowywał się podobnie. Matka powtarzała mu bez przerwy, żeby uważał. Próbował, ale tak jak o jego uciętych skrzydłach, łatwo było o tym zapomnieć.

Praca z ludźmi króla go zahartowała. Lecz tylko powierzchownie. Wewnątrz był bezkształtny, płynny; jak woda wciskał się w każdą szczelinę.

Król Nocy znalazł go pierwszy. Jona dopiero co rozbił jajka i kręcił się po okolicy, szukając kolejnej oberży. Sam pośród mroku. Zrobił jeden krok i był trzeźwy. Po drugim był w sztok pijany. Nim zrobił kolejny, nie był już w stanie chodzić. Oparł się o ścianę. Jego buty przywarły do ziemi. Zrazu pomyślał, że to przez jajka na podszwach.

Narzucili mu worek na głowę, chwycili pod łokcie i unieśli. Bez słowa, ot tak, go porwali.



Ludzie Króla Nocy zerwali z niego mundur. Tylko z workiem na głowie popędzili go przez długi, wilgotny korytarz, pchnęli na kolana. Jona wciąż był półprzytomny. Oparł się plecami o człowieka, który go trzymał, i zaraz się znalazł na czworakach. Ktoś go szarpnął od tyłu w górę, w głowie mu zawirowało.

Nóż przeciął mu skórę na piersi. Niezbyt głęboko, ale dość, by połała się krew. Krew niczym kwas, niczym trucizna. Ktoś wcisnął patyk w ranę. Patyk zwiądnął, zmurszał, nie zdołał podrażnić nerwów.

– Wiem o tobie wszystko – szepnęła jakaś kobieta.

Jona nie był w stanie mówić. Język miał gruby jak pęto kiełbasy. Próbował poruszyć głowę.

– Mogłabym cię wydać, posłać na stos. Każdy by mógł, gdyby cię przejrzał.

Jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z daleka, ale była tak blisko, że Jona czuł oddech na ramieniu. Nachylała się nad nim, szepcząc do ucha. Ręce miał ciężkie niczym tonące statki. Nie mógł się bronić, mimo że chciał uderzyć. Oprawczynie delikatnie uniosła jego dłonie i coś w nie włożyła. Ściągnęli worek, lecz Jona nie mógł unieść głowy. Zobaczył kobiece ręce trzymające go za dłonie. Dała mu lalkę z długimi siwymi włosami. Staruszkę. Jego matkę.

– Musisz udowodnić swoją przydatność. Przysłuż mi się albo na tobie nie poprzestanę.

Chciał spojrzeć na tę kobietę, ale ktoś od tyłu przytrzymał mu głowę.

W przyćmionym umyśle Jony jakby rozstąpiły się chmury. Już wiedział, jaki ma wybór. Wziął głęboki wdech i poruszył językiem. To wystarczyło, by powiedzieć z przekonaniem: – Zrobię to. Wszystko, tylko...

– Jeszcze się odezwę.

I znów zarzucili mu worek na głowę, brutalnie go ubrali.

Jak gdyby to wszystko było snem. Jona miał czysty mundur, czyste buty. Malutka lalka ciążyła mu w kieszeni niczym kamień. Ranę na piersi zamknięto woskiem i jałowymi bandażami. Gdy się zasklepiła, nie sposób było poznać, że coś mu się przytrafiło. Lalkę ukrył w ogromnym, pustym

domu, gdzie matka nie mogła jej znaleźć. Nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć. Przejrzeli go, teraz go wykorzystają.

Pewnej nocy wracał do domu ze zmiany, gdy nagle drogę zastąpił mu krawiec, który wyszedł ze swego sklepu, nerwowo rozglądając się wokół.

– Czego? – burknął Jona. – Jestem już po służbie.

Wtem zobaczył, że ten krawiec trzyma w dłoni lalkę. Poszedł za nim do sklepu, a tam dostał zwój zaadresowany czerwonym atramentem: „Do sługi Króla Nocy”.

Jego ofiarą miał być przemytnik, który udawał piekarza, mieszkał w sąsiedniej dzielnicy. Krawiec nie odezwał się ani słowem. Dał Jonie ubranie, by włożył je do tej roboty. Jona przebrał się na zapleczu. Zwój zawierał szczegółowe instrukcje, łącznie z tym, co zrobić z samym dokumentem.

Jona dopadł piekarza na pustej przystani promu. Zawołał go po imieniu, zawlókł za róg i przywiązał mu do szyi worek cegieł. Zrobił to tak szybko, że ofiara nie zdołała nawet krzyknąć, a już została wepchnięta do wody. Błada z przerażenia twarz znikła w odmętach. Jona się upewnił, że ofiara nie wypłynie, podarł zwój i strzępy wrzucił w wodę.

Ze ściśniętym gardłem uciekł, zwalniając dopiero w pobliżu sklepu krawca. Na zapleczu przebrał się z powrotem w mundur.

Wydawało się, że krawcowi było obojętne, czy robota została wykonana. Bez emocji, bez słowa zapłacił Jonie za poświęcony czas, poklepał go po ramieniu.

Takie były początki drugiego życia Jony, gdy zmrok oznaczał śledzenie różnych kobiet i mężczyzn, czasem zabijanie. Przedtem po pracy miał czas dla siebie. Od niechcenia wymachiwał mieczem na dachu swego domu, póki starczyło mu dziennego światła. Czytał, póki starczyło mu świeczek.

Rozmyślał o niebieskich migdałach, póki starczyło mu mroku. Gdy wstało słońce, udawał, że w nocy spał smacznie, jak każdy normalny człowiek.

Król Nocy wypełnił te puste godziny krwią i łowami.



Odtworzyłam przebieg niektórych zabójstw, ale nie wszystkich. Wydarzały się nagle. Na ogół w jego umyśle pozostało tylko oczekiwanie i wrażenie, jakie sprawiał nóż w dłoni, gdy przebijał czyjąś skórę. Wspomnienie, jak wpatrywał się w drzwi z nożem ukrytym w rękawie koszuli. Wspomnienie, kiedy próbował jak gdyby nigdy nic iść przez tłum, szukając ofiary.

Jednej ofierze przyjrzałam się bliżej, obwąchując miejsce, gdzie doszło do zabójstwa, gdyż Salvatore był tam, jeszcze zanim Jona zaczął go szukać. Jona był w podziemiach, przeciskając się przez tłum w nielegalnej świątyni Bezimiennych tuż nad brzegiem, gdzie ścieki wpadały do zatoki. Dzika hałastrza skakała do rytmu ogromnych bębnow. Ci ludzie mieli włosy postawione na sztorc i wysmarowane zielonym szlamem. Cuchnęli. Byli brzydcy w tych swoich łachmanach i dumni ze swej brzydoty. Śmiali się, odsłaniając zęby pokryte fosforem, i tańczyli w ekstazie.

Jona przepchnął się przez ścisk i wypatrzył ofiarę.

Wysunął nóż z pochwy w rękawie.

Rzucił. Trafił w oko. Bębniarz upadł na plecy. Drżącą ręką sięgnął do trzonka noża, próbował wstać.

Jona w te pędy podbiegł i wskoczył na bęben. Skórzana membrana trochę ugięła się pod butami, lecz wytrzymała jego ciężar. Wyszarpnął pałkę zza pleców i otrącił palce bębniarza od noża. Potem rąbnął go w głowę i skoczył mu na pierś. Tłukł pałką raz po raz. Zabryzgany krwią i kośćmi, zamknął oczy i nie przestawał, choć robiło mu się niedobrze.

Gdy w końcu się opamiętał, bębny dawno już zamilkły. Nie powinien się temu dziwić, a jednak się zdziwił. Nikt nie próbował go powstrzymać.

Krew, kawałki kości i mózgu przelewały się szczelinami pośród kamieni ku ściekom. W nikłym świetle woda w kanale miała barwę szkarłatu, jak śmierć.

Jona odwrócił się do tancerzy. Stali bez ruchu.

– Czego się tak gapicie?! – krzyknął. – Król Nocy przesyła pozdrowienia. Nie wchodźcie mi w drogę.

Czy nosił maskę? Nie wiem. Czasem zakrywał twarz, gdy wypełniał zadania dla Króla Nocy tam, gdzie ktoś mógł go zobaczyć. A czasem nie. Skorumpowanych ludzi króla było wielu. Nawet jeśli ktoś go rozpoznał, cóż mógł zrobić człowiekowi, który miał błogosławieństwo obu władców tego miasta?

Tłum Bezimiennych się cofnął. Jona wracał ku głównym kanałom ściekowym, przez cały czas czując ich spojrzenia na plecach.

Wtedy kolejne zlecenia dostawał przeważnie od cieśli, który nie stronił od rozmów. Gdy Jona zdał mu relację z zadania, przejęzyczył się przy imieniu ofiary. Przez chwilę cieśla był wściekły, myśląc, że zginął inny człowiek. Jona więc mu go opisał, a rysopis się zgadzał, choć imię nie. Cóż, trudno było spamiętać wszystko, co robił nocami.

W domu, w czystym ubraniu, zszedł na dół, gdzie matka przygotowywała śniadanie. Uścisnęła go na powitanie.

– Długa noc? – zagadnęła.

– Kręciłem się trochę po mieście. Nie znalazłem nic ciekawego. Nawet nie szukałem.

– Dobrze się bawiłeś?

– Ech, tak sobie. Jeśli się nie jest bogaczem, człowiek szybko się nudzi, a potem przez całą noc przypomina sobie, że jest biedny.

– Nadal jesteście arystokracją. Nie zapominaj o tym, gdy różni tacy tobą pomiatają. Owsianki?

– Poproszę.

Zaczął jeść. Matka również usiadła przy stole, lecz niczego nie tknęła. Nigdy przy nim nie jadła śniadania. Jedynie patrzyła.

Przy owsiance znów próbował sobie przypomnieć imię ostatniej ofiary. Miał je na końcu języka, ale jakoś nie potrafił przywołać z pamięci.

Później tego ranka pracował z Jaimiem w Zagrodach. Jacyś ćpuni kradli kozły i przemycali zioło zaszyte w martwych zwierzętach. Nikomu by nie przeszkadzali, gdyby wcześniej nie kradli kozłów. Jona i Jaimie znaleźli człowieka, który w ich przekonaniu był winny. Przyparli go do muru, by wydusić z niego imiona współników. To imię uderzyło Jonę z siłą wodospadu.

– Grigora – powtórzył, nie wiedzieć czemu, niemal do siebie.

– Kto? – Jaimie odwrócił głowę. Trzymał przemytnika za włosy i przyciskał do ściany, a ten sypał jak na spowiedzi.

– Nieważne – rzekł Jona lekceważąco. – Taki jeden, którego poznałem zeszłej nocy.

Spojrzał na daleki horyzont, zastanawiając się, gdzie go poniesie tej nocy. Słyszał, że kilku kumpli Grigory nie ucieszyła wieść o jego śmierci i Król Nocy już czyni przygotowania, by Jona i nimi się zajął.

Gdy przemytnik skończył śpiewać, Jaimie walnął Jonę w ramię.

– Ocknij się, do cholery.

– Taaak...

Jona się zastanawiał, co by było, gdyby powiedział prawdę. Zastanawiał się, który ze strażników doniósłby na niego, a który robił to samo co on, pracując nocą dla tych samych ludzi, których za dnia próbowali znaleźć.



Siedział w szwalni, w otoczeniu współpracownic matki. Wszystkie były co najmniej tak stare jak ona i trajkotały, jakby go nie było w pokoju. Jemu to pasowało. Był akurat Adwent, dzień, gdy ludzie odwiedzali sąsiadów, a te staruszki zebrały się tu, by pić ohydną herbatę miętową i rozprawiać o sukniach. Szwaczki lubiły wizyty w domostwie Jonich – w tym, co z niego zostało. Lubiły patrzeć na zubożałą szlachciankę, niegdyś wyniosłą, a teraz szyjącą suknie palcami wiele razy pokłutymi igłą, mającą charakterystyczny grymas warg po wielu latach przygryzania nici. I gdyby nie miłosierdzie Imama, przychodziłyby tu również nadęte panny, noszące uszyte przez nią piękne suknie.

Gdy szwaczki w końcu zauważyły Jonę, jedna uprzejmie zapytała go o pracę u ludzi króla. Uśmiechnął się. Wiedział, co im opowiedzieć. Opowiedział im o dniu, kiedy siłą wyduślił przyznanie się do winy z pewnego młodzieniaszka tylko po to, by sprawić przyjemność pewnej szlachciance, która nosiła piękne suknie. Chłopak ukradł mieszek jej stangretowi. Rzecz jasna, sługa obnosił się ze swoim nabitym mieszkiem w Zagrodach, licząc, że szlacheckie godło uchroni go od złego. I ta szlachcianka błagała kaprała Jonę, lorda Joni, by obił złodziejaszka, aż przyzna się do wszystkich kradzieży w całym swym nędznym życiu. Chłopak przyznał się do wielu rabunków. Calipari spisywał to wszystko w kajecie. Uzbierało się dość, by mogli go powiesić. Zaciągnęli rabusia na szubienicę z obiema połamanymi nogami i twarzą rozbitą na miazgę. Piękna to była dziewczyna, z oczami błękitnymi jak lazur, i tak cudnie wyglądała w wydekoltowanej sukni, z kokardami ze wstążek na łydkach, a tańczyła jak skowronek. Ostatnim razem, gdy Jona gościł na balu szlachty, zaszczyliła go tańcem. Dobrze się też całowała, ale zaklinał szwaczki, by nie mówiły o tym jej narzeczonemu.

Cisza jak makiem zasiał. Pociągnął długi łyk herbaty, a siorbnięcie było słychać w całym pokoju. Brudnymi rękami sięgnął na drugą stronę stołu po kanapkę i usiadł, wyraźnie się garbiąc.

– No co? Powiedziałem coś nie tak? – burknął z pełnymi ustami.

Malutkie staruszki bladymi palcami dotknęły zaczerwienionych policzków. Gdy wróciły do rozmowy, jedynym tematem była ostatnia suknia, którą uszyły dla tej dziewczyny, i hafty na rąbku, których sobie zażyczyła, jakby ktokolwiek poza szwaczkami zauważał takie detale.

Matka wymieniła z Joną krótki uśmiech, a potem dolała mu mięty do filiżanki.

– Kiedy spotykasz się na herbacie z lady Sabachthani, Jona?

Szwaczki umilkły.

– Za parę tygodni. Ona chce się poradzić w sprawie przestępczości w dzielnicach. Chce, żebym powiedział jej, jak może pomóc. Nijak, tak jej powiem. Trzeba by spalić całe miasto i wszystkich rozpędzić.

– Zaprosiła go na herbatę – pochwaliła się matka przed koleżankami. – Gdy miną deszcze, będzie chodził na bale. Tańczył z kobietami, które kupują u nas suknie. Ach, czyż w mundurze nie wygląda pięknie?

Żadna z kobiet nie odpowiedziała. Niektóre odstawiły filiżanki. Jedna zebrała się do wyjścia.

– Teraz to już bzdury gadasz – obruszyła się.

Jona dolał sobie brandy. Nie stać ich było na cukier, musieli więc używać taniej brandy, by zagłuszyć smak taniej, gorzkiej mięty. Im więcej o tym myślał, tym więcej brandy chciał sobie dolać.

Lady Ela piła herbatki z każdym. Wystarczyło mieć niebieską krew, by prędzej czy później dostąpić tego „zaszczytu”. Ostatnim razem, gdy miał okazję, Jona potrzebował raptem pięciu minut, by grzecznie wskazano mu drzwi.

Jona biernie obserwował przesłuchanie wytwórcy świec, którego księgi rachunkowe wzbudziły poważne wątpliwości Calipariego. Przejrzał te księgi, ale nie widział w nich nic wartego całego tego zachodu.

– A głównym wydatkiem były... ? – Sierżant Calipari maglował wytwórcę świeczek na wszystkie strony, czekając, aż się do czegoś przyzna. Wyglądało na to, że sobie poczeka.

Jona popatrzył za okno. Chciał pójść do domu, wziąć zimną kąpiel, otworzyć butelkę wina i udawać, że uciął sobie drzemkę. Tak podobno robili wszyscy po długim dniu w pracy.

Sierżant Calipari pstryknął palcami. Jona skinął głową. Płynnym ruchem wyciągnął spod stołu młotek, który trzymał na kolanie, i zniemacka uderzył nim przesłuchiwanego w kciuk.

Wytwórca świeczek wrzasnął. Wsadził kciuk do ust i ssał, kwiląc jak małe dziecko. Jego paznokcie połamał się i krwawił.

Jona znów odwrócił się do okna. Wydawało mu się, że zobaczył przelatującego ptaka, ale to mogło być coś na wietrze, cokolwiek. Chciał porządnie wymoczyć się w zimnej kąpeli z butelką wina, którą niedawno dostał w ramach łapówki, a potem mógłby kupić sobie lepszą kielbasę za pieniądze schowane na dachu. Matka nie miała pojęcia ani o nich, ani o tym, skąd się tam wzięły. Zauważyła tylko, że w domu bywa lepsze jedzenie.

Jona spojrzął pod nogi. Zmarszczył brwi. Przesłuchiwany, łykając łzy i trzymając się za skrwawiony kciuk, recytował wszystkie imiona i nazwiska, jakie mu do głowy przyszły.

Calipari skrupulatnie spisywał listę. Potem da ją pisarczykom, by sporządzili oficjalne nakazy, a wszyscy przestępcy trafią za kratki za niepłacenie podatków, z wyjątkiem tego wytwórcy świec. Informatora puszczą wolno, póki nie będzie znów potrzebny albo gdy jego występki

okażą się jednak zbyt poważne, by mu je puścić płazem. Czy Calipari powiedział mu, że może odejść? Sierżant wyszedł, by wydać polecenia pisarczykom, a Jona został sam z łkającym wytwórcą świec. Uniósł młotek.

– Proszę... – Delikwent patrzył na niego z przerażeniem.

– Zabieraj się stąd. I to szybko, bo rozkwaszę ci coś jeszcze.

Wytwórca świec rzucił się do drzwi.

Jona nie był pewien – może Calipari chciał aresztować tego typka? Ale nie pozwoliłby mu opuścić posterunku, gdyby mieli go przyskrzynić. Wciąż niepewny, poszedł do aresztu, by zobaczyć, czy wytwórca świec tam jest. Znalazł tylko Tripolego w jednej z pustych cel. Wcześniej we dwóch osuszyli flaszkę taniej whisky i pijany Tripoli zasnął na pryczy.

Jona zastanawiał się przez chwilę, czy nie zamknąć kolegi w celi, tak dla żartu. Poszedł jednak do głównego biura, gdzie urzędowały pisarczyki, by zapytać, co się stało z wytwórcą świeczek. Calipari zmarszczył nos, gdy poczuł od niego alkohol, i rozkazał mu iść do domu. Przed wyjściem Jona pokazał jeszcze sierżantowi, gdzie zaległ kolega. Przeklinając, Calipari zamknął celę na klucz i kopnął w kraty. Tripoli ani drgnął.

Gdy Jona chwiejnie włókł się w stronę domu, opadła go zgroza. Nie powinien dzielić się flaszką. Przekonywał siebie, że nie ma obaw, Tripoli będzie się źle czuł przez parę dni, i tyle. Ostatnim razem nikt nie umarł. I nikt nie powiąże faktów, o ile to nie będzie się powtarzało za często. Tripoli się wylize.

Łatwo zapomnieć, że nie jest taki jak ludzie, z którymi się przyjaźni. Musi być bardziej ostrożny.



Jona wkradał się bez zaproszenia na większość lepszych imprez w porze suchej, bo tak robiła jego matka, by poznać ojca. Tak spotykali się ludzie,

którzy oficjalnie nie mogli się poznać. Jego oficjalne spotkanie wyglądało tak, jakby lady Sabachthani czekała na właściwy moment, aż będzie potrzebować człowieka króla, który ma u niej dług wdzięczności.

Mało rozumiał. Już miała w kieszeni wszystkich ludzi króla. Jego też, a on nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Matka przechwalała się tym zaproszeniem na herbatkę w gronie szwaczek i radośnie się krzątała, by syna wyszykować. Pod jej okiem przystrzyżono mu włosy i ułożono, smarując sadłem, by nie sterczały. Gdyby mogła, osobiście doprowadziłaby go do drzwi salonu jego dalekiej kuzynki ze strony babki, która pełniła funkcję przyzwoitki – właśnie zaręczyła się z kuzynem Eli, a ta ją odwiedzała, by uczcić zaręczyny. To był tylko wybieg, co otwarcie stwierdzano już w zaproszeniu. Ela w życiu nie przyjęłaby arystokratów takich jak lord Joni we własnym domu, nieważne, co matka Jony mówiła innym szwaczkom. Lord Joni był wolny tak jak i ona, trzeba było więc uczynić zadość konwenansom. Lecz lady Ela piła herbatkę z wszystkimi szlachcicami w mieście, nawet z nim.

Jonę niezbyt często zwano lordem Joni, chyba że nabijano się z tego tytułu. W ogóle nie miał pojęcia, co lady Sabachthani mogła od niego chcieć, a bał się zapytać wprost.

Tym razem Ela przyniosła koszyk, o którym nie powiedziała ani słowa. Gdy wymieniono oficjalne uprzejmości, otworzyła koszyk i wyciągnęła ze środka małego czarnego teriera.

Postawiła pieska na podłodze, zrobiła kilka kroków i przywołała go do siebie. Zwierzę usłuchało. Potem kazała mu wspiąć się na ścianę. Do wtóru zgoła kurtuazyjnych westchnień zachwyty, maskujących obawę przed magią Sabachthanich, piesek wspiął się po ścianie do sufitu.

Promieniejąca zadowoleniem Ela poleciła zwierzęciu, by podało im herbatę. Terier zszedł po ścianie, skoczył na krzesło Eli, potem na stół.

Bardzo się starał, by utrzymać imbryczek w swym niezdamy pyszczku, ale choć sprytny, był przecież psem. Imbryczek wyśliznął się spomiędzy jego zębów i rozbił. Gorąca herbata pociekła na podłogę.

Ela zaklęła jak szewc i wrzuciła zwierzaka z powrotem do koszyka. Jej twarz oblała się rumieńcem.

W ciszy, która po tym incydencie nastąpiła, Jona zastanawiał się, czemu go tu zaprosili i czemu nie mógł już wtedy zwyczajnie wrócić do domu. Towarzystwo milczało, czekając, aż lady Sabachthani trochę się rozchmurzy. Cisza się przeciągała, a Jona czuł się przez to jeszcze bardziej nieswojo. Podniósł się z krzesła.

– To tylko imbryk – rzekł i podał Eli serwetkę przez stół. – Ten pies chodził po ścianach, a pani gniewa się z powodu rozbitego imbryka? W życiu nie widziałem takiej magii. Nawet senty tego nie potrafią.

Ela zignorowała jego gest.

– Ten głupek zrobił to specjalnie – zachnęła się, kopiąc w koszyk. – Salonowe sztuczki, nic więcej... Mój ojciec zakończył wojnę jednym czarem, a ja mam głupiego psa, który potrafi tylko wleźć na ścianę.

– To i tak imponujące. Znajdę pani nowy imbryczek. Gospodyni popatrzyła na Jonę tak, jakby właśnie przyznał się do zabójstwa.

– No co? – zapytał zdezorientowany. – Powiedziałem coś nie tak?

Gospodyni odchrząknęła.

– Służący się tym zajmą, lordzie Joni. Czekają, aż pan usiądzie, by mogli posprzątać.

Reszta gości uśmiechnęła się znacząco, ale nikt się nie odezwał. Oprócz Eli.

– Zawsze lubiłam to w ludziach króla, że są tacy zaradni. Nie czekają, aż ktoś inny ich wyręczy. Nie to co my.

Położyła koszyk na kolanach gospodyni i wydała psu ostatnie polecenie. Kazała mu przewrócić się na grzbiet i samemu się obsikać. Pies usłuchał. Uryna pociekła przez szpary w koszyku.

Tylko Jona wybuchnął śmiechem do wtóru lady Sabachthani. Gospodyni, z psem na kolanach, uśmiechała się, choć palce mocno zacisnęła na filiżance. Nie mogła zdjąć koszyka, nie robiąc przykrości lady Sabachthani. Musiała udawać, że jej się to podoba. Spotkanie przy herbatce wkrótce dobiegło końca. Gdy Jona wychodził, nikt go nie żegnał.



Mój mąż wrócił z domu tej szlachcianki. Powiedziała mu, że spalili wizytówki z adresem, które zostawił im Jona. Nikt nie był w jego domu i nikt nie znał drogi. Oprócz lady Eli, ale nie mogli tak po prostu się do niej zbliżyć. Główna miejska świątynia zwróciła się do kapitana straży miejskiej z wnioskiem o udostępnienie tego adresu, lecz on nie znalazł nic w rejestrze. Zapewne koledzy Jony zatarli wszystkie urzędowe wpisy, by chronić matkę i dom, który jej pozostał. Sądy mogłyby próbować go jej odebrać.

Spędziwszy dość czasu na przeglądaniu wspomnień Jony, mogłabym z łatwością trafić tam z każdego miejsca w tym mieście. Potrzebowałam tylko więcej czasu. Zresztą na razie Salvatore zdawał się większym zagrożeniem niż pusty dom i stara kobieta. Salvatore będzie próbował uciec. A ta staruszka? Ona nigdzie się nie wybierała z domu. Mogła poczekać.



Jona wałęsał się po Zagrodach. Pomachał do znajomego różaka, drobnego złodziejaszka, który doniósł na swego szefa w zamian za garść

miedziaków zaoferowanych przez jakiegoś lorda. Dellner zrobiłby wszystko, by mieć za co kisić się w podziemnych palarniach różu. Przyznałby się do wszystkiego, sprzedał każdego, o ile by tym zarobił na pobyt w podziemiach.

Dellner nie zareagował na życzliwy gest. Jona, poirytowany, zawołał go po imieniu. Dellner nawet nie podniósł wzroku. Jona kiwnął palcem na Szajbusa stojącego po drugiej strony ulicy i razem podeszli do Dellnera. Wrzeszczeli na niego, wymachiwali mu rękami przed twarzą, a on nic.

Szajbus mrugnął do Jony.

– Ależ różowy jest ten twój ptaszek. W życiu nie widziałem takiego ćpuna na powierzchni. Nie powinni go tu puszczać. Jest tak zamroczony, że wpadnie pod jakiś powóz.

Jona podrapał się po szyi i pokręcił głową.

– Tak różowy, że mógłby udawać mięso. – Popchnął Dellnera dalej w głąb alejki. Różak się nie opierał. Szajbus poszedł za nimi. – Ledwie przed tygodniem był naszym gościem. Widać przepuścił nagrodę w zielnej norze, jarając, jakby mu życie zbrzydło. – Jona mocniej pchnął ćpuna, który zatoczył się na ścianę i otarł sobie głowę o cegły. Jego krew była różowa. Pot również. Na ścianie została jasna plama.

Nagle Dellner potknął się i upadł, wbił mętne spojrzenie w niebo. Rozdziawił bezzębne usta – różowe w środku.

– Co mamy z nim zrobić? – zapytał Szajbus. Jona nie odpowiedział. Nachylił się, przewrócił Dellnera na brzuch, a potem nacisnął obcasem na tył jego głowy, wduszając mu twarz głębiej w błoto.

Narkoman nie mógł się bronić. Usiłował rozpaczliwie łapać powietrze, wierzgał nogami.

Szajbus coś powiedział. Złapał Jonę za ramię, by go odciągnąć.

Za późno. Dellner był słaby od palenia fajek z demonowym ziołem. Jego pierś przestała drgać, nogi znieruchomiały.

Szajbus pobladł ze zgrozy. Ręce mu drżały.

– No... – Jona pomyślał przez chwilę, zanim dokończył: – Nie chciałem go zabić.

– Mogliśmy zaciągnąć go do świątyni! Zaopiekowaliby się nim, póki by nie odwyknął od zioła!

– Ja nie chodzę do świątyń, Szajbusie. – Ciało różaka teraz przypominało zanurzony w błocie korzeń. – On też tam nie chodził.

Później Szajbus nic nie powiedział o tym Calipariemu. Nikt nie donosił na ludzi króla, a już na pewno nie inni strażnicy. Szajbus pomógł Jonie wepchnąć ciało do studzienki ściekowej, a jeśli ktoś to widział, słowem się nie odezwał. Przesłuchanie źle poszło, i tyle, tak się zdarzało, a wszyscy wiedzieli, że Dellner nikogo nie obchodził.

W porze obiadu Jona usiadł z kolegami przed posterunkiem. Reszta strażników nie jadła, tylko patrzyła na niego, czekając, aż odejdzie. Parsknął z pogardą. Wziął chleb i poszedł do głównej izby, gdzie sierżant Calipari przeglądał zwoje podczas posiłku.

Jona skinął głową na te papiery.

– Co robisz?

– Za cholerę nie umiem nic znaleźć w formularzu podatkowym tego... No wiesz, tego... – Calipari przerwał, kalkulując coś w głowie, szukając przemytników w kolumnach.

Pisarczykowie po drugiej stronie pomieszczenia próbowali nawiązać rozmowę, lecz ich ofuknął, więc pochylili się nad pracą. W końcu odłożył kajet i pstryknął palcami.

– Hej, lordzie Joni!

Jona przybrał maskę brutala przyłapanego na gorącym uczynku, acz zbyt dumnego, by się zarumienić ze wstydu. Właśnie tak powinien zrobić, wiedział to.

– Nie zabijaj mi więcej ptaszków, nawet przez przypadek – upomniął go Calipari. – Nie bądź taki okrutny. Porządny z ciebie facet, ale gdy nosisz ten mundur, żadne z ciebie panisko. Nawet szlachta może co najwyżej obić ludzi na swoich ziemiach, a ty nie masz już ani swojej ziemi, ani swoich ludzi. To nie twoja rzecz rachować kości poddanych króla na królewskich ulicach. Zlituj się nad różakami. Nikt nie chce tak żyć, nawet jeśli sam schodzi do palarni.

Jona potaknął.

– Nie było żadnych zgłoszeń – ciągnął sierżant.

– Jak dla mnie, sprawa sama przycichnie, i dobrze.

– Spojrzał znów do kajetu i zakreślił coś piórem. – No i mam cię. Kapralu, osobiście przetrączę ci gnaty, jeśli to się powtórzy. Pociągnę za dźwignię, gdy cię obwieszą. Rozumiemy się?

Jona skinął głową i w milczeniu żuł chleb. Sierżant Calipari nie oderwał wzroku od papierów. Za jego plecami pisarczyki zbledły i zaczęły się trząść.

Jeden wstał, by wyjść, lecz sierżant chrząknął znacząco, więc młodzik usiadł i naostrzył nowe gęsie pióro. Trzymał je nad dokumentem tak, jakby nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

Jona dokończył chleb i poszedł na spacer. Nie pojmował, czemu słowa sierżanta na niego nie podziałały. Wiedział, że powinien być przerażony, ale nie był. Nie był nawet zły.

Praca w straży go zahartowała, praca dla Króla Nocy go zahartowała, lecz w swym wnętrzu wciąż był bezkształtny.



Kolejny wypad na miasto z kolegami, tym razem z sierżantem Caliparim u boku. Byli daleko w głębi Zagród, pod ziemią, obstawiając walki kogutów. Wszyscy oprócz Jony. On jedynie gapił się na kotłowaną krew i pierza. I śmiertelnie się nudził.

Calipari klepnął go w plecy.

– Rozchmurz się! Dołączysz nas wszystkich. Jona wzruszył ramionami.

– Widać nie rajcują mnie takie ptaszki – bąknął. – Pójdę znaleźć sobie lepszy kuperek.

Koledzy się zaśmiali, a Jaimie powiedział, że chętnie się z nim zabierze, więc Jona obejrzał jeszcze jedno starcie. A potem wraz z Jaimiem wyszli na powierzchnię, kierując się na północ od Zagród. Mundurowi mogli liczyć na porządne upusty. Jaimie wybrał sobie podlotka, ledwie trzynastolatkę, i wbiegł za nią po schodach, ze śmiechem życząc koledze równie dobrego wyboru.

Jona w ogóle nie poszedł z dziewczyną na piąterko. Usiadł z szefową tego przybytku przy herbacie, nie zważając na dźwięki dochodzące z góry i na ludzi kręcących się wokół. Rozmawiał z burdelmama o jej córce, która wyszła za szacownego oficera na statku handlowym i mieszkała teraz przy zatoce w pobliżu portu. Już owdowiała, pracowała jako kelnerka w podrzędnej spelunie, nosząc w brzuchu dziecko jakiegoś kochanka.

Jona mówił o swoich poszukiwaniach odpowiedniej partii wśród szlachty, jak gdyby naprawdę chciał się żenić. Burdelmama udzieliła mu życzliwych rad, powołując się na wieści zasłyszane od możnych, którzy odwiedzali jej lokal. Wspomniała o imprezach, na których mógłby poznać wcale obiecujące panny. O tej porze roku organizowano mniej przyjęć, ale i tak pozostawało wiele sposobności do spotkań dla atrakcyjnego szlachcica w tak pięknym mundurze.

Tak po prawdzie, Jona w ogóle by tu nie przyszedł, gdyby nie Jaimie, który szukał burdelu. Ale miło było porozmawiać. Ludzie raczej nie odzywali się do niego życzliwie, gdy nosił mundur. Kiedy kolega zgramolił się na dół, z powiekami ciężkimi od wysiłku i alkoholu, Jona był zawiedziony, że to już koniec pogawędki.

Jaimie zakołysał się na obcasach, ledwie utrzymując kontakt z podłogą. Właścicielka przybytku zrobiła marsową minę i z trzaskiem odstawiła filiżankę z herbatą na stół. Jona wzruszył ramionami.

– Ten typ już tak ma – usprawiedliwił kolegę.

Jaimie klepnął go w plecy, próbując coś powiedzieć, lecz gdy otworzył usta, zamiast słów wyleciały rzygi. Strużki wymiocin z pluskiem wpadły do herbaty i zalały piękną porcelanę. Jaimie tylko się zaśmiał.

Chcąc nie chcąc, Jona musiał odprowadzić kompana. Jaimie sam by sobie nie poradził. Choć pijany w sztok, znał drogę do malutkiego domku, który odziedziczył po rodzinie żony. Na szczęście żona Jaimiego nie spała, czekając na powrót małżonka. Jona bez słowa zdjął kolegę z ramienia i przekazał w jej ręce. Była wystarczająco silna, by go udźwignąć. Ułożyła męża bokiem na stole w kuchni – tutaj mógł wymiotować do woli, a potem bez większego trudu da się posprzątać. Byli małżeństwem od piętnastu lat, już przywykła do takich numerów. Z okien na piętrze przyglądał się temu jeden z synów Jaimiego, raptem trzynastoletni i z dnia na dzień coraz bardziej podobny do ojca.

Potem Jona długo stał sam na ciemnej ulicy, przy której wznosiły się zwykłe domy prostych ludzi. Zastanawiał się, jak w tych domach jest za dnia. Zastanawiał się, jak tam jest popołudniem w dzień Adwentu, gdy mieszkańcy piją herbatę, dzieci się bawią, przykładne żony szyją odświętne czepki ze swymi siostrami na tylnym ganku. Ludzie chodzą z wizytami od domu do domu. Wyobraził to sobie – wydawało mu się takie normalne, lecz

kobiety nie miały twarzy, a dzieci były jedynie małymi, bezkształtnymi dłońmi śmigającymi po drzewach i chwytającymi się czego popadnie.

Próbował wyobrazić sobie jakieś dziecko. Jakiegokolwiek. Nie potrafił przywołać z pamięci choćby jednego. Próbował sobie przypomnieć imię syna Jaimiego, ale wyobraźnia splątała mu figla – dzieciak wyglądał kapka w kapkę jak pijany ojciec. Próbował pomyśleć o jakimkolwiek dziecku na świecie i zachować jego obraz przed oczami.

Nic nie zobaczył. Nic nie poczuł, chyba jego serce szerniało, zmieniło się w kamień. Usiadł na krawężniku i przycisnął ręce do piersi. Jakby ulatywało z niego powietrze. Tkwił tam przez długi czas, pochylony z bólu, który był jak zduszony krzyk.

To uczucie osłabło, ale nie zanikło, kiedy powoli ruszył do domu.



Mój mąż przeszukał całe miasto, przewąchując sterty śmieci w poszukiwaniu najgorszych skupisk skazy pomiędzy wychodkami i knajpami. Jona spędzał tu długie, parne noce. Za długo żył. Był w zbyt wielu budynkach. Chodził tymi drogami, sikał w tych alejkach i wszędzie zostawiał swój pot.

Był sam każdej nocy, gdy cała reszta śniła w najlepsze. On nigdy nie spał. Trzymał swe pochodzenie w tajemnicy i był bardzo uważny, ale popełniał wiele błędów, gdy obracał się wśród ludzi króla. Skrywał swą prawdziwą naturę, trzymając wszystkich na dystans.

Życie Jony kończyło się na granicy jego skóry. A przez to jego samotność była jak rozdarty żagiel, pozbawiony wiatru i przesiąknięty deszczem. Chodził z tym żaglem rozpostartym nad sobą, świdrując każdego nieznanego na tym świecie. Jego wzrok mówił tylko jedno: „Uważaj”.

Tak wyglądało życie Jony, zanim się dowiedział, że był jeszcze ktoś taki jak on. Zanim dowiedział się o Salvatore, tym nieśmiertelnym, i zanim spotkał Rachel Nolander. To było życie, o którym nie chciał jej opowiedzieć pod wierzbą, gdy zapytała.

Wtedy myślał, że na całym świecie nie ma drugiego takiego jak on, i czuł to głęboko w sercu, aż po czas na długo przed narodzinami, jak mawiały senty.



Tak wyglądało życie Jony, tak je znał i pamiętał. A potem Rachel Nolander, córka mimika, przybyła do Psiej Ziemi ze swym przyrodnim bratem.

Przybyli tu łodzią żaglową.

ROZDZIAŁ IV

Rachel przybyła do Psiej Ziemi łodzią żaglową. Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Trzeba się upewnić, by mój mąż mógł powiadomić o tym Kościół Imama i straż. Muszą znaleźć tę żaglówkę i ją spalić, a przemytnika aresztować i powiesić. Tak więc szukam wszelkich śladów Rachel we wspomnieniach Jony.

Gdy świeca dogasała, a Rachel opierała rękę o jego nagą pierś, słońce wisiało za zachodnim horyzontem, a ona miała wstać, ubrać się i wyjść na noc, on też, wtedy właśnie zaczęli rozmawiać.

Jaką masz twarz, zanim się rodzisz? – zapytała. Jona mógł zapytać ją o to samo.

Rachel z nikim poza bratem nie rozmawiała o swym życiu. Piętna demona nie można było wyciąć z jej skóry. Jej dłonie i większa część ramion całkiem przypominały ludzkie. Twarz i szyja też wyglądały normalnie, jeśli ktoś nie zauważył języka. Cała reszta była zniekształcona z powodu skazy. Spłodził ją demon sobowtór, mimik, który wśliznął się w skórę ludzkiego ojca Djossa. Jej matka była sentą, przepowiadała przyszłość i rzucała pomniejsze czary za garść miedziaków. Rachel skrywała zdeformowane ciało pod szatą senty, tak jak nauczyła ją matka. Po niej też przejęta wiarę, choć senty posłałyby ją na stos równie szybko jak inni. Po śmierci matki opiekował się nią brat, twardy człowiek, który nie miał zielonego pojęcia o wychowywaniu dziewczyny. Dorosła, zgłębiając koany, w nich szukała sensu istnienia.

Gdy wniknęłam we wspomnienia Jony, usłyszałam zgiełk jej opowieści i widziałam ją własnymi oczami, wahałam ją, smakowałam. Wejrzałam głęboko.

To była jego Ona.



Przybyliśmy do Psiej Ziemi łodzią żaglową.

Po całym słupie walały się śmieci. Starzec, który nim żegłował, nigdy nie wyrzucał niczego.

Pod pokładem leżały sterty mokrych papierów, zbitych razem i obwiązanych sznurkiem. Przyciągały muchy, które gonily za tłustymi resztkami jedzenia, niegdyś spożywanego na tych papierach. Wszędzie zalegały niedbale rzucone łachy. Pod ścianami piętrzyły się puste stare skrzynki. Rozfalowana woda czasami je przewracała, a nikt już ich potem nie układał ponownie.

Jeszcze niżej, pod zbutwiałymi skrzyniami, tam gdzie żaden inspektor nie zechciałby zajrzeć, kryli się przemycani ludzie i kontrabanda. Kapitan wiedział, kim jest Rachel, ale się nie przejmował. Dostał za nią więcej niż za zioło różaków. Ta podróż kosztowała ją i brata niemal wszystkie oszczędności. Nie żałowali jednak grosza. Musieli uciekać z miasta, wyskoczyli przez okno z pierwszego piętra, pobiegli do portu i gorączkowo rozglądali się za człowiekiem, który przyjąłby ich pieniądze.

Jej brat, Djoss, został na pokładzie, pomagał przy żaglu i sterze. Płynęli trzy dni. Rachel siedziała sama w ciemnościach. Czuła pod sobą rozhuśtany ocean. Gdy się nudziła, pstrykała palcami i patrzyła, jak płomyki migoczą w ciasnej kabinie. Nie mogła długo utrzymywać ognia wewnątrz drewnianego kadłuba, a to przez walające się wszędzie zmurszałe papiery. Mogła tylko trochę rozniecić niewielką iskrę. Pstryk, pstryk, pstryk. Gdy nie wierciła się z nudów, krzyżowała nogi, zamykała oczy, jej oddech się pogłębiał, przechodził w miękkie sylaby języka matki. Szukała prawd w koanach, których uczyła się od dziecka.

Po zmroku Djoss schodził na dół, by przynieść jej jedzenie. Na kolację mieli suchary. Twarde i smakujące jak słonina wymieszana z piaskiem. Popijali je herbatą zalaną zimną wodą. Nie mieli wrzątku, bo ogień zostawiłby smugę dymu na niebie, którą ktoś mógłby dostrzec.

Rachel próbowała przeprosić za to, że została odkryta. Djoss nie chciał słuchać.

– Ludzie w życiu by tego nie zrozumieli – rzekł – nie było więc innego wyjścia, jak ruszyć w drogę.

– Uciec. Byle dalej, nim ktokolwiek zdołałby nas złapać.

– Coś w tym rodzaju.

– Może tym razem będzie inaczej. – Nie wierzyła w to, ale tak powiedziała.

Przez trzy dni pogoda sprzyjała żegludze. Gwałtowne sztormy, z których sływał ten kanał, nie dały o sobie znać.

– Widać Bezimienni są jej przychylni – mruknął pod nosem stary kapitan. – Ani chmurki na niebie.



Wyszliśmy na brzeg na północ stąd.

Trzeciego dnia dotarli do Psiej Ziemi. Celnik tylko raz zerknął pod pokład i skrzywił nos. Podał kapitanowi świstek papieru przez dziób i powiosłował do kolejnego statku.

Nocą Rachel i Djoss stanęli na kamienistym brzegu w pobliżu opuszczonych magazynów. Djoss zepchnął słup na morze i pomachał kapitanowi na do widzenia. Starzec nie odpowiedział.

Rachel zmrużyła oczy, patrząc na księżyc. Nie widziała ani jednej gwiazdy. Lampy uliczne przygaszały nocne niebo. Księżyc wysunął się zza

chmur niczym blady, bezcielesny brzuch. To zły omen. Po wielu dniach dobrej pogody nadciągał sztorm.

Przed świtem już lało jak z cebra. Ulice spływały czarnymi rzekami błota. Kanały ściekowe wypluwały gęsty zielony szlam, pachnący jak śmiertelna trucizna, i zasilaly nim uliczne potoki. Rachel z bratem przeczekali burzę na opuszczonych schodach, pod osłoną rozsypującego się dachu.

– Chyba nam się udało – stwierdziła.

– Tak – odparł Djoss. – Wiesz coś o tym mieście? – Nic.

Zmarszczył brwi.

– Ja też nic.

Ulice były zalane. Każdy przechodzień brnął po kostki w błotnistej mazi. Woda pod nogami niosła martwe szczury, papiery i patyki. Przemknęło coś jeszcze w przemokniętym ubranku. Lalka lub martwe dziecko płynęło przez podtopione ulice, zaczepiając o koleiny.

Rachel zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, już tego nie było.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Damy sobie radę. To największe miasto na świecie. Nikt na mnie tu nie zwróci uwagi. – Ręce w kieszeniach miała zwinięte w pięści. Raz po raz zerkała na dół, by się upewnić, że rękawy wciąż ma ciasno przywiązane do nadgarstków.

– To nie twoja wina – pocieszył ją.

Tak daleko na północ od centrum miasta budynki wciąż nosiły ślady wojny sprzed dziewiętnastu lat. Wszyscy ludzie wałęsający się tu po ulicach, kobiety i mężczyźni jednak, byli chodzącymi wrakami. Drogi zapadały się pod stopami.



Robiliśmy co w naszej mocy, ale mogliśmy niewiele.

Przez wiele tygodni koczowali na ulicach, sypiając w bramach. Zimowy deszcz nie ustawał.

W czasie najgorszych nawałnic krajobraz rozmywał się Rachel przed oczami. Błoto sunęło miastem, tworząc potworne macki, wijące się jak pędy pnącza.

Jeszcze raz zamknęła oczy.

Gdyby zostali na ulicy, ludzie by zauważyli, że tylko jej ubranie daje cień. Ktoś nadepnąłby na jej but i odkrył, że zamiast palców ma dziwaczne guzki. Sypiając w bramach, w opuszczonych budynkach, w ruderach i śmietnikach, narażała się na to, że ktoś zobaczy, jeśli jej węzowy język wyśliźnie się z ust. Nocami szukali ciemnych odludnych kryjówek, ale to nie dawało im żadnej gwarancji bezpieczeństwa. W miarę możliwości starała się spać twarzą do ziemi, w głębokim cieniu.

Pomiędzy kolejnymi ulewami błakali się po okolicy, ukryci w tłumie, sprzedając iluzje, gdy Djoss nie mógł znaleźć pracy na kolejny dzień.

Gdziekolwiek poszła, zawsze się bała.

Praca czasem była, a czasem nie, raz bezpieczna, raz nie. Dzicy lokatorzy ulicy, tacy jak Rachel i Djoss, nie mogli na wiele liczyć. Z innymi rozmawiali tylko o pracy. W przeciwnym wypadku kryli się w cieniach, za węglem, w tłumie. Odchodzili.

Ciągle uciekali.



Poszliśmy na południe. Djoss i ja wciąż krążyliśmy po okolicy, szukając pracy, a może i stałej kwatery.

Dotarli na obrzeża dzielnicy magazynowej.

Na tej samej ulicy, trochę dalej na południe, czterech ludzi okładało się maczugami – kijami z osadzoną na końcu cegłą. Trzech kolejnych, poturbowanych, próbowało się odczołgać. Ziemia była czerwona od krwi.

– Dobry znak – ocenił Djoss zadowolony. Bitwa na środku ulicy oznaczała, że nikt ich tu nie będzie szukał. – O tak, znajdziemy sobie jakieś miejsce, jeśli dalej pójdziemy w tę stronę.

– Mam nadzieję, że nie.

– Że tak, chciałaś powiedzieć. Brudną robotę łatwo znaleźć i łatwo utrzymać.

– Djoss, proszę....

Wciąż się uśmiechał. Powiódł ją przez ulice coraz głębiej w noc.

Za magazynami, przez wały ku morzu wiła się rzeka. Przeprawili się promem na drugą stronę, skąpani w szarówce przedświt, zagubieni w tłumie ludzi spieszących do pracy w ubojniach. To kosztowało ich niemal wszystko, co mieli przy sobie.

Ciągle uciekali.

Kogut zapiał w świetle jutrzzenki. Brzask zaczął pełznąć po spadzistych dachach.

Gdzieś rozśpiewały się ptaki.

Inne ranne ptaszki, uliczne przekupki, czekały już z kramami na pierwszych klientów. Na grubym ceglany murze bezdomni chłopcy grali w kości o zaszczyt odarcia ze skóry kota, którego znaleźli w pułapce na szczury. Robotnicy z magazynów pogryzali chleb i kiełbasę w drodze do pracy. Jakaś kobieta, skóra i kości, zwymiotowała do rynsztoka, przeklinając swego kochanka.

Djoss kupił jabłko. Rachel wyrwała mu je, nim zdążył ugryźć, i otarła owoc dłońmi.

– Kup sobie własne – zaśmiał się i wgrzyzł się w jabłko. Ale zaraz się skrzywił. Pod czerwoną skórką było całe brązowe. Zjadł jeszcze trochę, a potem resztę zaoferował Rachel. Smakowało jak mokra pleśń.

– Kupię sobie własne – stwierdziła.

– Jeśli tak, dasz mi dojeść. Rzuciła ogryzek do rowu.

– O nie, Djoss. Nie ma mowy.

Mrugnął do niej porozumiewawczo. Nie mogli się dzielić jedzeniem, jeśli ona pierwsza ugryzła.

Za ich plecami jak spod ziemi pojawił się bezdomny. Podniósł ogryzek z rowu i zjadł. Rachel poczuła ciarki na plecach.

– Chodźmy już stąd – poprosiła, oglądając się przez ramię.

Djoss też to zobaczył. Oboje przyspieszyli kroku.



Znaleźliśmy Zagrody. I zostaliśmy.

Wyszli na brukowaną ulicę otoczoną rzędem kolorowych sklepów. Zatrzymali się w kawiarni na herbatę i ciastka, które smakowały jak zrobione z błota. Siedząc przy stole, obserwowali przechodniów.

Rachel zauważyła, że nikt z nikim się nie witał. Nie wyglądało jej to na przyjazne miejsce. A Djoss był zadowolony. Takiej dzielnicy szukał, tu na pewno znajdzie pracę w swym fachu.

Wiatr przyniósł od ubojni smród zwierząt. Zwierząt i śmierci. Rachel odłożyła ciastko, zakryła nos. Djoss wstrzymał oddech. Próbował się nie śmiać.

– Tu musi się znaleźć jakaś czarna robota. A nikt nie będzie nas szukał w takim smrodzie. Porządnym ludziom nie będzie się chciało.

– Przyzwyczajmy się – odparła. – Musimy tylko... Oczy wciąż łzawiły. Brat wylał fusy z jej filiżanki.

Rzucił resztkę ciastka na ziemię i rozdeptał je obcasem. Nikt nie mógł jeść niczego, co ona zostawiła, bo zapadłby na dziwną, podejrzaną chorobę. Odkąd przybyli do tego miasta, Djoss nie niszczył resztek jej jedzenia, ale w tej dzielnicy zostaną na dłużej.



Djoss skumał się z pewnymi ludźmi, gdy szukał pracy. Ot tak, przez przypadek. Chodziliśmy i chodziliśmy, a to się po prostu stało, nie wiedzieć kiedy.

Rzeźnik trzymał świnie w zagrodzie na tyłach swojego sklepu. Prowadził zbyt mały interes, by ulokować zwierzęta na giełdzie kupieckiej i szlachtować je potem w dużych ubojniach. Hodował wieprzki na swoim podwórzu, zabijał w swoim sklepie i tam sprzedawał. Pozostało mu szesnaście świń, ryjących we własnych odchodach, czekających na swoją kolej, by pójść pod nóż. Były małe. Biedne sklepy jak ten zabijały to, co im się trafiło, i drobno mielily na kiełbasę.

Gdy rzeźnik wyszedł, Djoss stał w bramie. Nie był sam. Kręciło się tam również trzech chłopaczków szukających pracy, zapewne braci, w jednakich przasných ubraniach z konopi. Przy nich Djoss wyglądał jak dorodne drzewo.

Wszędzie jest inaczej. Na północy zapukałby do drzwi od frontu budynku i złożyłby pisemne podanie o pracę, załączając ostemplowane zaświadczenie z miejskiej komisji, podrobione, rzecz jasna. Tu, na Psiej Ziemi, stał na tyłach i czekał. Kazali ci czekać, by upewnić się, że traktujesz to z powagą.

Rachel przyglądała się z pobliskiej alejki.

Trzy wieprze zdążyły pójść do sklepu na śmierć, a nikt nawet słowem się nie odezwał. Rzeźnik był niski, krępy, miał krzywe zęby. Gdy wyszedł po

czwartego świniaka, uśmiechnął się szyderczo do żebraków pod swoją bramą.

– Chcieliście czegoś?

Najwyższy chłopak odezwał się pierwszy.

– Ino pracy szukamy. Cokolwiek pan ma.

– Nic nie mam. Sam wszystko robię. Powiedźcie ojcu, że cuchniecie gorzej niż moje świnię. Nie zatrudniam brudasów. Do tego czyste ręce trzeba mieć.

Djoss potarł dłonie. Były niemal czarne z brudu i zrogowaciałe.

– On nie jest naszym ojcem – oburzył się średni dzieciak.

Djoss z kwaśną miną spojrzał na ręce. Nie było gdzie ich umyć. W tym mieście cała woda była błotnista.

– Jestem głodny – dodał ten średni.

– Wynoście się stąd – warknął rzeźnik.

– Powiedziałem... – Średni chłopak przykucnął, czujny i spięty. Przeskoczył przez ogrodzenie. A za nim bracia. Średni pognał w stronę sklepu. Gdy rzeźnik pobiegł za nim z wrzaskiem, pozostali dwaj chłopcy skoczyli po świnię.

Djoss sięgnął za ogrodzenie i chwycił najwyższego dzieciaka za ucho. Najmłodszemu zaś udało się złapać wieprzka i go utrzymać. Średni wybiegł ze sklepu. Na rękach miał krew, ale żadnego mięsa.

Rzeźnik gnał za nim z ogromnym szpikulcem w ręku. Twarz miał tak czerwona, że żyłki na jego głowie wydawały się bliskie pęknięcia.

Djoss puścił ucho chłopaka i zastąpił drogę rzeźnikowi, podnosząc ręce.

– Hej, nie zabijaj tego gałgana! On jest po prostu głodny!

Rzeźnik uniósł szpikulec.

Djoss chwycił go za przedramię i z łatwością zablokował cios. Był dużo silniejszy. Rzeźnik splunął mu w twarz.

– Jestem po twojej stronie, świniarzu – rzekł Djoss. Tymczasem najmłodszy i najstarszy chwycili świnie i rzucili się do ucieczki. Ten średni próbował złapać kolejną, ale mu się wymknęła. Upadł na twarz. Ze śmiechem podniósł się z gnoju i rzucił się na następnego wieprza.

Djoss pchnął rzeźnika plecami na ścianę, schwycił i podniósł szamoczącego się malca jak worek z pierzem.

– Za chwilę odniosę ci tego świniaka – powiedział do rzeźnika, a potem spojrzał na siostrę i pokręcił głową na znak, żeby za nim nie szła.

Rachel stanęła przed podwórzem, gdzie była dobrze widoczna. Wskazała rzeźnika palcem.

– Poczekam tu z panem.

Rzeźnik posłał jej złośliwy uśmieszek.

– Już ja tę świnie odzyskam. Zaraz skrzyknę tu ludzi króla. Jeśli to twoi wspólnicy, nie mam zamiaru płacić nagrody za to, co ukradli. Wszystko było ukartowane, ja to wiem.

– Djoss odzyska ją dla pana – odpowiedziała spokojnie. – Czy mu pan zapłaci, czy nie, dostanie ją pan z powrotem.

Rzeźnik już się nie odezwał, tylko pobiegł szukać strażników.

Rachel też odeszła. Trochę dalej na ulicy spotkała Djossa niosącego świnie pod pachą.

– Jeśli wrócimy, mogą nas aresztować – powiedział.

Djoss rozejrzał się w lewo i w prawo. Nie było widać jeszcze żadnych ludzi króla. Wskazał ulicę za plecami.

– Dzieciaki pobiegły tamtą alejką. Może tam mieszkają.

Z perspektywy rogu alejki, spoglądając w dal długiej, wąskiej ścieżki między budynkami, miało się wrażenie, że to okolica jeszcze bardziej ruchliwa. A tam, na końcu zabudowań tworzyło się pewnego rodzaju

podwórze, ale stąd trudno było coś dojrzeć. Jakiś człowiek w czerwonym płaszczu wyszedł z drzwi tuż przed Djossem.

– Idziesz tam? – spytał.

– Tak. A co, chcesz nas powstrzymać?

– Nie. – Był brzydki i chudy. Palił fajkę z różowym dymkiem. – Tylko unikajcie problemów. Gdy ludzie króla przyjdą szukać waszej świni, możliwe, że nie zdołam ich powstrzymać.

Djoss tylko skinął głową.

Na końcu alejki znajdował się opuszczony port. Ludzie mieszkali tu w namiotach i starych drewnianych skrzyniach. Rachel badawczo przyglądała się tłumowi, gdy wraz z Djossem obchodzili to dzikie obozowisko. Jej wzrok padł na kobietę w takim samym ubraniu z konopi, jakie nosili tamci trzej chłopcy.

Kobieta wstała, gdy Rachel i Djoss podeszli. Kiedyś musiała nauczyć się dobrych manier, inaczej nie podniosłaby się z błota. I nie dygnęłaby przed nimi. Jednak odezwała się prostacko.

– Czego chcecie?

Djoss się uśmiechnął. Próbował być przyjazny.

– Ma pani trzech synów? Zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, gdzie są.

– Podzielimy się z panią i pani synami, jeśli pani to przyrządzi. My nie mamy żadnych garnków.

Z niejaką obawą spojrzała na skradzioną świnię. Było widać, że od dawna nie miała nic tak dobrego do jedzenia, ale nie mogła uwierzyć, że naprawdę jej to dadzą.

– No dobrze. Rozpalę ogień, ugotujemy. Moi chłopcy na pewno będą głodni.

– Jak każdy – zauważył Djoss.

– Nazywam się Wróbel. Mówią mi Wróblowa. – Zaczęła układać drewno na wielkich kamieniach. Opał brała bezpośrednio z drewnianej skrzyni. Rozbierała swój dom, by przyrządzić stawę. – Jesteście stąd? Nigdy was nie widziałam.

– Przyszliśmy tu dzisiaj – wyjaśnił Djoss. – Szukamy pracy.

– Dla mężczyzn tutaj pracy w bród. Dla mnie nie ma żadnej. Idźcie z tym garnkiem nad rzekę, przynieście wody.

Rachel powstrzymała Djossa.

– Czekaj. – Wyczarowała kawał lodu z powietrza i włożyła do garnka. To było szybsze niż przyniesienie wody z nad rzeki.

– Na co nam lód? – zdziwiła się Wróblowa.

– To jeszcze nie koniec – odparła Rachel. Skupiła się na innym koanie i pstryknęła palcami.

Pstryk, pstryk, pstryk. W jej palcach pojawił się płomyk. Przeniosła go nad lód, potem na drewno. Zapłonęło ognisko, lód szybko się stopił, woda zawrzała.

– Proszę nie dziękować – dodała Rachel po wszystkim. Wróblowa poderżnęła świni gardło, a krew spuściła do gotującej się wody. Zwierzę chwilę szarpało się w jej rękach, ale szybko zdechło. Podzieliła wieprzka najlepiej, jak mogła bez noża. Trudno było oderwać ścięgna od kości.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała, wrzucając kawałki mięsa do garnka.

– Jestem sentą.

– Czym?

– To... długo by trzeba tłumaczyć. Wróblowa pomieszała w garnku patykami.

– I gdyby warto było to wiedzieć, nie byłabyś tu ze mną, prawda? Nie, jeśli umiałabyś coś naprawdę pożytecznego.

ROZDZIAŁ V

To stało się tak szybko. Ni stąd, ni zowąd mieliśmy przyjaciół. Przynieśliśmy świnie, którą ukradliśmy. Podzieliliśmy się nią. Przedstawili nas komuś, kto mógł pomóc. Djoss znalazł pracę. I kolegów. Ja nie poznałam nikogo. Djoss tylko wyciąga rękę i już, a ja nie ja nie chcę z nikim rozmawiać.

Synowie Wróblowej zjawili się, jak tylko wieprzowina była gotowa. Nie patrzyli na Djossa i Rachel. Byli dość mądrzy, by wiedzieć, kiedy powinni milczeć i wziąć, co im dawano. Gdy dostali porcje, odbiegli z nimi, kryjąc się nawet przed sobą nawzajem, niczym dzikie psy, co wyszarpały ochłap z padliny. Djoss, Rachel i Wróblowa nie zachowywali się tak prymitywnie. Całe mięso zostało zjedzone, lecz nadal pozostało sporo jadalnych resztek i trochę organów. Dzieciaki Wróblowej wróciły, głośno żądając dokładki. Matka trzasnęła pierwszą dłoń sięgającą do garnka.

– Nie twoje! – upomniała i zwróciła się do Djossa. – Jeśli szukacie pracy zanieście garnek do Turca, może będzie chciał trochę. Tylko nie zapomnijcie o mnie, jak dostaniecie od niego jakieś pieniądze.

– Nie zapomnimy – obiecał Djoss.

Garnek był wciąż zbyt gorący by go nieść. Djoss zdjął więc koszulę i owinął w nią dłonie. Rachel już dawno nie widziała jego nagiego torsu. Wyraźnie schudł. Bez koszuli wyglądał jak pień drzewa. Skórę miał bladą i łuszczącą się jak kora, mięśnie zbite jak węzły.

Zaniósł garnek ku alei, z której przyszli. Rachel ruszyła za nim. Zobaczyli postawnego mężczyznę, łysego, z bliznami po oparzeniach na całej głowie i uciętymi uszami.

– Hej – odezwał się Djoss. – Szukam Turca. To ty? Mężczyzna powoli włożył rękę do parującej wody.

Wyciągnął głowę świniaka i wgrzył się w nią niczym zółw żujący mokrą trawę.

– Zgaduję więc, że jesteś Turco – rzekł Djoss. Człowiek w czerwieni siedział w otwartych drzwiach. Przytknął zapałkę do fajki i zaciągnął się głęboko.

– Nie, on się nazywa Pies – rzucił niedbale. Jego jasnoczerwone ubranie wyglądało tak, jakby niedawno było prane. Nikt inny tutaj nie miał tak czystego odzienia. Ani tak czystych dłoni. Podniósł się z progu. Nie zamknął drzwi. Za nim Rachel widziała ludzi siedzących w mroku. – To dla mnie? – Zajrzał do garnka i się skrzywił. – Obrzydlistwo. Kto to upichcił?

– Nie pamiętam, jak się zwała – odparł Djoss.

– Wróblowa – odpowiedziała Rachel. – Ma trzech synów.

– Jej chłopcom przyda się to bardziej niż mnie. – Turco zaciągnął się fajką i wydmuchał kolorowe kółko dymu. – A kim wy jesteście?

– Ja jestem Djoss, a to moja siostra.

– Chcecie zamieszkać w naszej dzielnicy? Widząc, jak nadchodzicie, uznałem, że zajmiecie jakąś skrzynię, jeśli znajdziecie wolną. Pomyślałem, że później was poszukam. To nasze miejsce. Trzymamy ludzi króla z daleka ze względu na towar. Niektórzy płacą krocie, by tak już zostało. – Wskazał na ludzi wewnątrz budynku. – Oni za to nie płacą. Ale wy musicie, jeśli chcecie mieszkać tutaj.

– Nie mamy żadnych pieniędzy.

– Pies też nie ma, a jednak tu jest. I Wróblowa tak samo. – Turco się uśmiechnął. – Nie boisz się ubrudzić rączek?

Djoss uniósł dłonie do góry.

– Już mam brudne. Mogę robić za ochronę. Albo za tragarza w razie potrzeby.

Turco podał fajkę Psu, który mocno się zaciągnął i wywrócił oczami.

– Co z nim? – zapytał Djoss. Turco wzruszył ramionami.

– Ma ucięty język. Nie wiem, jak się nazywa. Ja wołam do niego Pies, bo chodzi za mną krok w krok. Czasem daję mu się sztachnąć.

Fajka wróciła do Turca. A Pies znowu wgrzył się w łeb świni. Skończył z policzkiem, zaczął żuć ucho.

– Co to jest? Nie pachnie jak tytoń.

– Różowy towar. Demonowe zioło. Dobre.

– Ma coś wspólnego z demonami?

– Nie. Tak to po prostu nazywają. Chcesz spróbować?

– Djoss, nie... – wtrąciła się Rachel.

– Pewnie – odparł Djoss. – Założę się, że i tak niedługo będę miał z tym do czynienia w pracy.

Turco wyciągnął fajkę przed siebie. Djoss ją wziął. Ledwie się tliła, więc musiał użyć kolejnej zapalki. Zaciągnął się, zamknął oczy i wypuścił dym.

Rachel miała ochotę krzyczeć.

– Dobre – pochwalił. – Naprawdę dobre. – Wysunął fajkę spomiędzy warg. Uśmiechał się. Spojrzał na żarzące się liście.

Rachel chciała wytrącić mu fajkę z rąk. Jej brat oddał fajkę i kaszlnął. Pochylił się i oparł ręce na kolanach. Jeszcze trochę pokasłał. Rachel poklepała go po plecach.

– Dobrze się czujesz?

– Ja... – Zaczął się śmiać. – Nic mi nie jest. Sama powinnaś spróbować.

– Nie. I ty też już nigdy nie próbuj. Cokolwiek to jest, nie może być dobre.

– Sądziysz, że jest gorsze od jedzenia tej świni? – Djoss włożył rękę do garnka. Wróblowa nie miała czym przeciąć kości, a w garnku wygotowała się klatka piersiowa w całości, z żebrami wciąż przytwierdzonymi do kręgosłupa. – Hej, Turco, masz nóż? Możesz to pokroić?

Turco wyciągnął długi nóż z buta i wrył go w kręgosłup tak mocno, że na boki poleciało trochę mięsa.

– Chcecie pracy? – zapytał. Rachel zacisnęła pięści.

– Ja nie będę dla ciebie nic robić, Turco.

W pokoju słyszała śpiew z wielu gardeł. Ludzie fałszowali.

Turco leniwie pociągnął z fajki.

– Szkoda. Twój brat będzie musiał ciężko tyrać. Wróćcie jutro. O świcie.



Wiadomo, że tacy ludzie są przyjaciółmi tylko wtedy, gdy czegoś chcą.

Jeśli nam za to płacą, jeśli pomagają, Jona, to niby co mamy zrobić? Turco zabierał część z wypłaty Djossa. Wiedziałam to. Z mojej też zabierał, gdy pomógł mi znaleźć jakieś zajęcie. Ale przynajmniej mieliśmy pracę, zarabialiśmy. Przedtem nie mieliśmy nic. I zostaliśmy tam przez jakiś czas.

Jak było?

Okropnie. Po prostu okropnie.

Gdy zbliżała się noc, Wróblowa naciągała skradziony płócienny żagiel na dach drewnianej skrzyni. Turco i Pies sypiali na początku alei. Rachel mogła poznać, gdzie leżeli, bo ich ciała zostawiały po sobie różowe smugi, które rozmywały krople rosy. Lepiej niż inni wiedziała, jak niebezpieczne potrafią być plamy na ziemi.

Podczas gdy Djoss zniknął na wiele godzin z Turkiem i Psem, ona zostawała z Wróblową. Chłopcy gdzieś się włóczyli.

Kobiety nie rozmawiały wiele. Rachel nie chciała zwracać na siebie uwagi, więc nie zdradzała się ze sztuczkami sent.

Siedziała cicho i wpatrywała się w atramentową wodę. Szukała w głębi siebie znaczenia koanów, uspokajając oddech. Jaką masz twarz, zanim się rodzisz? Zrozumienie ognia przychodziło jej łatwo. Zrozumienie wiatrów i lodu również. To były koany podziaku. Zgłębienie koanów Jedności, koanów czarośnienia, było niezmiernie trudne. A gdy się zdarzało, nigdy nie przynosiło nic dobrego.



Mój mąż powiedział, że znalazł drewniane skrzynie, w których zatrzymywała się Rachel. Wyczuł smród, który zostawiła po sobie.

Me mieli gdzie się podziac, odparłam.

Co jeszcze możemy zrobić? Jej skaza pozostała tam, gdzie ją wypociła. I w zaułkach, gdzie chowała się przed ludźmi. Jedyne sposoby, to spalić wszystko.

Ci ludzie nie mają gdzie się podziac.

Zaniesiemy im koce. Zaniesiemy im pobłogosławione jabłka i wino mniszkowe. Spróbujemy pomóc.

I zniszczymy ich liche domostwa.

Odbudują je.

Chcę wrócić do domu.

Już niedługo.



Było po prostu okropnie, Jona.

Wróblowa spojrzała na tę dziwną kobietę.

– Długo z sobą jesteście, ty i on?

– Od kiedy się urodziłam – odparła Rachel. – Naprawdę jest moim bratem. Nie widzisz podobieństwa?

Wróblowa parsknęła.

– Nie. Chłopcy go lubią. Nie jest taki jak Turco. Nie jest zły jak tamci.

– Jak nazywał się twój mąż? – zapytała Rachel.

– Nie gadam o zmarłych – bąknęła Wróblowa.

– Czemu nie? Co jest złego w pamięci o...?

– Po prostu boli mnie, gdy o tym gadam. Widzisz, jak moi chłopcy dorastają bez ojca? – Nie zagłębiała się w swoim bólu. Już dawno zobojętniała na wszystko.

– Możesz nauczyć mnie robić lód? To by mi się przydało. Mogłabym się w upał ochłodzić.

– To tak nie działa.

– Dzięki za nic.

Wróblowa odeszła, by wykąpać się w rzece. Rachel myła się w ubraniu, zdrapując z siebie brud żwirem. Robiła to, gdy Wróblowej nie było w pobliżu.

Zamknęła oczy, szukając w ciemnej głębi swego serca kobiecego przeznaczenia. Nie zobaczyła zupełnie nic. Czy ta pustka była jakimś rodzajem prawdy?

Turco zachodził do nich codziennie, tak samo jak Pies, a czasem przyprawdzali kogoś nowego. Kiedyś Wróblowa zapytała Rachel, czy chciałyby trochę dorobić. Powiedziała, że to łatwe i proste.

Rachel w życiu by tego nie zrobiła, nawet jeśli bardzo potrzebowałyby pieniędzy. Odeszła. Błądziła przez miejskie ulice, zastanawiając się, gdzie jest Djoss. Szukała go, ale jakby zapadł się pod ziemię. A to jej się nie podobało.

Gdy wróciła, Wróblowa siedziała spokojnie, jakby nic się nie stało, gapiąc się na rzekę, trzymając w ręku kilka monet. Dala je synom, którzy kupili jedzenie. Djoss też przyniósł jedzenie kupione za to, co zarobił.

Dni mijały powoli. Nic nie było dobre. Nic nie było piękne. Rachel spała twarzą do ściany, dłońmi podtrzymując brodę. Gdyby jej język wysunął się z ust we śnie, nawet ta żałosna drewniana skrzynia nie byłaby bezpiecznym schronieniem dla niej i brata.



Ależ się cieszyłam, że zeszedliśmy z ulicy! Nigdy tak nie żyłeś, więc nigdy nie zrozumiesz, póki nie przekonasz się na własnej skórze.

W trzecim tygodniu Djoss wrócił z podbitym okiem i wielką torbą pomarańczy. Wręczył owoce Wróblowej i jej synom, po czym dał znać Rachel, by wstała. Siostra delikatnie dotknęła jego opuchniętej powieki.

– Co ci się stało?

– Turco załatwił mi fuchę ochroniarza – odparł Djoss. – Mam już pokój, gdzie możemy dziś nocować. Nic specjalnego, ale przynajmniej ma dach i cztery ściany. Możemy się tam wykapać. – Spojrzał na Wróblową i chłopaków, ściszył głos. Był szczęśliwy, ale wstydził się tego szczęścia. – I schować się przed deszczem.

Rachel zerknęła na Wróblową, która gapiła się na zapleśniałe ściany swojej skrzyni, udając, że nie słyszy rozmowy.

Chłopcy mieli twarze wysmarowane sokiem pomarańczy. Najmłodszy próbował zjeść skórkę.

– A więc idziecie sobie, tak? – zapytała Wróblową, nie odrywając oczu od ścian.

– Dziękujemy – odparł Djoss. – Będę was czasem odwiedzał.

Kobieta milczała.



Jona, co robisz dla dobra tych biednych ludzi żyjących w drewnianych skrzyniach i alejkach? Robisz coś?

Nic.

A król coś robi?

Też nic. Czemu mamy coś robić? I co byśmy mogli?

Gdzieś w alejce, za Turkiem i Psem, Djoss przewrócił kopniakiem kubek deszczówki.

– Czemu ludzie beczynnie czekają na śmierć? Rachel pokręciła głową.

– Każdy dba o siebie. My też musimy – odpowiedziała i przytuliła go. – Chodź, zobaczmy ten pokój, który znalazłeś. Nie mogę się doczekać kąpieli.

Poprowadził ją do piekarni w dzielnicy Zagrody, gdzie kobiety i mężczyźni co rano szli do pracy w ubojniach. Czynsz był tu niewielki, a ludzie nie otwierali okien.

By dostać się do pokoju, musieli przejść przez sklep. Pachniało tam lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu, odkąd trafili do Zagród.

Djoss pomachał do piekarza i wskazał kciukiem na Rachel.

– To moja siostra.

Piekarz coś mruknął potakująco.

– Czynsz trzeba płacić co tydzień – przypomniał.

– Zostawiam czerstwy chleb dla mieszkańców. Kto pierwszy, ten lepszy. Polejcie go wodą, a od razu zmięknie. Smakuje okropnie, ale nic was nie kosztuje.

– Wręczył im zawinięty w brudny papier pierwszy darmowy bochenek, ciężki jak kamień.

Gdy znaleźli się w pokoju, Djoss się wykapał, podczas gdy Rachel stała odwrócona twarzą do ściany, czekając na swoją kolej. Nie było tam krzesła,

na którym mogłaby usiąść, a miała już dość siedzenia na ziemi. Używając skradzionego mydła, Djoss wyprał jedyne swoje ubranie w wodzie po kąpieli. Włożył je mokre i wyszedł, by Rachel mogła się w spokoju wykąpać.

Rachel umyła się w tej samej zimnej, brudnej wodzie, przesuując ręce po łuskach w dół brzucha i nóg. Nie potrzebowała mydła, by się wyczyścić; wystarczyło, że od czasu do czasu zrzucała z siebie łuski i je paliła. W pokoju nie było podłogi, więc wylała wodę w rogu, uważając, by nie chlapać, a potem siedziała nago na sklepowej półce, czekając, aż trucizna wsiąknie bezpośrednio w ziemię. Szaty senty rozwiesiła obok, by się podsuszyły. Nie mogła użyć koanu ognia, by to przyspieszyć, gdyż ubranie zajęłoby się od skazy.

Wysunęła język po raz pierwszy od wylądowania w tym mieście. Opadł aż za brodę. Jej twarz miała smak brudnego mydła. Wciągnęła język w głąb gardła, gdzie zwinął się jak sprężyna. Kilka z jej najwcześniejszych wspomnień dotyczyło matki uczącej ją, jak mówić, nie wzbudzając podejrzeń, z długim językiem zwiniętym w gardle, używając jedynie jego koniuszka, by formułować słowa.

Przez miasto przeszła ulewa. Rachel była pod dachem, jej ubrania się suszyły, a ona była sucha tuż przy nich. Djoss zarabiał pieniądze, robiąc dla Turca nie wiadomo co.

Była w domu.



Jak to jest, bez przerwy przenosić się z miasta do miasta?

Boję się każdego dnia mego życia, Jona. Każdego dnia jestem przerażona. To jak ciągle słyszeć w głowie dokuczliwą piosenkę. Nawet nie

kapię się nago, jeśli mogę tego uniknąć. Zakrywam się ręcznikiem albo ubraniami.

Teraz jesteś naga.

Mam koc. Mam ciebie. A jak ty?

Nie wiem. Chyba się nie boję. Z wyglądu nie różnię się od innych ludzi. Uciekam, jeśli ktoś mnie zrani. Staram się, by nikt nie zauważył, że nie śpiam. A ludzie nie zwracają uwagi, jeśli się o tym nie mówi. Są zbyt zajęci spaniem. Chyba się nie boję.

Chciałabym wiedzieć, jak to jest.

Jak co jest?

Życie bez obaw. Ja jestem przerażona.

Nie widać tego po tobie.

Nasienie kwiatu mojego życia osiadło tutaj. Moim obowiązkiem jest rozkwitnąć. Cały czas się boję, ale staram się rozkwitnąć. Żyję z tym, więc się przyzwyczajam i na ile się da, nie zwracam na to uwagi. Po prostu staram się być ostrożna i nigdy nie pozwalam, by strach kierował moim życiem.

Teraz też się boisz, tu ze mną, w zamkniętym pokoju?

Jestem przerażona. Ale i szczęśliwa. Czemu wszyscy mówią, że doznają tylko jednego uczucia naraz? We mnie kłębi się wiele uczuć jednocześnie.

Ja czuję tylko jedno.

Czyli co?

Że niedługo muszę już iść. Muszę się z kimś zobaczyć.

To nie jest uczucie.

Uczucie jest takie, że nienawidzę tego człowieka. Zabiłbym go, gdybym sądził, że zdołam.

Nikogo nie zabijaj. Nawet z tego nie żartuj.

Nie mogę go zabić. Zobaczymy się jutro.

ROZDZIAŁ VI

Jona wyrzął przez okno nad ramieniem matki. Zatrzymał w powietrzu widelec, z którego zwisał kawałek kurczaka przypominający oklapły sierp księżyca.

– Dobrze się czujesz, kochany? – Ona już zjadła swoją niewielką porcyjkę. Zawsze twierdziła, że nie jest bardzo głodna. A Jona się z nią o to nie spierał.

– Jona, kochany, dobrze się czujesz? – powtórzyła.

– Hm? – Opuścił widelec i odwrócił wzrok od okna.

– Och, tak tylko sobie myślałem o dzisiejszej nocy.

– Jakieś poważne plany?

– Próbowałem właśnie jakieś ułożyć – skłamał.

– Cóż, uważaj na siebie. Licho nie śpi.

– Będę uważał, mamó. – Za oknem ludzie pędzili przez ulice, jakby gnało ich poczucie misji dziejowej.

– Mógłbyś zostać w domu i trochę poczytać.

– Nie stać nas na tyle świeczek, mamó. Skrzywiła się. Mówiła do niego z innego okresu swego życia, z dawno minionego czasu.

– Tak czy siak, mógłbyś po prostu zostać w domu. Zawsze jest tu coś do zrobienia, nawet po ciemku. Mógłbyś iść na dach. Nocami przeważnie jest tam dość jasno. A nie trzeba światła, by rozwiesić pranie.

Jona pokręcił głową.

– Nie, jeśli pada.

– To włóż kurtkę. – Głos jej zadrzał.

– Dobrze, mamó. Wycelowała w niego palec.

– Wróc przed świtem – powiedziała stanowczo. – Nie lubię wychodzić do pracy, jeśli nie wiem, gdzie jesteś. Bo potem się zamartwiam.

Roześmiał się.

– Dziś mogę nie zdążyć do domu. Chyba pójdę od razu do straży, jeśli będę w pobliżu i w nastroju na musztrę. – Wstał i rozprostował ramiona. Nie zdejmował munduru od dawna. Rękawy miał ubrudzone brązowymi plamami od krwi, a całość przesiąkła potem i deszczem.

Będzie musiał się przebrać, zanim wyjdzie, chociażby tylko po to, by ktoś węchem nie wyczuł go skrytego w cieniu.

Zabijanie ludzi było łatwiejsze niż ich śledzenie. Nie musiał się przebierać, gdy ich zabijał, i krócej to trwało. Po prostu znajdował człowieka, robił swoje, a potem wtapiał się w noc.



Zatrzymał się pod oknem matki i słuchał. Nie chrapała przez sen, ale oddychała na tyle głośno, że było ją słychać przez otwarte okno. Całymi dniami wdychała barwniki i unoszące się resztki nici w swojej szwalni. Płuca ma ciężkie od pracy, mówiła, ale żadna z jej koleżanek nie czuła się tak źle.

Jona spojrział ponad okapami rodzinnej posiadłości. W dzisiejszych czasach nie robiła specjalnego wrażenia, ale była okazalsza niż domy jego kolegów z pracy. Czemu matka nigdy nie wynajmowała żadnego z pokoi? Zastanawiał się, czy to przez niego.

Nieopodal na sznurach z praniem zatrzepotały ubrania. To jedna z zalet domu bez obcych lokatorów – pranie mogło się suszyć na dachu, gdzie nikt nie zauważy, że jego ubranie dymi z powodu jego skażonego potu.

Odszedł od okna matki.

Miał z sobą maskę, ale na nią było jeszcze za wcześnie i zbyt gorąco, niech kamienie oddadzą nagromadzone w dzień ciepło. Noc zapowiada się parna i duszna. A pod ziemią będzie jeszcze gorzej.

Przyzwoici ludzie wciąż jeszcze spacerowali. Kobiety całowały mężczyzn pod parasolami. Konie ciągnęły powozy po bruku. To wszystko należało kiedyś do majątku Jonich.

Mżawka brzmiała jak kurtuazyjny aplauz na rondzie kapelusza, przyciskała spojrzenia ludzi do ziemi. To Jonie było na rękę. Dotarł do kratki ściekowej poza obrębem ziem swego ojca, gdzie podziemne kanały były starsze niż budynki, i zsunął się w mrok. Po drodze znajdowało się dużo takich kratek, dzięki nim widział dość dobrze. Poruszał się od jednej smugi światła do drugiej po kładce między potokami cuchnącej wody. Prawie cały dzień padało, więc woda stała wysoko, czasem chlupocząc pod jego butami tam, gdzie przelewała się przez brzeg kładki. Myszy, ściśnięte w mroku, wyglądały jak żywy dywan umykający mu przed stóp.

Nienawidził kanałów.

Przy piątej kratce skręcił. Teraz odliczył siedem. Ścieki kończyły się nad rzekami, ale robotnikom nie uśmiechało się płacić za przeprawę. Sporo łodzi wiosłowych kołysało się na wodzie przy ujściu kanału.

Dźwięk bębnowy dochodzący z głębokich otchłani podziemi ucichł. Jona zatrzymał się i sprawdził liczby na mapie. Musiał zawrócić, aż znów usłyszał bębnienie. Wszedł na powierzchnię i wtopił się w tłum tkaczy sieci, podążając z nimi alejką do granicy porządných dzielnic, gdzie ulice pachniały trochę lepiej niż tam, skąd pochodził, a kocie łby niczym wysepki wynurzały się z czarnego morza błota.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby zwyczajnie przeszedł tu przez most, płacąc myto, albo gdyby skorzystał z promu. Pierwszej nocy nawet nie chciało mu się przebierać z munduru.



– Salvatore...? – Cieśla miał narzędzia za pasem i wióry na rękawach. Wprowadził Jonę do niedokończonego pokoju. Z dna skrzynki wyciągnął instrukcje: mapy kanałów, miejsca, z których dobrze widać punkty newralgiczne. Wszystko rozplanowane, sekunda po sekundzie, minuta po minucie, do późna w nocy. – Salvatore, ten ciężko pracujący koleś, oszalał na punkcie jakiejś dziewczyny. Zleceniodawca potrzebuje kogoś, by go odstraszyć, ale nie wystarczy po prostu go zabić.

– Jak to możliwe, że tak dokładnie rozpisaliście jego życie? Nie nudzi mu się robienie w kółko tego samego, dzień w dzień?

– Hm... – Cieśla zacisnął usta. – On jest... no, nie całkiem taki jak ty, ale coś w tym rodzaju. Trochę już żyje. Za długo, być może. Trudna sprawa. Słyszałem, że tobie to przypadło.

Jona uświadomił sobie, że mimowolnie wstrzymał oddech.

– Mówiłeś, że on... jest taki jak ja?

– Tak.

– Nie wiedziałem, że jest jeszcze ktoś taki.

– Jeno wy dwaj – stwierdził cieśla. – Poza wami nikogo. Ty i on, na tym koniec. Ci od Imama mogą go przyuważyć przez to, co robi. A to byłoby źle dla nas i dla naszych interesów. Musisz tylko... Król Nocy powiedział, żebyś sam coś wymyślił. Wykaż się inwencją. Ciężko pracowałeś. Zasłużyłeś na okazję, by ruszyć głową.

Jona spojrzał mu w twarz. Nic z niej nie wyczytał. Ten człowiek żył w kłamstwie. Może kłamał również teraz.

– Jeśli jest ktoś poza mną i Salvatore, chciałbym wiedzieć. Nic z tym nie zrobię. Po prostu chcę wiedzieć.

– Będę udawał, że tego nie słyszałem.

– Proszę.

– Trudno będzie odciągnąć go od tej dziewczyny. On... cóż, wydaje się całkiem normalny, ale ma nie po kolei w głowie. Aggie, jego dziewczyna, nie może cię zauważyć. Wygadałaby się pod batogiem, a wtedy co z nami? Imamici obskoczą nas jak pchły. Jeśli go spalą z powodu jakiejś dziewczki, będziemy musieli się ukrywać. A jeśli ona zniknie, zaczną węszyć i odkryją skazę jego krwi. Najlepiej załatwić to po cichu. Skup się na nim, jej nie daj poznać, że tam jesteś. Gdy ją zostawi w spokoju, ona szybko zapomni i znów zacznie klepać pacierze. Dziewczyny, które się wymykają z klasztoru, prędko się uspokajają, jeśli nikt im nie zawraca w głowie. Salvatore wpadł w niezłe szambo. Był dla nas użyteczny, ale zgłupiał. Niech sobie znajdzie inną dziewczynę i przestanie nam przysparzać tylu problemów.

– Dobrze – skwitował Jona.

– To delikatna robota. Masz okazję udowodnić, że jesteś kimś więcej niż nożem w ciemnościach.

– Dobrze.

– Jeśli się zastanowić, to prezent. Ja bym ci tego nie dawał. Ale ona chyba cię lubi. Myślę, że wie, czego chcesz.

W notatkach, które dostał, widniało, ile Salvatore oddawał paserom, a ile zarabiał dla Króla Nocy. Jeden tydzień kradzieży przewyższał wszystko, co Jona w rok kasował za wszystkie zadania, łącznie z wręczaniem łapówek.

Wyszedł. Z początku się zastanawiał, czy nie przekazać tych informacji sierżantowi Calipariemu. Miał w ręku niezbitą dowód na działanie złodzieja ściśle powiązanego z Królem Nocy. Mógłby dopaść cieślę na podstawie jego pisma, o ile to było jego pismo. Jeśli nie, kilkugodzinna sesyjka z Szajbusem i Tripolim na zmianę rozwiałaby wszelkie wątpliwości. Co go powstrzymywało? Nie lalka ukryta w jego domu ani długie ręce Króla Nocy, ale to, że nigdy nie znał nikogo innego w swoim rodzaju.



Przez jakiś czas deptał Salvatore po piętach, śledząc i bez przerwy zastanawiając się, co mogą znaczyć wszystkie jego czyny i gesty.

Z nastaniem nocy wyruszymy na ulice miasta i spróbujemy znaleźć pomiot demona, tego nieśmiertelnego.



Pierwszej nocy Jona musiał się kierować według map. Było już za późno, by zrobić cokolwiek poza zorientowaniem się w ścieżkach, którymi chadzał Salvatore. Przez tydzień lub dwa zdąży zbłądzić tak wiele razy, by orientować się w kanałach lepiej niż na ulicach miasta.

Co rano Salvatore jadł to samo, z tego samego sklepu. Co noc planował swoje skoki, do kogoś się włamywał i spieniężał łup u ludzi Króla Nocy w podziemiach. A potem za te pieniądze wyciągał dziewczynę na miasto. I co noc wydawał wszystko, co zarobił. Gdy gospodarz domagał się czynszu, Salvatore wychodził na szybką robótkę przed spotkaniem z ukochaną. Tyle mówiły o nim notatki. Słowem nie wspominały o jego pochodzeniu.

Zgodnie z nimi Salvatore nie było w pokoju o tej porze. Jona pierwszej nocy miał na sobie mundur. Nie musiał nikogo pytać o pozwolenie. Pozostali lokatorzy albo spali, albo ich nie było. Zsunął buty przy frontowych drzwiach i niósł je, idąc cicho po schodach. Pokój Salvatore nie był zamknięty na klucz. Jona wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Zapalił zapałkę.

Salvatore doskonale zdawał sobie sprawę, że zamki w tym mieście dla nikogo nie stanowią wyzwania, ale dobrze ukrył swój cenny dobytek. Spał w hamaku i była to jedyna rzecz, którą dało się zauważyć w tym pokoju, nie większym niż komórka na szczotki. Nie było tu nawet lichtarza. Jona zdmuchnął zapałkę, bo płomyk zaczął lizać mu palce. W ciemnościach

pogrzebał w hamaku. Same szmaty. Pociągnął za materiał, sprawdzając, jak dobrze jest przymocowany do ściany. Usiadł na nim. A potem się położył.

Próbował sobie wyobrazić rozmowę z innym pomiotem demona. Co wiesz o byciu jednym z nas? Co wiesz? Bo ja nie wiem nic poza tym, że ludzie czasem chorują. I jeszcze że spaliliby mnie żywcem.

Po raz pierwszy w życiu myślał o tym, co powiedzieć, jak gdyby mógł porozmawiać z kimś realnym.

Wyszedł szybko i cicho.



Idąc po ulicy, Salvatore uśmiechał się do siebie, bo był zakochany. Gdyby ktoś go zatrzymał i zapytał, co go tak cieszy, jedynie wzruszyłby ramionami i wyszczerzył się jeszcze szerzej. „Piękny dzionek”, powiedziałby, nawet gdyby akurat szalała burza.

Jak tylko opuścił swoją dzielnicę, gdzie ktoś mógłby go poznać, skrył się w alei pomiędzy sklepem z tekstyliami a handlarzem wełny. Stamtąd musiał przemknąć za stertę pustych skrzynek i w dół niewielkiej klatki schodowej ku drzwiom do piwnicy, spod których sączyła się woda. W cieniu brązowego kamienia kryła się pojedyncza szpara na trzeciej cegle od góry.

Wsunął monetę do otworu. Zamek otworzył się z lekkim kliknięciem, mechanizm się obrócił, drzwi rozwarły się na mrok. To było wejście do świątyni Bezimiennych, ojców demonów. Świątynia jak świątynia, nic specjalnego.

Salvatore szedł przez nieprzeniknioną ciemność do końca długiego korytarza, licząc kroki. Skręcił za róg. Robił to co noc. Robił to we śnie. W oddali usłyszał bębnienie. Nie zatrzymywał się tam, chyba że miał coś do sprzedania. Po prostu w podziemiach poruszał się szybciej niż na

powierzchni, gdzie spowalniały go powozy, ludzie i promy. Puścił się truchtem po znanych ścieżkach.

Kilka kolejnych czarnych zakrętów dalej znalazł się z powrotem na poziomie ulicy, w innej alejce, szybciej, niż gdyby wybrał drogę na powierzchnię. Był teraz niedaleko promu, przy karczmie Cisza.

Cicha to ona nie była. Łomotała w niej dzika, nieskładna muzyka. Ochroniarze wyrzucali pijaczków na bruk, gdzie mogli się bić z sobą do woli z dala od kubków i stołów. Kobiety, które skończyły już pracę na dziś, stłoczyły się po swojej stronie przybytku, opowiadając sprośne dowcipy, śmiejąc się do rozpuku i pijąc na umór.

Barmanem był tu człowiek tak niski, że mógł serwować trunki, chodząc boso po kontuarze, a i tak sięgał gościom ledwo do oczu. Kciuki miał do połowy urżnięte, a kubki, które nosił, były brudne jak on. Sporo rozlewał.

Salvatore podniósł rękę. Szynekarski podszedł i postawił kubek przed nim.

– Mam tu taki trunek, że aż nie do wiary – zachwalał.

– Mówisz? – Salvatore włożył monetę z czystego srebra do jego otwartej dłoni. Powąchał kubek; zawartość pachniała uryną. Nie kosztując, odstawił go z powrotem na bar.

Karzełek odkopnął kubek, rozlewając zawartość na ladę. Podniosły się krzyki, lecz puścił je mimo uszu.

– Wybierasz się dziś na miasto?

– Może – mruknął Salvatore. – Jeszcze nie zdecydowałem.

Barman chwycił inny kubek i nalał wina.

– Mam też hełm, równie niesamowity. – Postawił trunek przed Salvatore. – Niby zwykły hełm. Z pozoru nic szczególnego.

Salvatore uniósł kubek do nosa. Powąchał. Skrzywił się.

– Nie jestem zainteresowany. Wolę pewniaki.

– Słuchaj, to nie tak. Kojarzysz te zabawki Sabachthanich? Te mechanizmy, które zbudował? Łazą po ścianach jak muchy.

Salvatore odchylił się, zaplatając ręce na piersi.

– Nie wchodzę w drogę Sabachthanim. A już na pewno nie tym stworom. Rozerwałyby mnie na strzępy.

– Słuchaj, mając ten hełm... sam to zrobiłem trzy razy, tak dla zabawy! Wszyscy strażnicy domu noszą podobne hełmy. Nie muszą myśleć. Widzą hełm i tyle. Proste.

– Proste?

– Tak proste, że aż nie do wiary – przekonywał barman. – Założę się, że codziennie ktoś by ich okradał, gdyby nie te, no... no wiesz... te zabawki Sabachthaniego. Niektóre są wprost bezcenne. Chcesz czy nie?

Salvatore skinął głową w stronę drzwi na zapleczu i podniósł się z krzesła. Wino zostawił na barze.

Jona wyłonił się z tłumu i usiadł na jego miejscu. Chwycił pozostawiony kubek i powąchał. Jego zdaniem wino pachniało dobrze. Wychylił duszkiem i zamówił kolejne. Nie miał pojęcia, co robić. Sądził, że problem sam się rozwiąże, jak tylko Salvatore spróbuje dostać się do domu Sabachthanich, a Ela poszczuje na niego swoje pieski. Powiedziano mu, że ma improwizować w sprawie tej dziewczyny. Nie wiedział, co to niby miało znaczyć ani jak to właściwie zrobić. Wiedział tylko, jak pić, i był w tym dobry.

Następnej nocy zaczął się w cieniach naprzeciwko okna Aggie. Czekał i obserwował. Już wcześniej widział kilka razy, jak wychodziła i wchodziła tym oknem ze swojej celi. Nie spodziewał się, że tej nocy mogłoby się coś wydarzyć, gdyż dzień wcześniej Salvatore zaczął rozpracowywać dom Sabachthanich i jak nic zagubił się w zabezpieczeniach domu. Gdy więc Salvatore się jednak pojawił, Jona zrazu nie mógł w to uwierzyć. W głowie

mu się nie mieściło, że ktoś mógłby okraść lorda Sabachthaniego. Co się stało, że Salvatore wciąż tu był, i do tego żywy, mając jedynie hełm za całą ochronę? Trochę później zobaczył ten hełm wychodzący przez okno i głębiej się nad tym zadumał.

Salvatore w ogóle go nie używał, uświadomił sobie. Był zbyt bystry, by tak głupio ryzykować. Gdy Aggie była gotowa, by się tego podjąć, Salvatore włożył jej hełm na głowę. Do tego czasu trzymał go w ukryciu, tam gdzie resztę swoich narzędzi.

I wtedy, po raz pierwszy w trakcie śledzenia Salvatore, Jona nie miał ochoty chwycić gościa za fraki i go zwymyślać. Trzymanie się z dala od domu Sabachthanich było najbardziej rozsądną decyzją, jaką ten złodziej w życiu podjął, w trosce o swoją demonową krew. W ogóle nie powinien wiązać się z tą dziewczyną, nowicjuszka Imama, coraz bardziej chorą od ich conocnych pocałunków.



Mój mąż i ja pod postacią ludzi obeszlśmy mury klasztoru. Trzymaliśmy się zaułków i cieni. Wylewaliśmy świętą wodę tam, gdzie wyczuwaliśmy skazę.

Czekaliśmy do późna w nocy, na wypadek gdyby Salvatore jednak powrócił do kochanki, nawet po jej śmierci, bo szybko zapomina, bo jest niewolnikiem nawyków. Staliśmy tak jak Jona przez te wszystkie noce, gdy obserwował to okno.

Widziałam moimi oczami.

Pierwszej nocy czekaliśmy razem. Potem na zmianę co dwie noce. Później przestaliśmy. On nie miał zamiaru wracać. Nawet nie pamiętał jej imienia. Nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie, i nie wiązaliśmy z tym większych nadziei.

Zapewne znalazł już inne okno.



Jona obserwował, ukryty w mroku.

Salvatore minął klasztor, gdy tłum wiernych akurat rozchodził się po wieczornym nabożeństwie. Poczekał, aż zgasną światła.

Wszystkie przykładne nowicjuszeki obmyły twarze i udały się na swoje sienniki. Te, które minęły się z powołaniem, nie zasypiały do późna, czekając na okazję, by wymknąć się pod osłoną nocy.

Salvatore przesunął się w cień, a potem ruszył przez wyłożone marmurowymi płytami podwórze, trzymając się blisko muru, i wspiął się na niego przy boku budynku, czepiając się kamieni miękkimi podeszwami butów i przyciskając plecy do ściany. W jego ręce pojawił się hak podobny do srebrnego ptasiego dzioba, wbił się w ceglany parapet. Salvatore wisiał przez minutę niczym czarna flaga spuszczone do połowy masztu. Zarzucił drugi hak. Z końca haka opadł na ziemię zwój liny. Salvatore wdrapał się po niej na gzyms. Kładąc jedną dłoń na parapecie, odczepił kotwiczkę z liną. Podciągnął się, po czym rzucił kotwiczkę w stronę kolejnego parapetu, prawie na samej górze budynku. Zaczepił ją już za pierwszym razem. Dziewczyna czekała na niego w oknie.

Jona przyglądał się temu, marszcząc brwi. Salvatore wyglądał jak złodziej na murach klasztoru. Jakim cudem nikt go jeszcze nie zauważył? Jak często tu bywał? Musiały wchodzić w grę jakieś łapówki. Ktoś przekupił strażników, ale wystarczy jedno otwarte okno, jedna bezsenna noc, ktoś narobi rabanu, a wtedy nic nie powstrzyma straży, nie z tyłoma świadkami dokoła – ani złoto, ani wpływy, ani nawet sam Imam Wszechmogący.

ROZDZIAŁ VII

Co się stało? Spoglądam własnymi oczami w okno tej nowicjuszki. Widzę jej życie, tak jak Jona nigdy nie mógł go widzieć. Ona nie zasłużyła na śmierć.

Pomścimy ją. Widzisz coś, co może nam się przydać?

Nie, ale to zawsze jakiś początek.

Powiedz mi, co wiesz, a określimy ich zwyczaje, wzorce postępowania. Salvatore nie chodziło o to, że jest zakonnica. Musiało być w niej coś jeszcze. W mieście jest wiele takich kobiet. Świątynie mogą ich poszukać, sprawdzić, czy któreś są skażone.

Samotne kobiety, które marzą, żeby osiągnąć więcej, niż mają, pełne obaw i nadziei...



Aggie pocałowała Salvatore, jak tylko jego twarz pojawiła się w oknie. Dała mu znak, by opuścił się na dół, a potem sama wdrapała się na gzyms i zjechała na linie. Zrobiła to jednak z mniejszą gracją niż on. Salvatore zatrząsł sznurem, by odczepić kotwiczkę, i nadstawił połę płaszcza, by ją złapać. Metalowe haki wylądowały na tkaninie tak miękko, jakby wpadły do hamaka, i od razu zniknęły pod płaszczem, w ukrytych kieszeniach, gdzie trzymał swoje narzędzia. Wręczył dziewczynie buty. Zakonnice nie nosiły obuwia. Przydadzą się jej w kanałach, ochronią nogi przed brudem, by siostry przełożone nie zorientowały się, gdzie chodziła po nocy.

Gdy znaleźli się pod ziemią, Aggie chwyciła Salvatore za ramię, by go zatrzymać. Z dumnym szelmowskim uśmieszkiem pokazała mu małą świeczkę, którą ściągnęła z ołtarza podczas dzisiejszej wotywy. Salvatore

sięgnął w mrok i zapalił świeczkę zapalką. Dziewczyna jakby czekała, aż ją pocałuje. Gdy tego nie zrobił, powoli położyła świeczkę w najsuchszym miejscu pod stopami.

Salvatore wyciągnął hełm z saku pod płaszczem i włożył go na głowę Aggie.

– Co to? – Ściągnęła hełm i się skrzywiła. Nie był szczególnie modny.

Salvatore zamachnął się pałką i wytrącił jej hełm z rąk. Próbowwała go złapać, ale bez skutku. Z brzękiem potoczył się po ziemi. A tymczasem Salvatore zdążył już skoczyć w mrok poza zasięg świeczki, w głąb kanałów.

– Czeka! – zawołała za nim.

Podniosła hełm, a potem świeczkę. Szła powoli, osłaniając płomyk.

Salvatore odwrócił się na granicy światła. Śmiał się. Było to słyhać pod ziemią, nad ziemią i koło promu. Jona wciąż ich obserwował.

Miał ochotę powstrzymać oboje, chwycić Salvatore za kołnierz, potrząsnąć nim i krzyknąć: „Nie możemy tak żyć! Po prostu nie możemy!”. A jednak Salvatore, dziecko demona, był tu z tą piękną dziewczyną, mknęli przez noc.

Jona pobiegł za nimi, licząc kratki na jego mapie. Zdążył już dość dobrze poznać te strony. Kanały wiodły pod ulicami, a ponieważ znał ulice, w kanałach zorientował się w mig.



Aggie przystanęła na środku ulicy. Nachyliła się nad rynsztokiem i wymiotowała. Brzegiem dłoni otarła usta.

Salvatore dotknął jej pleców.

– Dobrze się czujesz?

Wypluła resztę wymiocin, a potem oparła się o ścianę, by zebrać siły.

– Żuję za dużo czerwienicy – wyjaśniła. – Plami mi zęby. Ale muszę, by nie zasnąć.

Salvatore otarł jej twarz rękawem.

– Jeśli jesteś chora, pozwolą ci przespać cały dzień. Przyniosą ci kleik do łóżka.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Tylko raz mi się to zdarzyło.

Niemal co noc, gdy Jona ich śledził, dziewczyna wymiotowała.



Wiem, co robiła z tymi czerwienicami i resztą rzeczy, o które prosiła Salvatore. Myślała, że straci dziecko, jeśli wyniszczy swe ciało. A gdyby ten sposób nie zadziałał, mogła odwiedzić jedno z tajnych miejsc.

Salvatore będzie wiedział, gdzie je znaleźć. Pewnie robił to już nieraz.

Nie była jednak brzemienna. Naiwna, nie wiedziała nic o ciąży, tego zakonnic nie uczono, a skaza demona utrudniała poczęcie. Aggie była ciężko chora.

Siostry nie dały jej żadnej wiedzy o przypadłościach ciała. Nie nosiła dziecka. Jej brzuch nie urósł, lecz się zapadł.



Jona nie mógł tknąć dziewczyny, bo takie dostał wytyczne.

Aggie oddano do zakonu, gdy miała pięć lat. Siostry cały dzień miały ją na oku. Czuły zapewne, że dzieje się coś niedobrego, ale nie wiedziały, że uciekała nocami. Była piękna. We wspomnieniach Jony widziałam, jak zsuwa się po linie. Jak biegnie ze świeczką w ręce, starając się nie upuścić jej w mroku. Widziałam dziewczynę słabą i wątłą jak ptaszek, wstrząsaną torsjami. Podniosła wzrok na mężczyznę, o którym myślała, że ją kocha.

Chciałam, żeby dostała więcej, niż życie jej dało. Miałam ochotę wrzasnąć do Jony: „Złap go za kołnierz, nakrzycz mu w twarz!”. Mam tylko jego wspomnienia. One nigdy się nie zmieniają.



Zanim Aggie założyła hełm i poszła sama do posiadłości Sabachthanich, Salvatore zabierał ją na tańce, gdzie mieli okazję ograbić bogaczy. Przyniósł jej suknie, które ukradł z wystaw sklepowych. Były za duże, musieli je spiąć szpilkami. Zjawiali się bardzo późno na nocnych balach, na które ich nie zaproszono. Aggie tańczyła w ramionach jakiegoś bogacza. Z obcym akcentem wyszeptała mu do ucha coś o nieprzeliczonych bogactwach w dalekich krainach. Większość bogaczy wiedziała, że kłamie. Domyślali się, że chce wyciągnąć od nich pieniądze. Nie mylili się. Nie spodziewali się jednak, że zostaną uśpieni. Każdy z nich wypił za dużo wina, a ona miała w rękawiczce chusteczkę nasączoną narkotykiem. Salvatore był blisko, gdyby coś poszło nie tak.

W ciemności Aggie z zadowoleniem patrzyła na odurzonych mężczyzn. Powiedziała do Salvatore, że lubi wyobrazać sobie śpiącego ojca. Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał ani jak się nazywał. Niewykluczone, że był to mężczyzna z nieświeżym oddechem i rozbieganymi rękami, który zapłacił za jej miejsce w zakonie.

Gdy narkotyk rozchodził się w krwi ofiar, obserwowała ich oczy. Szklily się z zaskoczenia, potem ze strachu, a na koniec wywracały się do tyłu, jakby umierali. Wycierała ich niesmaczne pocałunki ze swoich warg. Zastanawiała się, czy mają córki.

Grzebała w ich ubraniach w poszukiwaniu pieniędzy, a w tym samym czasie Salvatore przywłaszczał sobie kosztowności, które ukrywał w ubraniu. Czasem, gdy już zbierali się do ucieczki, przy odpowiednim

światle księżyca, a może świeczki, dostrzegając kątem oka swoje odbicie w lustrze i przystawała, by się przejrzeć. W klasztorze nie mieli luster.

Obserwując ich z cieni, z okien i dachów, Jona się zastanawiał, czy powiedzieć Aggie o tym, jak to naprawdę jest nigdy nie spać i żyć wśród złodziei. Ona o niczym nie miała pojęcia. Nic jej nie powiedział. Nic nie zrobił. Tylko obserwował.



Czerwienice nie działają wiecznie.

– Co się stało? – zapytał Salvatore.

Gdy nowicjuszek spały w ciemnych zakątkach, budził je bat. Właśnie to spotkało Aggie – ze zmęczenia zasnęła w cieniu, a za karę siostry przykładnie ją oćwiczyły. Chłostały ją bez litości. Zwymiotowała, brudząc całą podłogę. Dostała wysokiej gorączki i całymi dniami leżała w łóżku, złożona chorobą, dochodząc do siebie. Potem Salvatore zabrał ją do karczmy – zebrał dość pieniędzy, okradając ludzi na przedstawieniu kukielkowym. Nie była w stanie tańczyć. Obmywał jej plecy ciepłą wodą. Gdy próbował jej dotknąć, odsuwała się. Nie miał pojęcia, co robić. Rozrywał czyste prześcieradła, maczał je w wodzie i robił okłady.

– Masz jakieś blizny? – zapytała.

Nie odpowiedział. Po długim czasie usłyszała jego szept:

– Niedługo wydobrzejesz. Młoda jesteś. Szybko się zagoi.

Ukryła głowę w ramionach.

– Nic mi nigdy nie mówisz.

– A co chcesz wiedzieć?

– Masz jakieś blizny, Salvatore?

Musiał się nad tym zastanowić. Spojrzał na dłonie i na odkrytą część ramion. Nic nie zauważył.

– Raczej nie. A mam jakieś na plecach?

– Nie. Żadnych blizn. W ogóle nic.

– Coś nie tak?

Tym razem ona nie odpowiedziała. Wydawało się, że Salvatore cieszy się z tego milczenia.

Wiele godzin wcześniej Jona był wstrząśnięty, gdy zobaczył, jak Aggie wyłania się z okna z plecami zalanymi krwią. Ciągle to rozpamiętywał. Gdyby wiedział, jak znaleźć cieśnię, chwyciłby go, potrząsnął i wrzasnął mu w twarz: „Improwizować? Czyli co? Co to w ogóle znaczy?!”.

W pokoju zapadła długa cisza. Tuż przed świtem Salvatore obudził Aggie i pomógł jej się ubrać. Powiedziała, że chce wrócić do domu i przespać kilka nocy.

– A skąd będę wiedział, kiedy po ciebie wrócić? – zapytał Salvatore. – Chcesz w ogóle, żebym wrócił?

– Nie mów tak – odparła. – Tylko... trzy noce. Pośpię sobie. A potem przyjdź.



Aggie przepraszała Salvatore, że jest taka chora, ale musiała przerwać, bo zakrztusiła się własną krwią. Nago podbiegła do okna. Wychyliła się, a z jej ust pociekła krew z wymiocinami.

Ludzie na ulicy zobaczyli ją, nagą i rzygającą, i zareagowali wiwatem. Zbladła. Zemdlała. Nawet nie zauważyła tych ludzi. Nie widziała Jony stojącego w oknie naprzeciwko, czekającego na jakąś okazję, by coś zrobić, zaglądnącego do ich pokoju, podsłuchującego.

Salvatore zaciągnął ją do pustej wanny i zmył krew, oblewając ją letnią herbatą z imbryka. Będzie musiał posłać na dół po wodę, a wiedział, że ona by nie chciała, by ktoś zobaczył ją w takim stanie.

Gdy się ocknęła, z płaczem wtuliła się w jego ramiona.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – łkała. – Cały czas czuję się taka chora.

Owinął ją ręcznikiem, ucałował w skroń.

– Wszystko będzie dobrze. Wszyscy czasem źle się czujemy. To nic.

A Jona, z zaciśniętymi pięściami, słyszał to i nie wierzył własnym uszom. I tak krył się w pokoju naprzeciwko lub przy oknie, lub gdzieś indziej, gdzie mógł słyszeć i widzieć – ich prześladowca. Widzę to wszystko w jego wspomnieniach. Miał ochotę coś zrobić, ale nie wiedział co.



Matka przełożona, w pisemnym zeznaniu pod przysięgą, wysłanym do Calipariego po spaleniu dziewczyny, napisała, że nikt nawet nie podejrzewał, co naprawdę się działo.

Słyszając kroki i ściszone szepty w nocy, obracała się na drugi bok i dotykała kluczy na stoliku przy łóżku. Myślała, że dziewczyny wymykają się do kuchni, by coś podjeść. I miała rację na tyle często, że nie brała pod uwagę wszystkich możliwości, które niosła ze sobą noc.



Nocami w murach konwentu rozbrzmiewały krzyki młodziutkich nowicjuszek, dzieci ledwie, wołających matki, które je tu oddały. Jona słyszał te szlochy i jęki. Nic dziwnego, że nocami ludzie króla omijali to miejsce szerokim łukiem.

Salvatore i Aggie ani razu nie zatrzymali się z ich powodu, gdy milcząco zmierzali do podziemi. Nigdy nie wyciągnęli pomocnej dłoni do żadnej z tych dziewczyn.

Jona nie potrafił słuchać tych krzyków, tych przerażonych, niewinnych głosów.

Za dnia, gdy patrolował ulice w Zagrodach, na każdym kroku towarzyszyły mu wrzaski zwierząt takie jak tych młodziutkich zakonnic. Miał ochotę wypuścić je wszystkie, zapoczątkować dziką gonitwę zwierząt i dziewcząt po całym mieście. Niech wrócą do matek. Chciał zrobić coś wielkiego, coś szalonego. Chciał wszystko rozwalić.

Calipari widział te uczucia wypisane na twarzy Jony. Zrobił z nich użytek. Aresztował jakiegoś przemytnika na podstawie marnych poszlak i posłał Jonę samego do sali przesłuchań.

– Nie wychodź, póki nie weźmiesz się w garść – rozkazał mu. – Chcę, żeby przyznał się do wszystkiego. Chcę widzieć go w celi albo na stryczku. Przyciśnij go.

Jona zazgrzytał zębami.

– Nic mi nie jest.

– To rób, co do ciebie należy.

Jona wszedł do sali przesłuchań i usiadł naprzeciwko więźnia. Siedział tam i czekał. Przyglądali się sobie w milczeniu. Przez długi czas żaden się nie odzywał. Gdy w końcu aresztant otworzył usta, Jony rąbnął go pięścią w szczękę.

Bił go długo. Uzyskał przyznanie się do winy, ale wyszedł z pokoju wciąż nabuzowany. Calipari podjął jeszcze jedną próbę, a gdy i ta nic nie dała, postanowił to zwyczajnie przeczekać. Prędzej czy później wszystko samo mijało.



Nie wiem, gdzie byli, ale Jona był blisko, podsłuchiwał.

Salvatore zapytał Aggie, co pamięta o ojcu. Odpowiedziała mu, że z tego, co pamięta, pachniał jak wosk i pieczona wołowina. Zdawało jej się też, że był gruby.

Zmarszczyła brwi.

– To on mnie oddał. Jak nie jedna klatka, to druga. Zanim obleką mnie w welon, ucieknę. Zamieszkamy w jakimś innym mieście tylko we dwoje i już na zawsze będziemy razem. Gdybym nie trafiła do zakonu, nie miałabym takiej okazji, prawda?

– Prawda – odparł. A potem zanurzył palce w jej włosach.



Jona, przyglądając się z cienia przez szczeliny w lichym murze, obserwował, jak Salvatore delikatnie gładzi ją po długich lokach. Tylko tego pragnął w całym swym życiu. By objąć piękną dziewczynę. By głaskać ją po włosach.



Aggie dużo mówiła o swej przeszłości. Próbowała zachęcić Salvatore do zwierzeń i używała swoich w charakterze przynęty. On słuchał. W słuchaniu był mistrzem. Jona też słuchał, gdy udawało mu się dostać do sąsiedniego pokoju lub w pobliże otwartego okna. Kiedy cieśla pytał go, co robi, czemu to tak długo trwa, odpowiadał, że szuka okazji, którą mógłby wykorzystać.

Siedemnaście razy Aggie została wychłostana na oczach całego klasztoru i doprowadzona do łez. Powiedzieli jej, żeby ofiarowała ból swojemu zbawicielowi. Salvatore skrzywił się, gdy o tym usłyszał. Zapytał ją, czy jest szczęśliwa. Aggie wzruszyła ramionami.

– A któż z nas pamięta, co to szczęście? Uczą nas, by bać się świata. Myślimy, że poza klasztorem czekają tylko gwałty, zabójstwa, rozboje i zło.

– Czy to nieprawda? – odparł. – Ja robię, co mogę, ale jestem w mniejszości.

Nie zaśmiała się.

– Tu nie jest aż tak źle – ciągnęła. – Co roku nowa grupa dziewcząt pojawia się w nawie i kłoni głowy, składając uroczystą przysięgę zakonnicy Imama.

– Tyle że niektóre z nowicjuszek wychodzą tuż przed ceremonią. Zamiast podejść do ołtarza, po prostu... wychodzą przez drzwi frontowe.

– Siostry przełożone przestrzegają nas przed takim losem. Za ciężkimi drzwiami czai się tylko zło. Mężczyźni będą nas dźgali nożami. Kobiety będą nas atakować z małostkowej zazdrości. Brzemie dzieci będzie niszczyć nasze ciała aż po grób. Tylko w Imamie schronienie. Tylko w tych murach jest bezpiecznie.

– Nie brzmi źle. Naprawdę. Brzmi prawie jak oaza spokoju.

– Więc sam spróbuj tu żyć.



– Spokój jest nudny! – krzyknęła Aggie nad kubkiem wina.

– Mam dość! – ryknął Salvatore w odpowiedzi. – A ty? Chcesz już iść?

– Przykładał ręce do uszu. Bębny waliły ogłuszająco.

– Próbuję ci coś powiedzieć! – wrzasnęła. – Słuchaj mnie!

– Przecież słucham!

– Spokój jest nudny! Obiecuj mi, że nigdy nie będziemy mieli spokoju!

– Niczego nie obiecuję! – odkrzyknął. – Możemy wracać? Późno już!

Wbiła wzrok w kubek.

– Poczekaj – powiedziała i wypła resztkę wina. Pocięło jej trochę po brodzie. – Teraz już tak.



– Gdy dorastałam, siostry przełożone bez przerwy chciały, żebym śpiewała, bo dzięki temu nie pakowałam się w kłopoty. Nawet lubiłam śpiewać. Mogłam wtedy stanąć przed ołtarzem i patrzeć na wiernych. Widziałam tak wielu ludzi. Kiedyś opowiadałam o tym jednej ze starszych dziewczyn, a ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Tylko mi nie mów, że nigdy nie byłeś na zewnątrz. Dziś w nocy zapukam trzy razy do twoich drzwi. Lekko, więc nie śpij. Bo pójdę bez ciebie”. Myślałam, że kłamie albo robi mi kawał. Ale nie żartowała. Gdy znalazłyśmy się na ulicy, powiedziała mi, że się spotkamy, gdy niebo na wschodzie zacznie się rozjaśniać, bo przed porannymi nabożeństwami musimy ukradkiem wrócić do klasztoru. I rzuciła mi w ręce garść czerwienic. Upuściłam je. Dłonie za bardzo mi się trzęsły. Nie została, by pomóc je pozbierać. Potem wymieniono zamki... z powodu tej dziewczyny. Ale są inne wyjścia niż drzwi. Możemy się wydostać, jeśli chcemy. A ja chcę, Salvatore. Proszę, zabierz mnie stąd.



Mój mąż śpi. Mam ochotę trącić go w szyję nosem, ale to by go obudziło. Tak więc zapalam świeczkę i nachylam się nad mapami na podłodze.

Calipari w ogóle nie narysował kanałów. Jeśli mamy znaleźć Salvatore, musimy szukać pod ziemią. Wydobyłam, co mogłam, ze wspomnień Jony, ale to nie wystarczy.

Mój mąż cały dzień spędził w podziemiach, biegając między włazami, węsząc w ciemnościach.

Powiedział mi, że nie udało mu się nic znaleźć. Salvatore żył tu od dawna, na pewno jest bardzo ostrożny.

Szukaj dalej, powiedział mój mąż. Znajdziemy ich wszystkich.

ROZDZIAŁ VIII

Djoss... Cóż, nie miałam nikogo więcej z rodziny. Czy możemy porozmawiać o czymś innym? Drzwi otworzyły się i zamknęły. Rachel nie podniosła się z hamaka. Wiedziała, że to Djoss. Nie chciała na niego patrzeć.

– Cześć, Rachel. – Głos miał zmęczony. Dwa dni go nie było.

– Cześć.

– Co tam? Wszystko w porządku?

– Nie – burknęła. – Gdzie byłeś?

– Nie gniewaj się. Potrzebujemy pieniędzy.

– Po prostu powiedz, gdzie byłeś.

– Pracowałem. A potem Turco potrzebował mojej pomocy. Gdy skończyliśmy, musiałem wracać do pracy. Gdybyś zeszła, zobaczyłabyś, jak pilnuję porządku.

– Djoss... – Wstała. Zapomniała, co miała powiedzieć, gdy zobaczyła krew. Miał przeciętą wargę. I ranę na ramieniu, jakby od noża.

– To nic takiego – tłumaczył. – Brudna robota. Jak to w tym fachu.

– Daj spojrzeć.

– Nie, nie trzeba. Prawie nie krwawiło.

– Obmyłeś to winem?

– Coś ty! To boli!

– „By oczyścić krew ludzi, musimy posłużyć się krwią ziemi” – wyrecytowała.

– Nie.

– Dwa dni cię nie było, a wracasz pokaleczony. Pozwól mi polać to winem, na szczęście, jak w koanie.

– Nie.

– Proszę, Djoss. Zrobisz to dla mnie? Nudzi mi się. Tylko czekam i czekam. Nie mam tu nic do roboty.

– To wyjdź. Znajdź pracę. Potrzebujemy pieniędzy. – Rzucił na ziemię sakiewkę monet. – Tylko tyle mamy.

Położyła się z powrotem.

– Śpij na podłodze. Usiadł na ziemi.

– Za długo już pocisz się w tym hamaku – odparł. – I tak nie mógłbym tam spać. Jak nic zrobiłbym dziurę i wylądowałbym tyłkiem na ziemi.



Naprawdę mi się nudziło.

Nad nimi, na parterze, piekarz spał z żoną na jednej pryczy obok kubłów z drożdżami. W nocy śniło mu się, że rośnie coraz większy i większy jak bochen chleba, w końcu napiera na ściany, wytacza się na zewnątrz i turla po ulicy. Rachel czarośniła w koanach o swej twarzy przed narodzeniem. W medytacjach widziała, jak chleb rośnie i rośnie, aż w końcu spływa do piwnic i dusi ich razem z wszystkimi karaluchami. Ten ohydny zapach drożdży! W cichym pokoju łatwo było się skupić. Ale to było nudne. I ta samotność!

Zabrała cały czerstwy chleb z klatki schodowej. Djoss spał w rogu z dala od dokuczliwego ciepła z pieca. Lekko pochrapywał. Położyła pieczywo za progiem i cicho zamknęła drzwi.

Znów weszła schodami na górę i zajrzała do piekarni. Była pusta. Cały chleb wypieczono i sprzedano. Wszystkie pieniądze zamknięto w kantorze. Gdyby chciała, mogłaby oprzeć się o ladę jak klient. Albo piekarz. Gdyby miała dość odwagi, mogłaby wyjść na zewnątrz.

Wróciła na dół. Otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

Djoss poderwał się nagle i otrząsnął ze snu.

– Ach, to ty – wymamrotał i ziewnął. – Mogę trochę tego chleba?

– Tak. Wyspałeś się? Lekceważąco machnął ręką.

– Tak tylko na chwilę zmrużyłem oko. – Chrapałeś.

– Nie, burczało mi w brzuchu – odparł, sięgając po chleb.



Powiedz mi coś o sobie, Jona. Mam już dość mówienia na mój temat
Teraz twoja kolej.

W nocy często jestem samotny. Nie lubię nocy, gdy nie mam nic do roboty.

Samotny... O tak, to potrafię zrozumieć.

Djoss zjadł prawie cały czerstwy chleb, a potem powiedział, że musi już iść do pracy.

– Gdzie pracujesz, że każą ci tak harować?

– Turco mi coś załatwił.

– Czyli co?

– Wrócę. A ty tu zostań. Dasz sobie radę. – Wyszedł. Znów była sama, nie mając żadnego zajęcia. Żywiła się tylko tym, co Djoss przynosił do domu, i bochenkami zostawionymi przez gospodarza.

Trzy miasta wcześniej ona i brat wyskoczyli z okna, by uciec. Żołnierze dobijali się do drzwi, próbowali je wyważyć. Djoss i Rachel wyskoczyli z puchowym materacem, by złagodzić upadek. Ciężko wylądowali na ulicy. Djoss jeszcze długo potem musiał usztywniać nadgarstek.

Rachel dużo myślała o tym, jak stąd by uciekła w razie potrzeby. Piwnica pod piekarnią miała sześć malutkich okienek, zbyt brudnych, by ktoś mógł przez nie zajrzeć do środka. Przez niedomyte szyby przezierało trochę światła – był dzień. Słońce stopniowo przygasło.

Chodziła trochę po piwnicy by rozproszyć swe obawy. Jeśli to jej się znudziło, siadała w hamaku i kuchennym nożem wykrawała z czerstwego chleba małe figurki, psy, miecze i dzieci z kwiatami, na tyle nieudolnie, że nie sposób ich było od siebie odróżnić. Wyglądały po prostu jak duże okruchy. Wrzuciła je do nocnika.

Gdy Djoss w końcu wrócił, targając pryczę, by nie musieć spać na ziemi, ustawiła ją w rogu. Włożyła nogi pryczy w pogięte puszki napełnione wodą, bo inaczej robactwo przeszkadzałoby Djossowi spać.

Co kilka dni wyławiała z puszek karaluchy i paliła je na środku błotnistej podłogi. Wolno płonęły, bo były mokre, lecz uparcie pstrykała palcami, wyczarowując koany z powietrza, i tak aż do skutku.

Nie miała nic do roboty poza zgłębianiem koanów. Wejrzała w głąb siebie, do sedna bycia sentą. Poszukała dziur w ścianach, któredy chodziły robaki. Zadała sobie pierwsze pytanie czarośniących.

Jaką miałam rękę, zanim się narodziłam, albowiem ręką zmieniam ten świat?

Gdzie duchy tych stworzeń upadną na podłogę? I kiedy?

Wewnętrznym wzrokiem sięgnęła głębiej, wniknęła w ściany. Położyła się na pryczy i zamknęła oczy. Nie widziała przyszłości. Nie widziała nic.

Nasze zwyczaje raczej nie są dla ciebie, Jona. Zrobiłam, ile mogłam, zgłębiając koany, które matka kazała mi zapamiętać. Na wróżeniu można nieźle zarobić, jeśli umie się rozszyfrować wizje. To łatwiejsze niż sprzątanie.

Rachel długo nic nie widziała. A jeśli już coś do niej docierało, mijało dużo czasu, nim to coś stawało się rozpoznawalne, a sprawiało wrażenie snu. Wirujące obrazy zlały się w wizję ojca stojącego nad nią w ciemnym pokoju. Demon w jego głębi się uśmiechał.

Przebudziła się z medytacyjnego transu. Była sama. Pokrywał ją pot, z wolna trawiący płótno, które nosiła, szczypiący w skórę.

Usłyszała, że pada deszcz. Położyła się na pryczy i wbiła wzrok w deski podłogowe nad sobą. Karaluch wypełził spomiędzy desek i szedł powoli wzdłuż szczeliny.

Wyobraziła sobie, że jest robakiem na otwartej równinie drewna. Uwięziła stworzenie w lodzie senty.

Jeszcze przez jakiś czas oddawała się czarośnieniu, lecz w końcu poczuła głód. Przeciągnęła się.

Niedługo Djoss wróci, przyniesie coś do jedzenia, a piekarz da im nowy czerstwy chleb.



Bez przerwy się boję, Jona. Chciałabym być gdzieś, gdzie nie ma ludzi, gdzie nigdy nikt nie przychodzi, gdzie mogłabym żyć w spokoju.

Djoss wrócił późno, wyczerpany. Wchodząc, powiedział „cześć”, rzucił jej torebkę suszonych owoców, padł na pryczę i zasnął.

Poczekala, aż zacznie chrapać. Chciała mieć pewność, że on tu zostanie, gdy ona wyjdzie. W razie czego mogli uciec razem, jeśli będzie wiedziała, gdzie jest.

Wyszła, drzwi zostawiła otwarte. Wdrapała się po schodach do sklepu. Uśmiechnęła się do piekarza.

Skinął na nią.

– A już myślałem, że ten wielkolud cię zjadł.

– Nie wychodzę często.

– Czysz wypadła w przyszłym tygodniu – rzekł. – Jeśli chcesz, możesz zapłacić już teraz.

Nie miała przy sobie wystarczającej kwoty.

– Brat później się z panem rozliczy. Ja chciałam tylko dostać coś świeżego dla odmiany. Ma pan coś świeżego?

Wróciła na dół. Przyglądała się, jak pierś Djossa unosi się i opada. Gdyby zdołała się skupić, mogłaby zajrzeć do jego snów. Jednak nie chciała ich poznać. Chciała poznać jego życie.

Przewrócił się na drugi bok. Na szyi miał ślad po ugryzieniu.

Nachyliła się bliżej. Obwąchała jego ubranie, szukając zapachu perfum. Prostytutki używały perfum. Ale on pachniał jak psujące się mięso, a nie jak kwiaty. Ten ślad mógł być rezultatem walki.

Po kolejnej samotnej nocy i następnej, i jeszcze jednej, jej życie skurczyło się do gruzła bólu w trzewiach. Zaczęła kupować chleb codziennie, bo lubiła udawać, że zaprzyjaźniła się z gospodarzeni. Lecz nie miała przyjaciół.

Djoss miał. Wrócił do domu po długim czasie spędzonym z kumplami, a ona była jego skrytym duchem.



To trwało chyba całe wieki. Na ulicy za bardzo się bałam, nawet gdy wiedziałam, że nikt mnie nie szuka.

Kiedy w końcu wyszłaś na zewnątrz?

Gdy byłam gotowa. Djoss mnie nie poganiał. Znaczący, robił to, na swój sposób, ale nie tak otwarcie. Nigdy nie przyniósł mi niczego do poczytania czy do zrobienia. Nawet kart mi nie przyniósł, bym mogła je tasować i ćwiczyć wróżenie. Ale mnie nie poganiał. Po prostu mi nie pomagał. A ja nie mogłam ciągle tak żyć bez pomocy. Pewnego dnia poszłam na górę, kupiłam chleb i wyszłam na ulicę. Trochę krążyłam po okolicy. Padało. Chleb przemókł. Ja też. Potem wróciłam. Djoss nic nie zauważył.

Następnego dnia zrobiłam to samo. 1 następnego. Potem poszłam do oberży i tańczyłam z jakimś nieznajomym. A potem znalazłam pracę.

Zawsze ciekawiło mnie, na czym może polegać praca ludzi takich jak my. Tak długo z nikim o tym nie rozmawiałam.

Fajnie jest zwyczajnie pogadać.

ROZDZIAŁ IX

Jona przeskoczył przez murek. Był teraz w cieniach głębszych i mroczniejszych niż dwoje ludzi na ulicy, ledwo widoczni w ciemnościach. Gdyby nie wiedział, że tam są, nie dojrzałby ich sylwetek w mroku. Dwa wysokie mury odgradzały dwie różne szlacheckie posiadłości po bokach alei. Za murami rosły drzewa. Posesje arystokratów były jedynymi miejscami w Psiej Ziemi, gdzie gałęzie dwóch drzew stykały się z sobą. Salvatore i Aggie mogli tutaj kryć się przez długi czas, zanim ktokolwiek by ich zauważył.

Salvatore miał dziś hełm przy sobie. Założył go na głowę dziewczyny.

– Tam są dwie takie zabawki – wyszeptał. – Hełm ochroni cię przed nimi.

– Jakie zabawki? Czemu sam tego nie zrobisz? – odszepnęła.

– Nie uwierzysz, póki sama nie zobaczysz. Stworzył je jakiś lord. To niezgodne z prawem, ale on na to gwizdże. Dlaczego? Bo jest bogaty!

– Jaki lord? Kto?

– Taki jeden ważniak – odparł Salvatore. – Nie pamiętam, jak się nazywa. Para się magią. Prawdziwą, a nie sztuczkami Senta. Uważaj na siebie. Jeśli zauważysz coś magicznego, zostaw to. Magii nie da się sprzedać. Za dużo z tym kłopotów.



Opisz mi jego zwyczaje. Znasz je?

Czuję zapach jego życia i widzę je moimi oczami, ale niektóre rzeczy wciąż są zagadką. Mogę tylko zgadywać.

I tak wspomnienia są jedynie domysłami. Sądziś, że któreś z nich było do końca prawdziwe?

Niektóre fakty poznał od Salvatore. Tylko uczucia z tym związane są prawdziwe, to, jak ludzie na coś reagują. Cała reszta to tylko sen. Aggie rozmawiała też z Joną, zanim ją spalili. Wyznała swoje grzechy – wszystko, co chciał wiedzieć. Sen w śnie... Mało wiarygodny, ale intrygujący.



W podziemiach przy zatoce zbierali się wszyscy heretycy z miasta. Rwali na sobie ubrania i fryzowali włosy na sztorc zielonym szlamem. Brzydota była nowym pięknem tam, gdzie uderzali w wielkie bębny niosące się głębokim echem. Nikogo nie krzywdzili. Możliwe, że mój mąż i ja zejdziemy na dół, by ich przepędzić, zanim opuścimy to miasto. Chociaż lepiej ich tam zostawić, nie dając powodu, by jeszcze głębiej ukryli się pod ziemią. Nie robili nic złego, tylko dziwnie tańczyli i wyglądali jeszcze dziwniej.

Aggie i Salvatore spotkali się tam w dole – Jona dowiedział się tego od dziewczyny, gdy czekała w celi więziennej na spalenie żywcem. Salvatore kręcił się wśród heretyków co noc, kiedy skończył już kraść, by mieć na kolację.

W podziemia przyprowadził ją starszy mężczyzna i zostawił tam, gdzie zaczynało się tętniące kłębowisko ciał. Dopiero od trzech tygodni wymykała się z klasztoru, ale tak działo się w miastach – piękne dziewczyny nagle trafiały do zupełnie nieoczekiwanych dla siebie miejsc. Aggie stała obok ogromnego tamburyna na stojaku, rozcierając ramiona. Szlam, którym ją wysmarowali, musiał swędzieć.

Salvatore zobaczył piękną dziewczynę złąknioną własnej śmiałości. Wiedział, co jej powiedzieć i jak to powiedzieć. Wiedział, jak rozwiązać jej

obawy, by poddała się rytmowi w upojeniu.

Wejdę dziś między tancerzy, poszukam go. Odzieję się w skórę człowieka i zostanę wysmarowany szlamem.

Wykap się, zanim wrócisz. Umyj włosy.

Tak zrobię.



Nawet Jona, lord Joni, który czynił zadość kaprysom lady Sabachthani, uczęszczając wraz z nią na kurtuazyjne herbatki, nigdy wcześniej nie widział strażników jej posiadłości. Salvatore zapewne widział, ale nie zrobiliby na nim wrażenia. A na pewno się ich nie bał.

Były jak z koszmarnego snu – modliszki rozmiarów karocy, w stalowych pancerzach. Tylko potężny czarodziej potrafił stworzyć coś takiego. Lord Sabachthani miał dwa takie potwory przed frontową bramą, otwarcie lekceważąc prawo. Nie ośmieliłby się na taki występki pod okiem sumiennego króla, ale użył magii, by zakończyć straszną wojnę, a to znaczyło wiele dla miasta i dla władcy. W dodatku stary monarcha już dawno stracił zainteresowanie tym światem, a nie miał synów ni córek, którzy trzymaliby w ryzach jego królestwo lub rządzących nim ludzi. Co lord Sabachthani robi ze swoimi pieniędzmi, to wyłącznie jego sprawa, nikt nie ważył się twierdzić inaczej.

W pierwszym świetle dnia mechaniczni strażnicy wlekli się niczym sterane woły od swego posterunku do gaju wewnątrz posiadłości. O zmierzchu bezsenne kolosy budziły się do życia, skrzypieniem i brzękiem stalowych pancerzy strasząc ptaki w koronach drzew. Kroczyły przez trawę ku głównej bramie, gdzie stały później bez ruchu, gotowe zabić.

Sabachthani mieszka w mieście, nie w moim lesie. Niech robi to, na co pozwalają mu król i Imam. Las jest cierpliwy. Wszystkie te mury ulegną

naszym dzieciom i naszym drzewom, prędzej czy później.



Salvatore i Aggie trzymali się cieni kamiennych ogrodzeń. Słupy latarni tonęły we mgle. Tylko światła odcinały się od mlecznego tumanu, wisząc w powietrzu jak duchy.

Salvatore poszedł pierwszy, by przyciągnąć uwagę ewentualnych ciekawskich. Ruszył środkiem ulicy. Jeśli jacyś strażnicy kręcą się w pobliżu, pójdą za nim do alejki i starannie go przeszukają. Nic nie znajdują, ale w tym czasie Aggie już zejdzie w podziemia.

Dziewczyna poprawiła hełm na głowie. Wymknęła się na ulicę, idąc w przeciwną stronę przy skraju muru.

Nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a Salvatore posłał ją tam samą, jakby to była niewinna zabawa.

Podkraśla się do maszkar przy bramie. Wyciągnęła palec, by dotknąć ostrych kolców. Potwory ani drgnęły.

Jona obserwował ją z drzewa na sąsiedniej posiadłości. Wszyscy nadzorcy tego majątku byli ludźmi, dość zmęczonymi, by nie zauważyć jednego człowieka skrytego w gałęziach. Złodzieje nieczęsto zaglądali do posiadłości szlachty. Jona obserwował dziewczynę, nie wiedząc, co zrobić, gdyby magiczni strażnicy ją zaatakowali.

Aggie zamknęła oczy. Zrobiła jeden nieśmiały krok przez przerwę w murze. Nie było tu wrót bramy. Nie były potrzebne. Mechaniczne potwory stały w wejściu, blokując drogę. Nie poruszyły się nawet o milimetr, by ją przepuścić. Musiała przecisnąć się bokiem.

Salvatore ziewnął i oparł się o mur po drugiej stronie ulicy. Wyciągnął pięciocentymetrową cygaretkę nabitą czerwienicą. Złodzieje z miasta na północy paleniem odmierzali czas. (Może ten demonowy pomiot pochodził

z północy, może stamtąd uciekł, może tam powrócił). Pięć centymetrów wystarczyło, by dobry złodziej złożył wizytę w tak wielkim domu jak ten.

Aggie pobiegła przez cienie na podwórzu, między wierzbami a magnoliami. Przypadła plecami do ściany. Otworzyła okno, podważając je małym klinem. Zafalowały fioletowe zasłony poruszone nocnym wietrzykiem. Przed nią ział długi, ciemny korytarz. Obejrzała się na boki, a potem wskoczyła do środka.

Jona miał ochotę chwycić Salvatore, zaciągnąć z powrotem do kanałów i spuścić mu porządny łomot za to, że posłał Aggie samą do domu Sabachthanich. Jednak został na posterunku. Przyzwyczał się do czekania, choć nie wiedział, na co właściwie czeka. Wiedział tylko, że wkrótce będzie musiał coś zrobić.

Dziewczyna długo nie wychodziła.

Salvatore zdążył już wypalić całą cygaretkę. Zatarł ręce, niecierpliwie zerkając na boki.

Aggie pstryknęła palcami gdzieś za jego plecami. Pod pachą miała gruby wiklinowy koszyk, a na twarzy uśmiech na tyle szeroki, że dało się go zauważyć spod osłony hełmu.

– Nie widziałem, jak wychodzisz – powiedział.

– Obawiałem się najgorszego.

– Wyszłam inną drogą, trochę się pogubiłam. W środku jest wiele zamkniętych pokoi. Znalazłam jeden z tak dużą dziurką od klucza, że mogłam włożyć tam palce. Nawet nie musiałam nic robić, by otworzyć drzwi. Pośrodku pokoju znalazłam coś ciężkiego na piedestale. – Zdjęła hełm z głowy. Położyła go na ziemi. Ręce jej wciąż drżały z podekscytowania.

– Tak właściwie... – Uniosła koszyk. – Nie wiem, co to jest. Nie mogłam zobaczyć.

Salvatore wyjął koszyk z jej ramion.

– Ciężki! – zakrzyknął zdziwiony.

– Mam nadzieję, że to coś magicznego. Salvatore zważył go w rękach.

– Miejmy nadzieję, że nie – odparł. – A jeśli tak, zostawimy to tutaj i
wiejemy.

– Ty otwórz. Ja boję się patrzeć. – Zamknęła oczy.

– Masz świeczkę? – Salvatore odsunął pokrywę. Zapalił świeczkę i
przysunął nad kosz. – To...

– Co? – Otworzyła oczy. – Co to jest?

– Coś... coś jakby pies, ale chyba z metalu. – Salvatore uniósł za kark i
obrócił to coś w pełnym blasku świecy.

Pies, o ile można to było tak nazwać, zupełnie nie zwracał na nich
uwagi. Z wolna wciągnął powietrze i wypuścił je z lekkim pyknięciem.
Przy każdym wydechu z jego nozdrzy wylatywał drobny złotawy proszek
podobny do pleśni. Wnętrze koszyka było go pełne.

Aggie sięgnęła do zwierzątka. Ani drgnęło pod jej dotykiem, nieruchome
jak rzeźba. Dźwignęła je jedną ręką. Było nie większe od teriera.

– Mam nadzieję, że go nie skrzywdziłaś – szepnął Salvatore.

Zmarszczyła brwi.

– Czy to pies? – W wielu miejscach brakowało skóry. Wzdłuż
bezkrwistego zadu prześwitywały pasma nagiej kości i mięśni.

– Odłóż go, Aggie. Zaśmiała się niepewnie.

– I niby co to ma robić? Co to za magia? Po co? Salvatore delikatnie
wyjął psa z jej rąk. Włożył go do koszyka i ostrożnie położył pokrywę na
wierzchu.

– Aggie, zginiemy, jeśli Sabachthani odkryje ślad naszych dusz na tym
czymś.

– Niemożliwe!

– Musimy uciekać. – Głęboko nabrał powietrza. Tak długo żył, bo nie lekceważył magii. – Złodzieje lepsi od nas zawiśli za mniejsze występki.

– To przynajmniej zostawmy to w jakimś domu w Wysokich Ulicach, nastraszymy kogoś.

Pokręcił głową odmownie.

– Podłóżmy to komuś, kogoś wróbmymy – upierała się. – Nawet wiem kogo.

– Jeśli to zrobisz, komuś stanie się krzywda. Takie rzeczy... Ludzie, którzy je tworzą... Nie, Aggie!

– Musimy wrócić do klasztoru. Zaprowadź mnie tam. – Podniosła koszyk. – Zaprowadź mnie tam, Salvatore.

– Kogo aż tak bardzo nienawidzisz, że chcesz, by go zabili?

Zmarszczyła brwi, skrzywiła usta.

– Pokażę ci.

– Kogo?

– Zrobię to, czy ze mną pójdziesz, czy nie. Jeśli pójdziesz, zobaczysz, o kogo mi chodzi.

Salvatore westchnął.

– O kogo chodzi? Mów!

– Tak bardzo jej nienawidzę. – Aż tupnęła. – Zostawię cię tutaj i sama to zrobię. Specjalnie szukałam czegoś niebezpiecznego. Lord Sabachthani ją zabije. Chcę tego. Widziałeś moje plecy.

Odeszła. Zagłębiła się w mrok, tak jak ją tego uczył, bezszelestnie – już miała stopy złodzieja, a nie niezdarne stópki zakonnicy. Hełm mignął w błysku skradzionej świecy.

Salvatore wyciągnął ku niej rękę.

– Czyżbyś sobie nie radził? – Jona chwycił go za rękaw.

Złodziej obrócił się gwałtownie.

– Przyszedłem pomóc – powiedział Jona z kpiącym uśmiechem. – Wiesz, kto mnie przysłał. Twoi przyjaciele martwią się, że zadajesz się z tą dziewczyną.

– To ja mam przyjaciół?

– Użyteczny chłopczyk. Ale ostatnio coś się opuściłeś, a oni zauważyli, że próbujesz narobić bigosu.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Czy zdajesz sobie sprawę, co ona robi, jeśli jej nie powstrzymamy?

Jona potaknął.

– Nie kochaj się w pięknych dziewczynach, bo mogą cię przez nie przyłapać. Nie wiesz, co ci krąży we krwi?

Masz szczęście, że przyjaciele o ciebie dbają. Szczęście, że przynosisz im tyle dobrego towaru.

– Kto naprawdę cię przysłał? Sabachthani?

– Czas o niej zapomnieć. Po prostu zostaw ją w spokoju. Dość już narozrabiałeś. Odprowadzę cię do domu. Pić mi się chce. Pierwszą kolejkę ja stawiam. Chodź.

Salvatore spuścił wzrok na kanały. Błysk świecy Aggie migotał w oddali.

– Zapomnę o niej. A wtedy znajdę sobie kogoś nowego i będzie tak, jakby to w ogóle się nie wydarzyło.

Jona się uśmiechnął.

– Dziewczyn tu masz na pęczki, i to takich, które nie są w zakonach.

Salvatore zamierzył się pięścią. Jona chwycił go za nadgarstek, ale przeciwnik drugą ręką chwycił pałkę i uderzył go w kolano. Jona upadł, złapał złodzieja za płaszcz. Salvatore wysunął ręce z rękawów i uciekł.

Jonę ogarnęła wściekłość. Powinien spodziewać się pałki. Był zbyt rozkojarzony okazją, by w końcu pomówić z Salvatore, z kimś innym takim

jak on, po tylu dniach śledzenia go z daleka. Chciał odciągnąć Salvatore w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógłby go zapytać, jak żyje, jak on powinien żyć i jak to się stało, że w ogóle są na tym świecie.

Bardziej bolała go urażona duma niż kolano. Powinien pamiętać o pałce.



Salvatore dogonił dziewczynę już przy bramie klasztoru, gdy szukała sposobu, by dostać się do środka. Zawinęła koszyk w swój płaszcz i tobołek niosła na ramieniu niczym torbę. Kołysał się w powietrzu, na tyle ciężki, by zaburzać jej równowagę.

Na widok Salvatore skrzywiła się i wskazała okno. Sięgnął po koszyk, ale ona się odsunęła. Znów wskazała na górę. Salvatore pokręcił głową, lecz drugą ręką wyciągnął linę z kotwiczką. Pozwolił, by dziewczyna poszła pierwsza, dźwigając koszyk w płaszczu, a potem sam wdrapał się na mur. Wyciągnął rękę, by podsadzić ją do okna. Spojrzała na niego spode łba jak rozgniewane dziecko. Cofnął rękę.



Matka przełożona pamięta dziewczynę, która krwawiła Elishtą, gdy ludzie króla sforsowali bramy klasztoru. Powiedziała, że Kościół Imama napisał do nas, prosząc o ogniste nasienie, gdy dziewczynę aresztowano, i podziękowała mi za nie. Nie mogli tak po prostu spalić świętego przybytku.

A powinni. Salvatore był w jej pokoju do samego końca. Świątynia jest tego pewna. Ja jestem tego pewna. Na pewno poszedł do jej pokoju i próbował ją ocalić przed nią samą.

Chcą, żebyśmy podzielili się z nimi wiedzą złodzieja. Chcą wiedzieć, jak zniszczył to dziewczę.

Gdy nadejdzie ta chwila, nic im nie powiemy. Oni już mieli swoją szansę.



W jej ciasnym pokoiku, jak powiedziała później Jonie, Salvatore położył rękę na koszyku. – Zacznę krzyczeć – uprzedziła.

Delikatnie pociągnął za koszyk. Wzięła głęboki wdech. Odsunął rękę. – Proszę, nie bądź taka – wyszeptał. – Nie krzywdź nikogo. – Podniósł rękę w geście kapitulacji.

Wyniosła koszyk na korytarz. Salvatore wiedział, kogo ona chce pogrążyć. Wiedział też, że to się nie ma prawa udać.

Wychylił się przez okno i obrzucił wzrokiem świat za murami klasztoru. Węszył w powietrzu niczym zwierzę – poczuł wiatr, całe nocne miasto, wilgotne światło lamp, mgłę oraz ludzi idących wte i wewte po ciemnych ulicach, jak i tych pojawiających się w oknach.

Odwrócił się i raz jeszcze spojrział w mrok, gdzie zniknęła Aggie. Jeśli ją teraz zostawi, już nigdy tu nie wróci. Jeśli zostanie, by spróbować ją ocalić, zgubi ich oboje.

Jeśli odejdzie, w kilka miesięcy zapomni jej twarz, potem imię, a w końcu znajdzie sobie nową miłość.

Spojrział na ciemną plamę otwartych drzwi, potem na okno i znów na drzwi.



Jona przyglądał się, jak Salvatore sam wychodzi oknem. Złodziej zostawił linkę z kotwiczką przyczepioną do murów klasztoru. Może chciał dać dziewczynie szansę na ucieczkę.

Na ulicy zaczął się rozglądać za Joną, wskazując swój kołnierz. Chciał odzyskać palto.

Jona wyszedł z ciemności, podał mu płaszcz.

– Dzięki – bąknął Salvatore.

– Skończyłeś z nią? – zapytał Jona. – Musisz z tą dziewczyną skończyć. Przez nią wielu ludzi może ucierpieć.

Salvatore odwrócił się i odszedł. Jona próbował przyspieszyć kroku, by go dogonić, lecz złodziej był już daleko. Przez chwilę obaj biegli.

Wreszcie Jona zwolnił. Nie miał już nic więcej do powiedzenia ani do zrobienia. Salvatore pobiegł dalej sam.

Tak pewnie wyglądało niemal całe jego życie.



Cieśla sceptycznie uniósł brew i pokręcił głową.

– Jesteś pewien, że to wystarczy? – zapytał. – Bardzo, ale to bardzo delikatnie do tego podszedłeś. Zawsze wydawało mi się, że masz ciężką rękę, a tu proszę.

– Salvatore nie wróci.

– Ona wciąż ma... to coś?

– Została z tym sama. Salvatore już jej tego nie odbierze.

Cieśla pokręcił głową.

– Za dużo czasu ci to zajęło. No to zjeżdżaj. Mam nadzieję, że problem nie wróci i nie będę musiał zleceńodawcom powiedzieć, co zrobiłeś. Radzę ci mieć oko na tego gościa. Źle skończysz, jak nie zmadrzejesz. Wkrótce wrócisz do krwawej roboty, koniec z delikatnymi sprawami, załóż się.

Jona czekał.

– Czego chcesz? – Cieśla sięgnął po młotek. – Lepiej, żebyś nic nie chciał.

– Chcę wiedzieć, jak się nazywasz. Chcę wiedzieć, po co to wszystko. Czemu to robię? Nie rozumiem. Żaden z tych ludzi nie wydaje się nikim ważnym, a nic, co dla was robię, nie ma sensu.

Cieśla odłożył młotek. Uśmiechnął się.

– Myślałem, że poprosisz o kasę. Zabieraj się stąd, demonie. Nie pytaj. Miej na oku swojego gościa. Uważaj na niego.

Następnego ranka Jona zjawił się za wcześnie na musztrę z ludźmi króla. Usiadł przy pisarczykach i sierżancie z nocnej zmiany. W oczekiwaniu na swoją załogę pomógł im odkroić ze stołów zaschnięty wosk pozostały po kapiących świecach.

W końcu pojawił się sierżant Calipari, targając tonę papierów. Położył je na stole i zaczął przeglądać.

– Coś wcześniej dziś jesteś. Nie byłeś wczoraj z chłopcami na mieście, prawda?

– Moja mama potrzebowała pomocy – wytłumaczył Jona. – A ty byłeś?

– Zaraz po pracy poszedłem prosto do domu. Napisałem list do Franki i położyłem się spać.

Jakże Jona zazdrościł sierżantowi przespanych nocy. O ile lepsze to niż zabijać i czaić się w mroku!

Hamak w ciemnym pokoju, kołyszący się z lekka, dziewczyna w oknie, listy do kobiety z obrzeży miasta – wszystko to były dla Jony zagadki. Potakiwał, niby to ze zrozumieniem, i próbował przypomnieć sobie, zanim się odezwie, co ludzie mówili w takich sytuacjach, ale tak naprawdę nie wiedział, o czym mowa. Robił, co mu kazano. Zawsze będzie posłuszny. Bolała go głowa na samą myśl, co Salvatore mógł robić właśnie w tej chwili, co działo się z Aggie w klasztorze i czy siostry odkryły demonową skazę lub magię tam, gdzie dziewczyna ukryła koszyk z psem Sabachthaniego.

ROZDZIAŁ X

Kiedy ostatni raz robiłaś coś... no wiesz, ze spraw Senta? Wczoraj. Udało mi się wprowadzić w czarośnienie. Widzimy prawdy ukryte za ludzkimi losami. Tak jak sny są prawdziwe w tym, co mówią, lecz nigdy w tym, jak mówią. Przepraszam, ty chyba nic o tym nie wiesz. To jak śnienie. Coś między jawą a snem. Prawdziwe, choć nieprawdziwe. Trudno to wyjaśnić bez przywołania koanu.

Którego?

Jakie masz ręce, zanim się urodzisz?

Nie rozumiem.

Ręce czynią z ciebie człowieka, Jona. Kim jesteś bez nich?

Nie wiem. A co to ma niby znaczyć?

To czarośnienie. Jeden z koanów ujawniających prawdy tego świata. Medytowałam nad nim, a potem poszłam się przejść, szukając dowodów, że działa. Weszłam do sklepu mięsnego i poprosiłam rzeźnika o najlepszą kielbasę, jaką ma w ofercie. Podał mi tę, którą miał najbliżej ręki. Zapytałam, skąd wie, która kielbasa jest najlepsza. Odpowiedział, że wszystkie jego kielbasy są świetne. Potem zobaczyłam, jak prowadzi podobną rozmowę ze swoimi synami, o tym, który z nich jest najlepszy, a później zobaczyłam, jak jego synowie prowadzą podobną rozmowę ze swoimi synami, i tak dalej, wprzód i wstecz w czasie przez tysiąc pokoleń.

Medytujesz teraz nade mną?

Och, w ogóle nie umiem się skupić, gdy jestem nago.



Lęk powszednieje. Przyzwyczajasz się jak do chodzenia z kulawym. Dostosowujesz się. Ja się dostosowałam do mojego brata.

Rachel jeszcze raz sprawdziła ubranie, czy nie ma dziur. Ponownie zawiązała rzemienie przy rękawach. Zbyt łatwo było nie zauważyć wystającej łuski, czarnej i lśniącej jak ciemna moneta.

Senty, ściśle przestrzegające zasad swej rygorystycznej wiary, są cały czas ubrane. Noszą długie luźne spodnie lub suknie i zawsze solidne buty. Dwa długie skórzane pasy ufarbowane na czerwono krzyżują na piersi. To ma symbolizować kosmiczną Jedność. Skórzane pasy Rachel, szorstkie i postrzępione, zwisały od talii aż do ziemi.

W tych szatach Rachel mogła ukryć wszystko poza twarzą, dłońmi i włosami. Na ulicy nikt by jej nie zaczepił. Stroniła od miejsc, gdzie porządna senta mogłaby pójść dla paru groszy – domów bogaczy czy sal operowych. Trzymała się z dala od świątyń i stróżów prawa. Tylko jej ubranie rzucało cień.

Zdawało się, że ludzie nie przyglądają się jej uważnie. Widzieli po prostu kobietę w szatach senty. Tak działa uniform.

Djoss przeciągnął się i strzepał kurz z płaszcza.

– Gotowa?

– Obejrzyj mnie – poprosiła. – Widzisz coś?

– Nie – zbył ją, nawet nie patrząc. – Chodźmy już.

– Djoss! Obejrzyj mnie! Westchnął.

– Tam i tak nikt nie będzie na ciebie patrzył.

– Po prostu mnie obejrzyj, dobra? – Uniosła włosy nad głowę, by mógł zobaczyć całe plecy. Djoss znalazł miejsce przy szyi, gdzie nieco odchylił się kołnierz płaszcza. Nie było widać łusek, ale i tak go podniósł.

– Widzisz, mówiłam.

– Nic nie było widać – burknął Djoss.

– Tym razem. Musimy wkrótce pomyśleć o wymianie moich ubrań. Te mam już od dawna.

– Popytam. Turco ma kontakty.

– Nie ufam mu.

– Jak dotąd mnie nie zawiódł. Nie jest zły, jeśli dać mu choć cień szansy.

– Bądź ostrożny. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Gdyby cię aresztowali... albo zabili...

Pot prędzej czy później przeżerał się przez jej ubrania, nosiła więc pod spodem jedną warstwę łachmanów, by to opóźnić. W upale Psiej Ziemi pot lał się strumieniami spomiędzy jej łusek, dzień i noc, bez przerwy. Zużywała te szmaty dość szybko, wymieniając je raz po raz z pomocą Djossa. Zastąpienie szat senty, a nie samych łachów, byłoby trudne bez udziału Djossa. Czasem czarośnienie może ujawnić dobrej sencie za dużo prawdy o jej życiu.

Rachel od wielu tygodni nie wychodziła z budynku. Ukrywała się przed światem, wypacając lęk tych wszystkich dni, gdy spała w zaułkach, ze strachem nasłuchując kroków – czy nie nadchodzą ludzie z pałkami, ścigający ją i brata, przyglądający im się uważnie w poszukiwaniu dowodu, na przykład rozdwojonego języka albo lśniącej łuski.

Ulice śmierdziały gorzej niż pokój w piwnicy. Mieszkańcy opróżniali nocniki z okien wprost na ulicę, gdzie zawartość spływała biotem ku ściekom. Gdzieś pod warstwą rozmięklej ziemi leżał bruk. A dziś błoto, szczyzny i deszcz ściekały do solnisk na południe od miasta, gdzie ląd stapał się z oceanem niczym mokry, wystrzępiony jedwab.

Wychodząc na ulicę, mężczyźni wkładali na buty wysokie kalosze. Kobiety unosiły spódnice do kolan, by uchronić rąbek przed błotem, a na nogi wkładały długie buty obwiązane tkaniną. Bardziej zamożni nosili przy

sobie parasole, bo deszcze były częste, a gdy nie padało, z nieba lał się nieznośny żar.

Koszula Djossa cuchnęła potem. Rachel trzymała się blisko niego, a kwaśnawy odór jego ciała zagłuszał inne zapachy miasta.

Djoss pomachał ulicznemu sprzedawcy ogromnym stożkowym kapeluszem.

– To skończony świr – szepnął do Rachel. – Pogadaj z nim minutę, a zaczniesz bełkotać o tym, jak to monety króla czytają mu w myślach. Nie przyjmuje miejscowych pieniędzy, tylko zagraniczne.

Trochę dalej skręcił w lewo.

– Do pubu nietrudno trafić – rzekł. – Skręć w lewo przy tym wariacie i idź prosto w stronę rzeki. Gdy nie wychodzę na robotę z ekipą Turca, tam można mnie znaleźć.

– A jak chowasz to, co dla niego nosisz?

– W mięsie. Jest ciężko, ale sprzedaję kawały mięsa i robi się coraz lżej.

Szli pustą stroną ulicą, gdzie jedyną oznaką życia był wózek latarnika. Na szczycie wzgórza bruk prześwitywał przez błoto. U podnóża po drugiej stronie rzeczni żeglarze spędzali noce w karczmach, pubach i tanich burdelach. Ciepłe kąpiele były tu jednak bardziej popularne niż kobiece wdzięki.

Brat poprowadził Rachel do pubu stojącego na wysokim wale tuż przy rzecznej grobli. Ławki wzdłuż brzegu rzeki okupowali śpiący łachmaniarze; gdy się obudzili, sikali z nabrzeża.

Djoss dziś pracował, musiał więc zostać w pobliżu drzwi. Rachel sama weszła do środka. Wepchnęła się między dwie pijane kobiety i podniosła rękę, wołając obsługę.

Usiłowała odszukać Djossa wzrokiem, ale nie mogła dostrzec drzwi przez tłum. Gdy odwróciła się z powrotem do baru, stała już przed nią

strudzona barmanka, niecierpliwie czekając na zamówienie. Rachel poprosiła o napój i rozejrzała się za miejscem do siedzenia. Chciała mieć ścianę za plecami, by widzieć całą salę.

Barmanka trzykrotnie stuknęła w dzwonek. Podniósł się wiwat, Rachel nie wiedziała dlaczego. Usiadła i uniosła rękę, wzywając obsługującego gościa chłopca, gdy przechodził obok, taszcząc miski z zupą, i szybko mu zapłaciła.

Na stołach nie było żadnych sztućców. Siedzący obok mężczyzna siorbał zupę wprost z miski trzymanej w dłoniach. Udało mu się nie uronić ani kropli i nie zabrudzić koszuli.

Wszyscy przekrzykiwali muzykę, więc grajkowie przygrywali głośniej, wskutek czego zgiełk wciąż się wzmacniał. Rachel musiała krzyczeć, by przywołać barmankę z powrotem. Wskazała swoją miskę, gestem prosząc o łyżkę.

– Nie ma łyżek! – odkrzyknęła barmanka.

Rachel ostrożnie uniosła miskę. Próbowwała znaleźć metodę, jak zjeść zupę i nie poplamzić ubrania. Miska miała wywinięty brzeg, przez co picie z niej było ryzykowne.

Wtem rozmowy ucichły, ludzie zaczęli obserwować szarpaninę między dwoma bywalcami. Djoss przepchnął się przez tłum, rozdzielił walczących, prawdziwy olbrzym przy tych warchołach, i powłókł ich na ulicę.

Rachel nachyliła się do sąsiada. Sama się zdziwiła swojej śmiałości, by odezwać się do kogoś po tak wielu dniach spędzonych w ukryciu.

– O co im poszło, jak myślisz?

Mężczyzna nadal rozmawiał z kobietą po drugiej stronie. Dotknęła jego ramienia.

– Hej, mówię do ciebie.

Odwrócił się z marsową miną. Sporo już wypił.

– Co jest?
– Jak myślisz, o co im poszło?
– Nie mam pojęcia – odburknął i chciał ciągnąć przerwana rozmowę, ale tamta kobieta już odeszła. Odwrócił się z powrotem do Rachel. – To twoja zupa?

Delikatnie uniosła miskę.

– Tak, moja.
– Nie masz czym jeść, co? – Wyciągnął łyżkę z kieszeni i podał Rachel.
– Dziękuję, ale nie. – Pokręciła głową. Pewnie chciałby łyżkę odzyskać. Pewnie by jej nie umył. Pewnie by jej użył nawet tutaj i od razu mógłby się pochorować.

– To może chusteczkę?
– Nie, dzięki.
– Przyda ci się.
– Doprawdy? – Uznała, że nie podoba jej się ten człowiek. Rozejrzała się za bratem, lecz zniknął w tłumie. – Jestem tu z kimś. Nie widzę go teraz, ale w razie czego skorzystam z jego chusteczki.

– A czy ten ktoś się znajdzie, gdy będziesz go potrzebować?
Zaśmiała się.
– On tu pracuje.
– Dobrze, że pracuje tam, gdzie możesz mieć go na oku.
– Pierwszy raz tu jestem.
– Nazywam się Salvatore.
– A ja ci nie powiem, jak się nazywam.
– A powinnaś – odparł przymilnie. – Przez grzeczność.
– Nie jest grzecznie podawać swoje imię komuś, kto nie chce go znać – odcięła się.

Z nonszalancją, której nie czuła, podniosła miskę i wychyliła, jakby piła lekarstwo. Zupa rozlała jej się po brodzie i trochę poplamiła kołnierz. Salvatore z uśmiechem wyjął z kieszeni chusteczkę. Przyjęła ją bez uśmiechu. Chusteczka pachniała mydłem. A to nie był lokal, gdzie bywali ludzie z pachnącymi chusteczkami.

Rachel w myślach policzyła swoje pieniądze. Nie miała wiele, ale poukrywane w różnych zakamarkach ubrania. Włożyła chusteczkę do kieszeni, gdzie trzymała monety.

– Zachowam ją sobie.

Wyciągnęła monety spod chusteczki i ukryła je w dłoni. A potem sięgnęła w dół, niby poprawić but, i wsunęła grosiki za cholewę, gdzie przez całą noc mogła je czuć na pięcie. Jej łuski i pazury nie będą się o nie ocierać.

Salvatore uśmiechnął się leniwie.

– Chcesz potańczyć?

– Tak. Ale nie umiem.

Zaśmiał się na te słowa i pociągnął ją za rękę, a ona pozwoliła mu się poprowadzić w tłum. Był dość pijany, by śmiać się zbyt długo, choć to wcale nie było takie śmieszne.

Miał sztywne plecy, ale na nogach poruszał się lekko, na nikogo nie wpadał. Aż skuliła się w sobie, gdy poczuła jego rękę na krzyżu. Miała nadzieję, że on nie wyczuje łusek pod ubraniem. Miała nadzieję, że nie nadepnie jej na palce, bo wtedy musiałyby się tłumaczyć z guzków tam, gdzie szpony kryły się w butach.

Salvatore zakręcił ją i odchylił do tyłu w głębokim wypadzie.

Był przystojny i nie deptał jej palców. Pachniał dymem i mydłem, ręce miał czyste. Piosenka się skończyła. Rachel skinieniem głowy dała znać, że nie chce już tańczyć.

Odprowadził ją na miejsce. Miski już nie było na stole, nie zdążyła jej upuścić na podłogę i rozbić. Chciała już iść, lecz Salvatore kupił jej coś do picia.

– Czemu? – zapytała.

– Bez powodu – odparł z szerokim uśmiechem.

Po tańcu była spragniona i nie chciała urządzić scen. Przyjmie poczęstunek, wypije i wyjdzie. Będzie uprzejma, by móc odejść w spokoju, nie zwracając niczyjej uwagi. Patrzył na nią. Piła szybko.

– No, powiedz coś – zagadnęła.

– A co mam powiedzieć? – odrzekł wesoło.

– Po prostu nie siedź tu jak jakiś żółw. To mnie peszy.

– Staram się wymyślić właściwe słowa. Myślę, że mam. Twoje oczy są jak dwie błyszczące monety. Tańczysz jak jedwabna wstążeczka.

Zamówił kolejne drinki. Jej kubek trafił do zmywaka za barem, a ona pomyślała, że może jej miska zostanie tam porządnie wyszorowana.

– Nieprawda. Uważaj, czego pragniesz...

– Bo to dostanę?

– Nie. Pozwól mi skończyć. Uważaj, czego pragniesz, kiedy w grę wchodzi kobieta, bo zapewne spełni się jej życzenie zamiast twojego i tobie się to nie spodoba.

– A czego ty pragniesz?

– Lepszego towarzystwa. – Rachel odsunęła swoje krzesło. – Idę już. – Wstała i ruszyła do drzwi, gdzie stał Djoss, lustrując wszystkich spoде łba. Podała mu swój kubek.

– Hm? O, dzięki. – Rzucił go za siebie.

Minęła drzwi i przez ramię pomachała do brata.

– Dopiero co tu przyszaś! – zawołał za nią.

– Uważaj na siebie! – krzyknęła na odchodne. Szła ostrożnie wzdłuż muru, który pokazał jej brat.

Jakiś handlarz wciąż miał otwarty kram, głośno targował się z klientem. Rachel zakradła się od tyłu i ściągnęła z wózka słoik marynowanych jajek.

Skręciła w ulicę ku piekarni. Nie pamiętała, czy lubi marynowane jajka. Jeśli nie, odda je Djossowi. On jadł wszystko. Oboje cierpieli głód na tyle często, że nie grymasili przy jedzeniu.

Gdy znalazła się w pokoju i zamknęła drzwi na klucz, wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Ktoś wykrzykiwał kobiece imię, ktoś walił w ścianę budynku. Potem zrobiło się cicho.

Rano postanowiła, że znajdzie Turca. Nie mogła już dłużej siedzieć w domu, musiała zacząć pracować. Lęk nigdy jej nie opuszczał, ale chciała doznawać też innych uczuć.



Jona widział wszystko tej nocy. Nigdy jej tego nie powiedział. Obserwował, jak poznała Salvatore, nie wiedząc, kim ona jest – ani kim będzie. Sądził, że senta powinna od razu poznać demonowy pomiot, gdy dotyka jej ręki.

Salvatore był głupcem, bo próbował uwieść dziewczynę, która mogła go przejrzeć, lecz zawsze pociągały go kobiety, które wyraźnie odstawały od swego otoczenia, czy to w nocnych karczmach, czy w świątyniach.

Jona wyszedł za nim. Obserwował złodzieja idącego tą samą drogą co ona. A w jego sercu rosła pogarda, pęczniała niczym bąbel kwasu. Salvatore już zdążył zapomnieć o Aggie.

Złodziej doszedł do drzwi piekarni. Sięgnął po klamkę. Jona wykrzyknął jego imię. Salvatore odwrócił się zaskoczony, walnął pałką o mur – a potem wziął nogi za pas. , Jona zobaczył Rachel po raz wtóry, kiedy szła przez

Zagrody, od drzwi do drzwi, prosząc o pracę. Wyglądała znajomo, ale w świetle dnia i na ruchliwej ulicy zrazu nie mógł jej skojarzyć. Ileż miłości zaczyna się od deja vu?

Powiedział Tripolemu, że wróci za chwilę, bo zobaczył kogoś znajomego. Ta dziewczyna podeszła do mężczyzny z sumiastymi wąsami, stojącego beczynn timer koło czerwonych drzwi. Nie było to miejsce, gdzie Jona wszedłby bez całej załogi za plecami, bijącej w dzwony, nie mając wystarczająco pewnego dowodu, by aresztować wszystkich w środku.

Odziany w czerwień mężczyzna w czerwonych drzwiach uśmiechnął się, jakby ją znał, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Jona już nieraz widział takie powitania. Na ulicy w mieście wszystko może się zdarzyć. Ktoś może stać przez wiele godzin na rogu ulicy z ogromnym kawałem mięsa na ramieniu. Ludzie mogą uciekać od niczego i od wszystkiego. Wróble mogą dreptać między nogami ludzi tak pewnie, jakby miały dwa metry wzrostu. A Jona zobaczył piękną kobietę w szatach senty rozmawiającą z czujką ulicznego gangu. To było zwyczajne i dziwne zarazem. Ten oprych normalnie by nie opuścił swojego posterunku, bo stał tam na warcie, lecz na prośbę tej dziewczyny wstał i poszedł.

Tripoli też to zauważył i ruszył w ślad za Joną, mimo że ten dał mu wcześniej znak, żeby został. Obaj ludzie króla skinęli do siebie. Czujka oddalająca się gdziekolwiek od razu zwróciła ich uwagę, a jeszcze bardziej to, że nie prowadziła jakiegoś zbira. Tłum rozstępował się przed strażnikami, lecz tych dwoje, których śledzili, zdawało się tego nie zauważać.

Draba, całego w czerwieni, trudno było zgubić wśród ludzi ubranych w brązy i szarości. Odprowadził ją do drzwi. Drzwi burdelu. Senty nie pracowały w burdelach, a nawet jeśli, to ta dziewczyna była za dobrze

ubrana, nie miała na sobie nic różowego i nie używała pudru. Tripoli pokręcił głową.

– O co tu biega, jak myślisz?

– Nie wiem. Nie podoba mi się, że czujki łązą po okolicy. Czy on gwiżdże na to, co pomyślą sobie jego kumple?

– Może to jego siostra?

– Rzadko widuję tu senty. A co dopiero z czujkami. Tamtej nocy w pubie było ciemno. Na ulicy rzecz jasna też. Był zbyt zajęty obserwowaniem Salvatore, by dokładnie się jej przyjrzeć. Za dnia mogła mu się wydać pierwszą lepszą kobietą. Ale nie była pierwsza lepsza.

Gdyby teraz tam wszedł, mógłby ją zobaczyć w komórce, jak porządkuje miotły i szmaty. A potem ściąga wypraną pościel ze sznura. Turco załatwił sencie pracę, a za to zabierał jej część wypłaty przez kilka pierwszych tygodni.

Tak mu o tym opowiadała. Pracowała przez kilka nocy w jednym burdelu, a potem przenosiła się do innego. I do kolejnego. Wolała pracować w nocy, bo wtedy trudniej było zauważyć, że jej ciało nie rzuca cienia.

Wszędzie potrzebowano sprzątaczek. A ta dziewczyna zarobiłaby więcej, pracując w łóżku, co nie było przecież trudne.

Zanim Jona przypomniał sobie, kim ona jest, już wiele razy zdążyła zmienić miejsce pracy, a nie mógł jej znaleźć bez wzbudzania podejrzeń. Nie była z Salvatore, to wiedział. Była jedynie kolejną kobietą na ulicy, prowadzącą zagadkowy żywot jak inne.

ROZDZIAŁ XI

Sierżant Calipari siedział z nogami na biurku, trzymając w ręce kartkę wydartą z jakiejś księgi rachunkowej. Nie podniósł wzroku, gdy Jona wszedł na posterunek.

– Kapral Jona, lord Joni – przywitał go. – Spóźniłeś się. Jona mruknął coś pod nosem i wyrwał mu kartkę z ręki.

– Co to?

– Nic, jeśli koleś, któremu to zabrałem, jest uczciwy. Brakuję jednak kilku cyferek. – Sierżant pokręcił głową, taksując go wzrokiem. – Musisz więcej spać. Wyglądasz, jakbyś całą noc nie zmrużył oka.

– Upiłem się – przyznał Jona. – Rzucałem kamieniami w statki. A ty co robiłeś?

– Syn Franki pojawił się w mieście, coś tam robi z nowymi końmi dla jakiegoś gościa. Zabrałem go na walki psów. Dzieciak sporo przegrał. Ja mniej.

– Co się dzisiaj święci? – Jona wskazał puste biurka. – Nie widzę pisarczyków.

– Oni się nie spóźnili. Wysłałem ich na obchód z całą resztą. Niech szeregowcy nabiorą trochę wprawy, przyda im się, jak awansują na kaprali. A słońeczko jest dobre dla zdrowia.

– Kiepski pomysł, sierżancie. Myślisz, że wszyscy wrócą w jednym kawałku?

– Może tak, może nie, zobaczymy. Porucznik chce, żebyśmy udali się do domu Sabachthanich. Problem z jakimś szlachcicem. Ty jesteś szlachcicem, powiedział, więc ciebie tam posyła. To jakaś drobna sprawa. Szkoda mu czasu.

– No patrz, a myślałem, że będzie stawał na głowie, żeby jej pomóc.

– Źle myślałeś. Ponoć sama poprosiła o ciebie. Czyżbyście się mieli ku sobie, lordzie Joni?

Jona usiadł. Wcale mu się nie podobało, że Sabachthani o niego poprosiła.

– Byłem z nią raz czy dwa razy na herbatce.

– Duża przysługa – ocenił sierżant. – A teraz żąda zapłaty.

– Może i jestem lordem, ale tylko kapralem. Spróbujmy wkręcić w to porucznika.

– Ha, jasne, zaczekaj, pięknie go o to poproszę... – zadrwił Calipari. – Nikt nie chce zbliżyć się do Sabachthani bardziej, niż musi. Idę z tobą. Nikt mi nie kazał, ale nie dasz rady sam tego załatwić.

Jona przypuszczał, że to podstęp, ale nie miał dowodów. Cieśla bez skrupułów rzuciłby go wilkom na pożarcie. A Sabachthani była bardziej niebezpieczna niż wilki. Może chodziło o ten wypadek podczas wspólnej herbatki z lady Elą? To jeszcze pogarszało sprawę. Tak czy owak, obecność Calipariego powinna być pomocna, lecz w takich okolicznościach martwiła Jonę najbardziej.

Odźwierny skłonił się i powiedział coś do tuby wpuszczonej w ziemię pod jego stopami. Przyciskał ucho do wylotu, aż dobyły się stamtąd jakieś niewyraźne dźwięki, które brzmiały niemal jak ludzka mowa. Odźwierny skłonił się raz jeszcze, po czym machnął ręką, zapraszając dwóch strażników miejskich do głównych drzwi.

Jona rzucił mu monetę. Właśnie tak, przekupując odźwiernych, wkładał się na przyjęcia w porze suchej.

Calipari nawet tego nie zauważył. Był zbyt zajęty, próbując podejrzeć stalowe bestie ukryte w zagajniku wierzbowym. Ledwie je było widać za

osłoną drzew. Pas stratowanej ziemi wskazywał, którędy te kolosy chodzą do bramy i z powrotem.

Na podwórzu panowała dziwna cisza. Żaden ptak nie śpiewał.

Calipari spojrział w górę domu.

– Myślisz, że to służący?

– Może – odparł Jona. – Wiesz, co ukradziono? Calipari wzruszył ramionami.

– Nie. Ale założę się, że to ktoś ze służby. – Wskazał kciukiem zagajnik wierzbowy. – Albo jedna z tych machin.

– Chcesz je powiesić? Sierżant zachichotał.

Jona poprawił kołnierzyk. Zmienił swój naturalny kpiący grymas w szeroki, nieszczerzy uśmiech.

– Gotów, żeby się przedstawić?

Calipari też się uśmiechnął. Obaj wyciągnęli z kieszeni karteczki z nadrukowanym imieniem, nazwiskiem, rangą i adresem posterunku. Wizytówka Jony była brudna i zagięta na rogu, Calipariego zaś nieskazitelnie czysta i biała. Jona zapukał kołatką wyrzeźbioną na podobieństwo otwartej paszczy wieloryba. W drzwiach stanął kamerdyner. Ukłonił się.

– Strażnicy? Od króla?

– Sierżant Nicola Calipari, zgodnie z życzeniem. – Calipari podał wizytówkę i wyciągnął dłoń do uściśnięcia.

Kamerdyner wziął wizytówkę, ale dłoń zignorował.

– Lord Joni – przedstawił się Jona. Też podał wizytówkę i wyciągnął dłoń.

Kamerdyner wzgardził jednym i drugim. Zwrócił się do sierżanta Calipariego.

– Pan Sabachthani jest niedysponowany. Może kapitan mógłby zawitać tu jutro.

Jona chwycił kamerdynera za rękę, uściskał mu dłoń i wepchnął wizytówkę w klapę marynarki.

– Lord Sabachthani osobiście o mnie poprosił, no i jestem – warknął. Później wyjaśni to Calipariemu. Nie można pozwolić służbie, by tobą pomiatała; to tylko służba. Jeśli jesteś coś wart, masz prawo nimi pomiatać.

Kamerdyner odwrócił się do Jony.

– Mówiłem do dowódcy.

Calipari ledwie ukrył rozbawienie pod tą swoją marsową miną.

– Żaden tam ze mnie dowódca – odparł. – Jestem tylko sierżantem. Państwo prosili o jakichś ludzi króla, to i przyszliśmy. Możemy wam pomóc czy nie?

Kamerdyner gestem zaprosił ich do środka, zostawił obu w salonie i zniknął. Calipari już miał usiąść na ogromnej skórzanej otomanie, lecz Jona go powstrzymał, wskazując okno. Stąd było widać owadzie odnóże jednego ze strażników, wystające z zagajnika wierzbowego.

Z drzwi za półką na książki wyłonił się majordomus. Na oko Jony niewiele się różnił od kamerdynera – starszy mężczyzna z ewidentną dworską manierą, bez tytułu czy majątku, które usprawiedliwiałyby taką postawę. Gdy zaczęła się wymiana zdań i zdawkowych uprzejmości, Jona siedział cicho. Majordomusów nie warto było zaszczycać rozmową. Calipari nie wiedział tego, nie zorientował się też, że dumny sługus traktuje go z góry.

Jona wyjrzał przez okno na podwórze, czekając, aż coś się wydarzy.

Po trawie przemknęło stado psów niczym żółte liście niesione na wietrze.

Żaden z tych psów nie szczekał.

Majordomus pewnie grał na zwłokę, mając nadzieję, że się pozbędzie strażników. Lady Ela, córka Sabachthaniego, mogła zejść do nich w każdej chwili. Służba domowa uskuteczniała własne polityczne machinacje.

Jona ostatni raz tańczył z Elą, gdy wkradł się na jej przyjęcie. Ciężko poruszała się na nogach i cały czas zaplątywała się w suknię. Nie lubiła konwersować podczas tańca. Pozwalała Jonie, by mówił jej po imieniu, ale tylko gdy nikt nie słyszał. A jeśli zdarzyło im się rozmawiać we dwoje w zatłoczonym pokoju, lubiła go pytać o ludzi poza murami posiadłości Sabachthanich, gdzie żyła reszta mieszkańców Psiej Ziemi.

Opowiadał jej o przestępcach, których aresztował, i o tych, których puścił wolno. Opowiadał o romansach kobiet i mężczyzn, którzy nie mieli pałaców.

Gdyby był bogatszy, może posunąłby się do tego, by nazwać ją przyjaciółką. A tak rozmawiali tylko wtedy, gdy zjawiał się na przyjęciach, na które nikt go nie prosił. Co prawda czasem zapraszała go na herbatkę do kogoś, ale tylko po to, by innym pokazać, jak bardzo jest łaskawa wobec mniej zamożnej szlachty. Teraz po raz pierwszy znalazł się w domu Sabachthanich za jej pozwoleniem.

Calipari i majordomus wciąż rozmawiali o niczym. Służący z premedytacją zatrzymywał ich tu do czasu, aż jego państwo naprawdę będą nieosiągalni. Taką miał pracę – grzecznie pozbywać się intruzów, nawet jeśli byli zaproszeni. Zapraszano mnóstwo ludzi. Jeśli akurat wizytę państwu składał ktoś ważniejszy, nie miało żadnego znaczenia, co skradziono ani czego chciano od ludzi króla. Calipari nie zdawał sobie z tego sprawy. Jona mógł nie robić nic i pozwolić, by problem jeszcze się pogłębił, zając się tym kiedy indziej. Mógł pozwolić, by majordomus wypchnął ich obu za drzwi. Albo mógł zmierzyć się z tym od razu. Cieśli bardziej się podobało, gdy siłowo podchodził do zleceń.

Odkasznął więc głośno i pstryknął palcami.

– Przestań marnować nasz czas. W śledztwach kryminalnych każda minuta się liczy. Jak właściwie ludzie króla mogą pomóc lordowi Sabachthaniemu?

Majordomus wstrzymał oddech. Pobladł.

– Nie ma powodu być nieuprzejmym, lordzie Joni

– odparł. – Pan Sabachthani potrzebuje pomocy w sprawie kradzieży psa.

– Czego?! – zdziwił się Calipari.

Służący powiedział im o psie znalezionym w klasztorze żeńskim Imama.

– No więc pies zwiął, a zakonnice go przygarnęły

– zadrwił Jona. – Co jest tu dla nas do roboty?

Majordomus potaknął.

– Być może. Jednakże w klasztorze odnalazł się też koszyk tego psa. I to w pokoju matki przełożonej.

Jona wyjrzał przez okno.

– Ci od Imama nie lubią twojego pana od czasu ostatniej wojny – stwierdził.

– Skąd wiadomo, że to koszyk lorda Sabachthaniego? – zapytał Calipari.

– Czy można udowodnić, że koszyk znaleziony w klasztorze jest tym samym, który zniknął?

– Oczywiście – odparł majordomus. – Ale obawiam się, że to już wszystko, co wiem.

Jona podniósł się z otomany. Powoli podszedł do okna. Miał już dość tego udawania.

– Mam rozumieć, że twój pan prosi o pomoc króla, ale nie raczy zesać do nas kogoś, kto coś wie?

– Lordzie Jona, panie kapralu, pan Sabachthani jest niedysponowany.

– A co z panią tego domu? Każdy szlachcic proszący ludzi króla, by wykonali dla niego brudną robotę, winien zrobić to osobiście. Czy nie tak stanowi prawo?

– Nie ma powodu być nieuprzejmym...

Jona chwycił majordomusa za klapy, kopnął go kolanem w krocze i rzucił na podłogę. Odwrócił się do Calipariego.

– To tylko służący – wytłumaczył się. – Na nic nam on.

Majordomus z trudem łapał powietrze, twarz miał czerwoną i wykrzywioną. Calipari wstał z otomany.

– Lordzie Joni, nie sądzę, że to było potrzebne. – A ja tak. Prosili o mnie. Żądają, żebym przyszedł, a potem nie raczą mnie dopuścić przed swe oblicze? To już bezczelność. Jestem szlachcicem i oni to wiedzą.

Jeśli lord Sabachthani nie chce, żebyśmy wypytywali jego służbę, dopóki nie poznamy wszystkich faktów, to lepiej niech porozmawia z nami osobiście. W gardle mi zaschło. Chodźmy poszukać kuchni, może dostaniemy trochę herbaty. Gdyby gospodarz traktował nas z szacunkiem godnym najlepszych ludzi króla, już dawno by nam ją podano.

– Jona, liczę, że wiesz, co robisz...

– Nie przejmuj się służbą. Oni nami pomiatają, bo sądzą, że mają do tego prawo. A nie mają. Nie można pozwolić się tak traktować. Nie pamiętam, gdzie jest kuchnia, ale znajdę.

Majordomus powlókł się na czworakach do drzwi, zbyt obolały, by wstać. Zarzucił rękę na gałkę i z wielkim trudem próbował ją przekręcić.

Dwaj strażnicy odeszli w pierwszym lepszym kierunku. Calipari zatrzymał napotkaną pokojówkę i zapytał ją o drogę do kuchni. Okazało się, że muszą iść na drugą stronę domu.

Calipari zaczął gwizdać.

– Czy u ciebie jest podobnie?

– Nie – odparł Jona. – Sprzedaliśmy wszystkie meble i rupiecie.

W kuchni przygotowali sobie bardzo drogą herbatę posłodzoną złotawym cukrem, ciepłobrazowym jak przednia melasa. Calipari pierwszy raz w życiu używał takiego smakołyku. Wsadził rękę do dużej torby z cukrem i wyciągnął garść, a potem zlizął go z dłoni zdumiony.

Jona przyglądał się temu z zaciekawieniem. To było takie dziecinne. Sam w domu nie miał cukru, ale znał jego smak.

– Wszystko idzie zgodnie z twoim planem, lordzie Joni? – zapytał Calipari, unosząc brew.

– Myślę, że niebawem dostąpimy niezmiernie miłego spotkania z lady Sabachthani, a potem już nigdy nas tu nie zaproszą. Jeśli będzie dla nas bardzo serdeczna, to znaczy, że zedrże nam z pensji za ten cukier.

– To jest tego warte – rzekł Calipari rozmarzonym głosem, a potem przesunął językiem po dłoni.



Po kilku zaledwie chwilach lady Ela Sabachthani pojawiła się w kuchni, uśmiechnięta szeroko. W pięknej sukni i z twarzą pomalowaną niczym jej własny portret była śliczna jak jej pieniądze.

– Panowie! – powitała ich. – Mój lordzie Joni, jakże dawno cię nie widziałam! Koniecznie muszę urządzić kolejne przyjęcie. Jak miewa się twoja matka? – Pocałowała Jonę w oba policzki, zostawiając na jego twarzy dwie smugi pudru.

Jona skłonił się nisko.

– Moja matka zapewne uszyła tę suknię, pani – odparł. – Wyglądasz dziś olśniewająco. To miła odmiana od włóczęgów i cudzoziemców, z którymi cały dzień się użeram. – Ucałował jej dłoń, a jej szeroki uśmiech stał się niemal szczery.

Sierżant Calipari skłonił się równie nisko, ale nie obdarzyła go nawet spojrzeniem. Jona nie puścił jej ręki.

– Tak się cieszę, że zechciałaś poświęcić czas, by osobiście się z nami zobaczyć. Twoja służba nie ma pojęcia, co się stało w twoim domu.

Lady Ela nalała sobie herbaty do filiżanki i zabrała rękę z jego dłoni, by zamieszać cukier.

– Tego nie zrobił nikt stąd. Ktoś spoza tego domu... ktoś z twego ukochanego miasta, lordzie Joni, wszedł w te progi, ukradł jednego z moich najdroższych piesków i zaniósł go do klasztoru Imama. Psa znalazła matka przełożona we własnym pokoju. Zwierzę już do nas wróciło. A nasze wewnętrzne śledztwo ujawniło, że winien jest ktoś z zewnątrz.

– Mimo wszystko – odparł Jona – rozumiesz zapewne nasz sceptycyzm. Czemu ktoś miałby tyle ryzykować dla jakiegoś psa?

Jej śmiech był jak krystaliczny brzęk dzwoneczków.

– To pytanie do was, nie do mnie. Ja i mój ojciec nie robilibyśmy z tego sprawy, lecz uznaliśmy, iż król chciałby wiedzieć, że ten złodziej miał w sobie skazę demonów. Niewykluczone więc, że po naszym pięknym mieście grasuje demonowy pomiot.

– Demon?! – Calipari też się roześmiał. – Elishtë odgrodzono całe wieki temu. Bezimiennych zapędzono do podziemi. A teraz kradną psy i kręcą się po klasztorze?

Ela nawet nie spojrzała na sierżanta.

– To ty jesteś śledczym, lordzie Joni – stwierdziła. – I ty... kimkolwiek jesteś... – Chwyciła Jonę za rękę i przyciągnęła do siebie. – Wielu z tych, co boją się demonów, drży też przed moim ojcem. Nie chcę już słyszeć więcej o tej przykrej sprawie.

Jona skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, pani.

– Lordzie Joni, jestem ci wdzięczna za pomoc. Lubię mieć pewność, że ktoś przybędzie, gdy go zawołam.

Nie podobało mu się to, ale miała rację. Jest jej pieskiem, posłusznym na każde skinienie, jak każdy. Jej ojciec był wpływowym mężczyzną, a ona była wpływową kobietą. Jeszcze raz ucałował ją w rękę.

Lady Ela uściśnęła dłoń Calipariego i znieruchomiała.

– Sierzancie, wydajesz się skonsternowany.

– Bo jestem, pani – przyznał. – Psy zazwyczaj nie znikają po cichu.

Potaknęła.

– Tak, ale naszym wycinamy języki. Potem mogą jeszcze coś tam z siebie wydobyć, lecz to niejedyne, co z nimi robimy.

Wyszła z kuchni, zostawiając ich samych. Calipari wypił i odstawił filiżankę.

– No cóż. Smaczna herbata – rzekł.

– Już i tak za bardzo nadużywamy gościnności – odparł Jona.

Czuł się słabo. Jakim sposobem Sabachthani poznali, że złodziej ma w sobie skazę demona? Miał ochotę wyskoczyć przez okno i uciec. Ale nie zamierzał żyć wśród jeleni i dzików, grzebiąc w ziemi i śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia, stale musząc mieć się na baczności. Nie był psem czmychającym w popłochu. Jeszcze nie. Wyrwał Calipariemu filiżankę i rzucił ją do kosza razem ze swoją. Obie się stłukły.

– Aż tak cię zdenerwowała? – zapytał Calipari zdumiony.

– Chodźmy już.

Jona niemal czuł oddech łowców na plecach. Łowców takich jak ja i mój mąż.



Sierżant Calipari chciał przyjrzeć się murom klasztoru, zanim wejdą do środka. Nic nie wzbudzało szczególnych podejrzeń.

– Powiedz mi, kapralu – zaczął – jak demonowy pomiot wszedł do świątyni Imama, która nie wpuszcza nikogo? Przez ścianę?

– Świątynia ma drzwi, nawet jeśli zamknięte. I okna, nawet jeśli wysoko nad ziemią.

– Zastanów się chwilę. Gdybyś chciał się tam dostać, to jak?

– Klucze – stwierdził Jona. – Wiem, co chcesz powiedzieć. To robota kogoś z wewnątrz.

– Albo jakiegoś głupca – orzekł sierżant. – A demon miał dość rozumu, by dostać się do posiadłości Sabachthanich i do klasztoru. Znasz kogoś, kto bywa i tu, i tu? Może grajek? Dostawca?

– Nikogo takiego nie znam. I żadnego demona, niestety – odparł Jona. – Ktoś ze skazą trzymałby się z daleka od miejsc, gdzie wciąż chcą na niego polować. Coś tu śmierdzi. Może lady Sabachthani wysiała nas tu, by dać zakonnicom coś do zrozumienia, ale nie wiem co. Nie zdziwiłbym się. Nasz czas nic dla niej nie znaczy. Ci od Imama nawet nie wpuszczą lorda Sabachthaniego do tej żebraczej świątyni po tym, co zrobił z czerwoną doliną, nieważne, co jeszcze robi. Wejdziemy tam i przekazemy wiadomość. Król nie będzie żył wiecznie. Ludzie muszą się na to przygotować.

– Lordzie Joni, ty możesz wybrać, czyją stronę bierzesz w tym wszystkim. Ale ja nie zamierzam. Jestem człowiekiem króla w Zagrodach i nic więcej. Jeśli mamy wyjawić, że jesteśmy posłańcami lady Sabachthani, sprawmy się dobrze i oddajmy cześć Imamowi. Wolę, żeby moja głowa pozostała na swoim miejscu.



Jona ziewnął.

– Kończysz już?

Calipari z nosem przy podłodze całował czwartą z białych marmurowych gwiazd Imama. Wstał powoli i skłonił się przed ołtarzem, zanim usiadł obok Jony.

– I co? Pomogło?

– Muszę przycisnąć parę zakonnice, więc lepiej się najpierw za to pomodlić.

– Myślisz, że Imam będzie miał ci to za złe?

– Myślę, że Imam nie omieszkałby mnie zgnieść jak robaka. To samo tyczy się lorda Sabachthaniego. Nie powinienem się w to mieszać. Nie bez powodu inni oficerowie trzymają się z dala.

– Skoro Ela po mnie posłała, nie prosiła o kogoś, kto by się przed nią płaszczą. Ona cię nie zna. A prosiła o mnie.

Calipari rozmasował kolana.

– Przez ciebie będę musiał się płaszczyć o wiele więcej, wiem to...

Na parterze znajdowała się świątynia Imama dla ludu. Na piętrach zakonnice żyły aż do śmierci w pokojach cichych jak grobowce. Na trzecim piętrze były cele dla dziewcząt, z oknami otwartymi na gwiazdy Imama, choć trudno było je dostrzec przez światło ulicznych lamp i chmury ciągnące znad morza.

Jona spojrzał w górę i próbował wyłowić jakiś dźwięk. Cisza.

Jakaś zakonnica w luźnych czarnych szatach wyszła przez drzwi za ołtarzem. Zatrzymała się, by pocałować ciężkie kamienie i dzwonki, a potem podeszła do balustrad oddzielających wybranki Imama od zwykłych mieszkańców miasta. Skrzywiła się, gdy zauważyła dwóch ludzi króla. Machnęła do nich, żeby podeszli.

– Niepotrzebnie tu przyszliście – odezwała się. – Ten bezbożny lord już odzyskał swoje plugastwo.

Calipari potarł rękami o nogawki spodni.

– Problem w tym... Z całym szacunkiem, siostrze...

– Z własnymi problemami radzimy sobie same. Nasze dziewczyny należą do gwiazd. Nie wolno ich kłopotać ziemskimi sprawami.

– Siostrze, z całym szacunkiem... Na świecie jest wiele problemów i my próbujemy coś z tym zrobić.

Zakonnica skrzyżowała ręce na piersi.

– Lord Sabachthani twierdzi, iż jest na tym skaza demona – ciągnął Calipari. – Ten, kto ukradł koszyk, był z Bezimiennych. Demonowy pomiot kręcący się po waszym klasztorze to poważna sprawa. Jeśli to prawda, mamy podstawy do wszczęcia śledztwa.

– On to powinien wiedzieć po tym, co zrobił z czerwoną doliną.

– On to powinien wiedzieć – powtórzył Jona. – A my musimy wiedzieć, czy ktoś cokolwiek zauważył, może nawet porozmawiać ze świadkami.

– Ja już wiem wszystko. Potraktowałyśmy tę sprawę poważnie. Jedna z dziewcząt podczas spowiedzi wspomniała, że widziała coś dziwnego – przyznała niechętnie. – Myślała, że miała koszmar, ale to musiał być ten wasz demon.

– A co widziała konkretnie? – zapytał Jona.

– Pełznącą ciemną sylwetkę, jak we śnie. To coś miało koszyk na plecach. Bardzo szczegółowo ten koszyk opisała. Nigdy nie widziała czegoś takiego ani nie mogła widzieć. To obiecujący znak dla zakonnicy, objawiać talent wieszczczenia w tak młodym wieku.

Calipari zacisnął usta.

– Ta... ciemna sylwetka miała koszyk i dziewczyna potrafi szczegółowo go opisać? A czy wie coś o osobie, która go niosła?

– Niestety, nie.

– Możemy z nią pomówić? – zapytał Jona.

– Niestety, nie.

– A czy moglibyśmy z nią pomówić w siostry obecności? – zasugerował Calipari. Zakonnica jedynie ściągnęła wargi. Spróbował raz jeszcze. – Albo siostrze zadamy pytania, a siostra przekaze jej. Usłyszemy jej odpowiedzi zza kotary albo mogłaby siostra wrócić i nam je przekazać, jeśli ona musi być w innym pokoju.

Zakonnica odwróciła się bez słowa wyjaśnienia. Wyszła za ołtarz, gdzie były ukryte schody. Calipari przekrzywił głowę.

– To znaczy, że się zgodziła? Jona wstał i się przeciągnął.

– Naprawdę chcesz prowadzić przesłuchanie w taki sposób?

– Pewnie, że nie – odparł Calipari. – Jak je rozdzielimy? Dziewczyna nie wyjdzie zza balustrady.

– A myślisz, że ją sprowadzi? Calipari westchnął.

– Nie. Cokolwiek mieliśmy zrobić, mam nadzieję, że już to zrobiliśmy.

– Pewnie tak – stwierdził Jona. – Lady Ela Sabachthani nie będzie zadowolona, ale cóż, niewiele zdołaliśmy, gdy nie możemy nikogo przepytąć. Idę coś zjeść. Już mi burczy w brzuchu.

– Ja jeszcze długo nic nie przełknę – rzekł Calipari. – Przez to wszystko robi mi się niedobrze.

Jona dobrze wiedział, co musi zrobić, by dotrzeć do Aggie, zanim zrobią to inni. Nie wahał się. Przeskoczył przez balustradę, szybkim krokiem poszedł za ołtarz i na schody prowadzące do cichych korytarzy nowicjuszek, być może jako pierwszy mężczyzna, który tędy chodził od czasu założenia klasztoru.

Sierzant Calipari złapał się za głowę. Próbował się nie śmiać. Lady Ela Sabachthani prosiła o Jonę, a znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, o kogo

prosi. Może to wystarczy, by uchronić ludzi króla przed nadchodzącymi skargami.



Jona wszedł na pierwsze piętro, a potem lawirował między stallami dla chóru, zmierzając do kolejnego ciągu schodów. Z ciekawości zajrzał na drugie piętro. Były tam korytarze z zamkniętymi drzwiami. Zastanawiał się, co by zobaczył w tych izbach. Przeorysza mogła chłostą zmusić dziewczynę do mówienia albo przebadać jej krew lub ślinę na obecność demonowej skazy. Na trzecim piętrze ujrzał na korytarzu tę starą zakonnice, a obok niej speszoną Aggie. Jak gdyby nigdy nic podszedł do nich.

– Czemu to tak długo trwa? – zapytał. Aggie zerknęła na niego ukradkiem i znowu wbiła wzrok w podłogę.

Stara zakonnica wrzasnęła zaszokowana i rzuciła się na Jonę – krzyczała, że to hańba i wstyd, że Imam go za to pokarze, że król dowie się o tym bluźnierstwie. Napała na Jonę swym wątłym ciałem. Nawykła do popychania dziewcząt, ale nie miejskich strażników. Jona stał nieruchomo jak skała.

Uśmiechnął się do Aggie.

– Chcesz się stąd wydostać?

Nie odpowiedziała, nie podniosła wzroku, a stara zakonnica nie przestawała krzyczeć, złorzeczyć i odpychać Jonę. W drzwiach pojawiły się inne dziewczęta, przerażone widokiem mężczyzny w ich świętym miejscu. Jona delikatnie przyparł starą zakonnice do ściany i zapytał Aggie: – To ty widziałaś ten koszyk?

Potaknęła i zrobiła krok do tyłu. Była gotowa uciec. Złapał ją wolną ręką za nadgarstek, ścisnął jak w imadle.

– Jestem człowiekiem króla i odpowiadam tylko przed nim, nie przed Imamem ani nikim innym. Jak mówię, że masz coś zrobić, robisz to. Jak chcę gdzieś iść, to tam idę. I mówię ci: idziesz ze mną – rzekł. – Idziesz, bo inaczej wezwę posiłki, a moi koledzy wparują tu, dzwoniąc i machając pałkami, rozwalą tu wszystko i wszystkich, którzy będą się im opierali. Idziesz, ale już!

Na korytarzu rozpętała się burza krzyków, łez i wzajemnych oskarżeń. Stara zakonnica próbowała chwycić Aggie, lecz Jona ją odepchnął. Padła na podłogę jak długa.

Gdy wrócił na parter, sierżant Calipari znów się modlił. Wyraźnie okazywał, że nie ma nic wspólnego z tym, co robi Jona. Nie chciał nawet wiedzieć, co robi. Gdy zobaczył Jonę wyłaniającego się zza ołtarza, prowadzącego dziewczynę, skoczył na równe nogi. Nowicjuski w milczeniu stłoczyły się przy galerii na górze niczym spłoszone ptaszki.

– Co ty wyprawiasz?!

Jona odpowiedział bez namysłu:

– Jest aresztowana. Słyszysz to, dziewczyno? Jesteś aresztowana. Wynosimy się stąd.

Wcale nie był zachwycony sytuacją. Musiał chronić Salvatore, a nie tę dziewczynę. Nie wiedział jeszcze, jak tego dokona. Na razie działał, nie myślał. Płonęła w nim wściekłość. Nie miał pojęcia, co robić, lecz Salvatore musi być bezpieczny. Bo jeśli Salvatore stanie się krzywdą, Król Nocy zrobi krzywdę jemu i jego matce.

ROZDZIAŁ XII

Mąż przejrzał moje notatki. Miał do mnie dużo cierpliwości, choć ja mogłam mu odpłacić jedynie nieznośną opieszałością, przez co znajdowaliśmy tylko niewielkie skupiska skazy. Przekazałam mu notatki z rozmyślań Rachel.

To nam nic nie da, powiedziałam.

Tego jeszcze nie wiemy. Lepiej wiedzieć za dużo.

Widzimy za dużo, wiemy za dużo. Nienawidzę tego w miastach. Za dużo zapachów i drobnych gestów ujawnia bolesną prawdę o ludziach, do której oni nigdy się nie przyznają przed Erin, Imamem ani nikim innym.

Ja widzę tylko ciebie.

A ja ciebie. Uczucie Jony spowijają wspomnienia i nie chcą zniknąć, muszę się wpychać pod nie na siłę.

Wspomnienia wiążą się z uczuciami. Dzielisz z nim jakieś wspomnienie i doznajesz jego uczuć. Zapisuj to. Nie zaszkodzi, jeśli będziemy wiedzieć za dużo. Salvatore żyje od dawna, może pożyć jeszcze trochę dłużej.

Gdybyśmy znaleźli ich szybciej... Gdy ktokolwiek ich znalazł...!

Wiem.

Na powrót zagłębił się w moich notatkach, w mapach od Calipariego i listach do świątyń w sprawie skaz czekających na oczyszczenie. Salvatore wciąż nam umykał, a Rachel zdawała się istnieć jedynie w umyśle Jony.

Spisałam wszystko, nawet jeśli nic to nie dało poza uspokojeniem mojego sumienia.



Aresztowanie Aggie doprowadziło do tego, że znalazła się poza klasztorem, w zamkniętym powozie. Lecz wcale nie stała się bardziej rozmowna. Wyglądała na chorą. Jona i Calipari siedzieli naprzeciw niej, w razie czego gotowi zasłonić drzwi własnymi ciałami. Nie miała pojęcia, co ją teraz czeka. Nic nigdy jej na to nie przygotowało. Z okna powozu, w świetle słońca, obserwowała tę samą ulicę, którą widziała z okna swojej celi. Milczała.

– Od jak dawna wymykasz się z klasztoru? – zapytał Jona.

Nie odpowiedziała. Zaśmiała się.

– Patrzę na ciebie i wiem, że wymykałaś się w nocy. Zakonnice tego nie widzą. Ale ja tak. Żułaś czerwienicę. Masz przebarwienia na wargach i zębach. Ktoś ci ją dał czy sama kupiłaś?

Jeszcze bardziej pobladła, o ile to było w ogóle możliwe.

– Ja... – Wzięła głęboki oddech. – Kupowałam. Sierżant Calipari uniósł brwi. Jona nigdy nie uchodził za bystrzaka. Był raczej typem bezmyślnego brutala.

Jona dostrzegł to nieoczekiwane uznanie na twarzy sierżanta i na chwilę zapomniał o celu swych działań. Szybko jednak znowu sobie uświadomił, że ma chronić Salvatore.

– Nie bój się, nikomu nie powiem – przekonywał. – Ja też bym stamtąd uciekł. Rozebrałbym ten klasztor cegła po cegle. Jak wychodziłaś?

– Niektóre z nas kradły klucze – przyznała. Pozory pobożnej dziewczyny z zakonu opadły. Zgarbiła się i oparła bokiem o drzwi. – Jestem wykończona. Macie może trochę czerwienicy przy sobie?

– Jest nielegalna – przypomniał Calipari. – Ile dziewczyn?

– Co?

– Ile się wymykało? Ile? – dopominał się sierżant.

– Każda czasem to robi – wyjaśniła. – Nawet sama przeorysza.

Calipari się zaśmiał.

– Masz chłopaka? – Tak.

– Tylko jednego? – wtrącił się Jona. – Chętnie poznamy wszystkich gości, którzy uganiają się za dziewczynami z zakonu. Może to on kupował ci czerwienicę, a ty nawet nie wiesz, że ma przez to kłopoty.

Musiała się nad tym zastanowić. Przez chwilę znów wyglądała jak nowicjuszka, a nie jak jakiś zadziorny dzieciak.

– Było paru takich... – Nie miała pojęcia, co stanie się z Salvatore, jeśli coś powie, więc udawała twardą, nie mówiąc nic. Jona wiedział, że prędzej czy później to imię wyjdzie na jaw. Calipari mógł ją złamać, gdyby miał ku temu okazję. A wtedy on i matka są zgubieni.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Lubisz tańczyć?

– Owszem – przyznał. – Cóż, trzeba było cię aresztować i z góry za to przepraszam. Musimy ci zadać parę pytań. Nie ma innego sposobu. Chcesz, żebyśmy cię jeszcze oskarżyli? Dzięki temu spędzisz kilka nocy poza klasztorem.

– Nie, dziękuję.

Sierzant ledwo powstrzymywał się od złośliwego grymasu. Jona lekko skinął głową na niego. Calipari nachylił się do dziewczyny.

– Byłaś na mieście w zeszłym tygodniu? Zaśmiała się.

– Nie. A pan?

– Kiedy ostatnio się wymknęłaś?

– Nie pamiętam dokładnie. Ale dawno temu. Calipari prychnął.

– Zabawne, przyznajesz, że się wymykałaś, lecz akurat nie tej nocy. Dziewczyny, które się wykradają, zwykle mają więcej rozumu. I rozwagi. Facet w celi zakonnej to powód, by zacząć krzyczeć o pomoc. A ty po prostu odwróciłaś się na drugi bok i zasnęłaś. Tak powiedziałaś przeoryszy,

prawda? Pomóż nam albo pojedziemy prosto na posterunek, a tam to dopiero sobie porozmawiamy.

– Jedźmy. Zakonnice Imama mnie nie opuszczą w potrzebie.

– A Imam wie o twojej czerwienicy i o wymykaniu się? – zagadnął Calipari.

– Wychłószczą mnie i tyle. To sprawa między mną a nimi. Królowi nic do tego.

Calipari podrapał się po głowie.

– Jona, nie ma sensu tak się cackać przez drobną kradzież. Powinniśmy tę dziewczynę zwyczajnie sprawdzić. Wszystkim zależy tylko na demonowej krwi.

– A jak się sprawdza obecność demonowej krwi?

– Jona doskonale wiedział jak. Miał jednak nadzieję, że Calipari nie ma pojęcia.

– Musimy pobrać trochę krwi od niej – odparł sierżant.

Dziewczyna skrzywiła usta i zaplotła ręce na piersi.

– No nie, teraz to już próbujecie mnie nastraszyć. Nie możecie mnie skrzywdzić. Imam was...

– Nie musimy nikogo pytać o pozwolenie – warknął Jona. – Jesteś w rękach ludzi króla. Moglibyśmy poderżnąć ci gardło i wyrzucić ciało z powozu, a nikt w życiu by się nie dowiedział o twojej śmierci. – Jona udał, że ziewa. Promiennie się do niej uśmiechnął. Ona naprawdę się nie spodziewała, że pewni ludzie mogą wtargnąć do świątyni i przemocą ją stamtąd wyrwać, mogą ją powiesić, jeśli na to zasłużyła, a nawet spalić żywcem na stosie. Chyba uwierzyła, że mogli poderżnąć jej gardło. Rzecz jasna, ani Calipari, ani król by na to nie pozwolili.

– Możemy zabić cię tu i teraz, a potem powiedzieć, że stawiałaś opór – wtrącił się Calipari.

Jona dotknął palcem jej nosa.

– Weźmiemy twoją krew, dziewczyno. Weźmiemy wszystko, czego będziemy chcieli, w majestacie prawa i w imię króla.

Wyjrzała z powozu. Skuliła się.

– Czy możemy już z tym skończyć? – zapytała hardo. Sierżant Calipari wyciągnął nogę przed siebie na całą szerokość kabiny, by zagrozić drzwi po swojej stronie. Jona poszedł za jego przykładem i osłonił swoją flankę.

– Osobiście nie przepadam za obijaniem ślicznotek – powiedział Calipari. – Ale mój kolega Jona nie ma oporów. Raptem dziś rano pobił pewnego majordomusa za jedno słówko za dużo. Staruszka. Który nie mógł się bronić. To był służący ważnego lorda, ale nikt nie może nas powstrzymać, gdy już na coś się zdecydujemy, a król to właśnie w nas lubi.

Dziewczyna znów wyjrzała przez okno. Milczała jak zaklęta. Powóz leniwie toczył się po ulicy.

– Powiedz coś – odezwał się Jona. Cisza.

– Kogoś osłaniasz, a przez to może ci się stać krzywda. Lord Sabachthani wie na pewno, że zrobił to ktoś z demonową skazą. Jakiś demonowy pomiot ukradł mu psa.

Dziewczyna dalej milczała.

Jona zacisnął pięść. Nim zdążył się zastanowić, uderzył. Złamał dziewczynie nos. Pocięła krew.

– Im szybciej zaczniesz mówić, tym szybciej zdołamy dorwać tego, którego osłaniasz, i zrobić mu to samo.

Wstrzymała oddech. Uniosła ręce do twarzy. Krew zboczyła jej białe dłonie.

Sierżant Calipari spojrzał gniewnie na partnera i wyciągnął brudną chusteczkę.

– Odchył głowę – poleciał, przyciskając chustkę do jej nosa. – Odchył, mówię. To powstrzyma krwawienie.

Teraz oddychała małymi, urwanymi haustami. Płakała. Wtuliła się w róg powozu. Calipari delikatnie odchylił jej głowę.

Jona nie zrobił nic, by dziewczynie pomóc. Położył but na siedzeniu naprzeciwko, wyprostowaną nogą blokując drzwi. Wytarł pięść o spodnie, a potem założył ręce na piersi.

Musiał nakręcać jej strach do momentu, gdy będzie gotowa wydać Salvatore, a potem ją powstrzymać. Musiał to zrobić, by chronić siebie i matkę.

Powinien czuć się gorzej, niż się czuł. Jego odraza do samego siebie była niczym okrucuch lodu, który topnieje zaraz po wynurzeniu się na powierzchnię, by po chwili stać się jedynie wspomnieniem.



Sierżant Calipari wyszedł i otworzył dziewczynie drzwi powozu.

– Chodź do środka – poprosił grzecznie. – Szybko! Bo ogłuszymy cię i zaniemiemy, jak będzie trzeba.

To nie będzie konieczne. Już nie zamierzała się opierać. Jona poprowadził ją na posterunek, Calipari szedł tuż za nią. Krew zalała jej całą twarz i całe szaty.

Sierżant zamknął dziewczynę w pustej sali przesłuchań. Długą chwilę stał przy drzwiach, trzymając gałkę, oddychając powoli. W końcu odwrócił się do Jony.

– Czemu ją uderzyłeś? Czemu tak mocno, tak wcześniej?

– Teraz już nie jest taka bezczelna.

– Ani taka rozmowna.

– I tak musimy zbadać jej krew – przypomniał Jona. – Teraz mamy jej w bród. Piękna otwarta rana, którą możemy rozgrzebać. A pannica jest na tyle wystraszona, że powie nam, które jeszcze dziewczyny uciekają nocami na miasto.

– Yhm. Podaj mi czysty papier. – Calipari wskazał puste biurko pisarczyka, którego użytkownik bawił się w kaprała w Zagrodach.

Jona sięgnął po papier i nadział się na pięść Calipariego. Jakby stos cegieł spadł mu na twarz. Nos zatrzęszczał, trysnęła krew. Sierżant podniósł rękę Jony z czystym papierem do nosa niczym chusteczkę. Sam też wziął dla siebie trochę papieru.

– Zostań tutaj – rozkazał. – Nastawię dziewczynie nos. Jak skończę, zajmę się twoim. Ona czekała, to i ty możesz poczekać.

Calipari miał strużki krwi na dłoni. Gdyby w pobliżu była świeca, mogłaby się zająć. Gdyby wytarł ją o chusteczkę, materiał po godzinie byłby dziurawy jak sito, a przed końcem dnia zmieniłby się w popiół. Kartki już teraz rozpadały się Jonie w rękach. Starał się nie zakrwawić koszuli. Miał kilka zapasowych, które uszyła mu matka, by ukryć, jak szybko niszczy koszule od munduru, ale wszystkie były w domu.

Wybuchnął śmiechem mimo bólu. Wszak co dzień, każdego dnia mogli go odkryć, zabić, spalić żywcem za to, że żyje.

– Idź umyć ręce – rzekł do Calipariego. Miał ochotę to wykrzyzczyć, lecz się opamiętał i czym prędzej wymyślił powód. – Chyba nie chcesz, żeby dziewczyna zobaczyła krew na twoich rękach. Już i tak się boi.

Calipari wytarł rękę w czystą kartkę i pomiętą wrzucił do kosza.

– Śmieję się dalej, to na dokładkę połamię ci szczękę. – Nie zauważył, że papier rozpada się w koszu.

Pisarczyki wyszły patrolować ulice, więc na posterunku nie było nikogo innego. Żeby tylko Calipari się nie zorientował... Zaraz pójdzie do sali

przesłuchań. Nie będzie grzebał w koszu i gapił się na krew przeżerając wszystkie śmieci, obracając wszystko w popiół. Gdyby jednak w tej chwili wszedł ktoś inny...

Jona ocknął się z tych rozmyślań, bo Calipari prawil mu kazanie:

– Na ogół dobry z ciebie strażnik. Nie pierwszy raz ci odbija. Ale tym razem posunąłeś się za daleko. Za ciężko pracujesz ostatnio. Zrób sobie parę dni przerwy. Zostań w domu z matką. Albo wyjedź gdzieś z dziewczyną. Wszystko jedno. Czekam na podanie do jutra rana. Przyklepię wszystko, gdzie będzie napisane, że bierzesz kilka dni bezpłatnego urlopu.

Nos przestał krwawić. Skrzepy zastygły na skórze, swędząc jak oparzenie. Jego rany nie tylko bolały; kwas trochę piekł, niczym silna wysypka. Jona wytarł krew papierem. Nie miał dużo czasu, by go schować, a Calipari stał tuż obok. Zgniół papier w kulkę i wepchnął sobie do ust. Nie smakowało jak krew. Smakowało jak dym i rtec. Przełknął miękką, rozpadającą się masę. Sięgnął do nosa i pchnął chrząstki z powrotem, mniej więcej na miejsce. Trzask był okropny, a bolało gorzej niż cios. Z oczu pociekły mu łzy. Zacisnął zęby i poczuł ból spływający po ciele aż do palców u stóp. Chwycił garść papieru, by wytrzeć kolejne strużki krwi. Stłumił ból i zdobył się na gniewne spojrzenie.

– Umyj ręce, sierżancie – powiedział, już spokojny. – Przestraszysz ją, jak tam wejdiesz, cuchnąc od mojej krwi. Trzeba dziewczynę przebadać. Chyba nie chcesz skazić próbki moją krwią, prawda?

– Dasz radę trochę się przejść?

– Dam radę, sierżancie.

– To idź, przynieś jakąś roślinę, jakieś warzywo. Dam ci chusteczkę, którą dziewczynie przyłożyłem do twarzy. Można tego użyć, nie? Demonowa krew szybko zabija rośliny. Tak słyshałem.

– Zgadza się – przytaknął Jona.

Calipari zanurzył dłonie w misce wody. Osuszył ręce i podniósł pusty kosz spod biurka. Zwymiotował do niego.

– Widać się starzeję – rzekł zdyszany. – Żeby jeść krew, ty debilu... – Odstawił kosz i otarł twarz. – Jeszcze tu jesteś? Idź po jakąś roślinę.

– Tylko się upewniam, że nie zejdziesz na miejscu.

– Ty masz połamany kinol, a ja słaby żołądek. Zabieraj się stąd.

Patrzyli na siebie, żaden nie zrobił ani kroku. W końcu, po dłuższej chwili, Jona ruszył do drzwi. Calipari poszedł do dziewczyny. Gdy sierżant zniknął z pokoju, Jona chwycił kosz z wymiocinami i ten z niszczącymi papierami, które przyciskał do krwawiącego nosa. Wybiegł na zewnątrz, otworzył kratkę ściekową i wrzucił oba do środka. Powinien wymienić wodę w miednicy, ale to by za długo trwało. Gdy znajdzie jakąś roślinę, skazi ją, zanim ktoś przyjdzie, i skorzysta z wody w misce, bo wtedy cały posterunek trzeba będzie oczyścić.

Calipari za dobrze sobie radził z przesłuchaniami, by go zostawić samego z dziewczyną. Jona musiał się spieszyć. Gdy sierżant wyszedł z sali przesłuchań z zakrwawioną chusteczką, którą od niej odzyskał, Jony jeszcze nie było. Calipari już miał zostawić chusteczkę na biurku i wrócić do Aggie, gdy wpadł zdyszany Jona.

– Przyniosłem jabłko.

– To wystarczy?

Jona wzruszył ramionami. Calipari podał mu chusteczkę.

– Powiedz mi, czy dziewczyna jest czysta. A potem jazda do domu. Mam cię już dość.

– Tak jest, sierżancie! – Jona zasalutował. Sierżant Calipari wyszedł z pokoju.

Jona splunął na jabłko. Nie zaczęło się psuć dość szybko. Potarł je więc o obolały nos, gdzie pociekło trochę gęstej, nie do końca zakrzepłej krwi.

Jabłko zbrązowiło w tym miejscu.

Naniósł trochę własnej krwi na chusteczkę, tak na wszelki wypadek. Odrobinę, by tylko zniszczyła nieco materiału. Gdy już wystarczająco się przygotował, wszedł do sali przesłuchań. Dziewczyna była speszona i patrzyła na swoje ręce. Calipari milczał, czekając na wyrok.

Jona położył jabłko na stół, wypalonym miejscem w stronę Calipariego.

Sierżant popatrzył skonsternowany. Obaj wyszli na zewnątrz.

– Sprawdzimy ją raz jeszcze – stwierdził Calipari.

– Jasne. Ale to ty tamowałeś jej krwawienie. Ja tylko raz uderzyłem. Więc tu zostań, a ja pójdę po jakąś roślinę. Nie wpuszczaj nikogo. Lepiej niech to się nie rozniesie.

Calipari chyba nie słuchał.

– Chcę się upewnić – powiedział jakby do siebie.

Zapachniało płonącym stosem. Jona zamierzał doprowadzić do śmierci dziewczyny. Jak dotąd szło mu łatwiej, niż się spodziewał.

Na ulicy znalazł sadzonki kwiatów cebulkowych w doniczkach, wystawione na sprzedaż. W imieniu króla zarekwirował trzy.

Nie było mu żal tych trzech cebulek. Wiedział, co powinien czuć wobec tej dziewczyny, a czuł niewiele więcej niż wobec tych roślin.

Gdyby był normalnym człowiekiem, próbowałby ją ocalić – bo była piękna, bo to nie jej wina, bo pragnęła tylko zaznać wolności. Jona chciał czuć się jak ktoś, kto mógłby próbować ją ocalić. Chciał czuć wobec niej coś, co nie dotyczyło wyłącznie jego samego.



Staralem się twoją dziewczynę ochronić, Salvatore. Po prostu tak wyszło. Próbowałem coś zrobić. Ale nie byłem dość sprytny. To moja wina, chcę, żebyś to wiedział.

Jaką dziewczynę?

Nie pamiętasz jej.

Może. Jak miała na imię? Przypomnij mi.

Aggie. Jeśli nie zrobimy czegoś, by ją ocalić...

Czekaj... ta z zakonu, tak? Dobra dziewczyna. Nie wiedziała, w co się pakuje. Nigdy nic nie podejrzewała. Jeśli ma kłopoty, powinniśmy coś zrobić.

Właśnie to mówię. Postaram się wszystko naprawić. Możesz z nią uciec, ukryć się gdzieś na jakiś czas. Zakładam, że jej pomożemy, ty i ja. Prędzej czy później domyśli się, kim jesteś, ale nikomu o tym nie powie, bo będzie zbiegiem i sama by wpadła. A potem, gdy cię rzuci, będzie miała wolną rękę i może ułożyć sobie życie gdzieś indziej.

Chcę pomóc. Przykro mi, że ją to spotkało. Naprawdę mi przykro. Co możemy zrobić?

Już próbuję. A ty znikaj stąd, nie chcę cię widzieć. Nos mnie boli. Mam ochotę ci zdrowo przyłożyć za to wszystko.

Nie z moją krwią. Choć raz trzymaj się z dala od moich cieni, żalсны zabijako.



Jona wypuścił trochę krwi z pogruchotanego nosa na ziemię wokół sadzonki. Roślina nieznacznie zbrązowiała na obrzeżach liści, ale nie zwiędła od razu. Minie trochę czasu, nim skaza dotrze do wnętrza cebuli. Jona splunął na sadzonkę, tak dla pewności. Jego ślina też była toksyczna, choć mniej.

W sali przesłuchań sierżant Calipari uronił kilka kropli krzepnącej krwi z rozbitego nosa dziewczyny do doniczki. Czekali, uważnie obserwując

roślinę. Trochę to trwało. Wpierw zbrązowiała na liściach, potem rozkład przeniósł się dalej. Cebula zapadła się, zgniła.

Calipari przekrzywił głowę. Wstał, ale zdawało się, że nie wie czemu. Usiadł ponownie.

– Imamici sprawdzają dziewczyny, nie? Zakonnice też, prawda?

– Najwyraźniej nie – odparł Jona. – Chcesz, żebym przyniósł kolejną roślinkę?

– Tak.

Dziewczyna miała oczy wielkie jak spodki. Nie pojmowała, co się dzieje. Jakby nagle się dowiedziała, że jest rybą, że wszyscy to wiedzieli od razu, jak tylko ją zobaczyli, a ona cały czas myślała, że jest człowiekiem. Długo potrwa, zanim to do niej dotrze.

Jona wrócił do głównego pokoju, gdzie zostawił dwie doniczki na biurku któregoś z pisarczyków. Zrobił z kolejną sadzonką to samo co z poprzednią i zaniósł ją do sali przesłuchań.

Sierżant Calipari ciężko przygarbił się w krześle. Wyglądał na niemal tak samo wstrząśniętego jak Aggie. Nikomu tego nie życzył. Nie chciał mieć z tym do czynienia w swoim rewirze.

– Czegoś nam nie mówisz?

Z trudem szukała słów. Nie znalazła żadnych. Zaciśnęła usta i spuściła wzrok.

Tym razem Calipari naciął jej palec sztyletem. Krew pociekła na łodyżkę kwiatu. Patrzyli na roślinę, czekając, aż zwiędnie.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Najpierw zwiotczały płatki, potem obrzeże liści, a potem cała roślina obumarła.

Jona pierwszy odetchnął. Oparł się o zamknięte drzwi.

– Jeśli znajdziemy jeszcze kogoś takiego jak ty, zaciągniemy go tutaj i spalimy tak jak ciebie – rzekł. – Jeśli ktoś cię ukrywał albo ci pomógł, też trafi na stos. Tak to wygląda.

Gdyby miała zdradzić Salvatore, to teraz lub nigdy. Pokręciła głową, śmiertelnie blada.

– Nie – wyszeptała.

– Zabierz ją do celi na samym końcu – odezwał się Calipari. – Trzymaj ją z dala od ludzi. Wywieś ostrzeżenia. Nie wpuszczaj tu nikogo, póki nie będziemy mogli... Muszę zawiadomić kapitana.

Jona założył dziewczynie kajdanki na ręce. Czy przebadają ją znowu? Czy to coś zmieni? Jak tylko Jona doniesie cieśli, co się stało, Król Nocy przyspieszy bieg spraw. Aggie zostanie odizolowana. Jej skażona krew była zbyt niebezpieczna, by pozwolić na kontakt z nią komuś, kto jeszcze się z nią nie zetknął. Zeznanie Calipariego wystarczy, by ją skazać, o ile dojdzie do sądu, a zeznanie pod przysięgą lorda Joniego, było nie było szlachcica, na pewno nie zaszkodzi. Jednak rozprawy sądowej nie będzie. Demonowe pomioty nie są uważane za ludzi. Nie mają prawa do sądu. Dziewczyna spłonie, gdy tylko strażnicy miejscy będą mieli już dość zastanawiania się, jakim sposobem tak długo się ukrywała. A ona nigdy nic nie powie.

– Jeszcze coś, Jona – dodał sierżant Calipari.

– Tak?

– Nie dotykaj jej. I spal rośliny.



Tej nocy sierżant Nicola Calipari nie mógł zmrzyć oka. Sam mi to powiedział. Tulił do siebie poduszkę, wyobrażając sobie, że to Franka – a ona była daleko na obrzeżach miasta w karczmie z synem, który miał go za ojca. Robiło mu się niedobrze, gdy myślał o tym dniu, jakby wpadał na

niewidoczną ścianę. Przez trzy dni paliła go gorączka. Pluł krwią. Gdy wydobrzał na tyle, by wstać, wiele godzin spędzał w świątyniach, pijąc pobłogosławione wody, wypacając skazę. Myślał, że to przez tę dziewczynę. Cały posterunek obmyto świętą wodą. Powóz spalono, razem z ubraniami, które nosili, kiedy krwawiła w drodze. Zakonnice spaliły jej pościel i odzienie, a tkaniny pękały i trzaskały ze skazy, którą przesiąkła podczas nocy spędzonych z Salvatore.

Calipari nigdy nie napisał do Franki, by powiedzieć jej, że znalazł demonowy pomiot. Kiedy poczuł się lepiej, spalił swoją pościel wraz z materacem. Ściągnął do siebie kapłana ze świątyni Imama, by porządnie oczyścił mu pokój. Król zapłacił za wymianę wszystkich skażonych rzeczy i za usługę kapłana. Refundacja wydatków Calipariego miała na sobie królewską pieczęć. Podpis pod dokumentem był wyraźny i staranny, jakby skreślony wprawną kobiecą ręką. Ręką lady Eli Sabachthani zapewne.

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym więcej miał wątpliwości.

A lord Joni, który poświęcił tę dziewczynę, by oszczędzić demonowy pomiot, przez kilka dni siedział w domu, udając chorobę. Gdy przyszedł kapłan wysłany przez króla, Jona zabrał go na górę do pustego pokoju, z którego nigdy nie korzystał. Powiedział, że już spalił wszystkie rzeczy, które tu były. Kapłan Imama oczyścił pokój świętą wodą, nie ognistym nasieniem – nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko skaza tu sięga. Nawet po oczyszczeniu kwiaty położone na podłodze więdły w godzinę. Kapłan wyszorował cały pokój, od podłogi po sufit. zaproponował, że wyczyści cały ten wielki dom. Jona pokręcił głową. Powiedział, że ich na to nie stać, a król nie będzie chciał za to zapłacić. Przekonywał, że był ostrożny, że dokładnie to sobie obmyślił, że na czas choroby odizolował się w tym jednym pokoju, a potem wszystko spalił. Obiecał, że zamknie pokój na

głucho, nikt nigdy do niego nie wejdzie, póki nie będzie ich stać na dogłębne oczyszczenie.

Kapłan, choć niechętnie, uwierzył w te kłamstwa. Jona poszedł do karczmy, i do kolejnej, i jeszcze jednej. Sikał na środku ulicy. Rzucił zapalki i palił kałuże swojego moczu jak rozlaną naftę. Przechodnie myśleli, że to jakieś magiczne sztuczki. Dopingowali go, klaskali. Jednak nie wyglądał jak jarmarczny magik. Gdy tylko mu się lepiej przyjrzeni, przestawali się cieszyć i odchodzili.

Otrzeźwiało, kiedy znalazł Salvatore w kolejnej karczmie. Złodziej obtańcowywał jakąś młodziutką dziewczynę, przy okazji kradnąc klejnoty z jej szyi. Jona odciągnął go, zaprowadził do zaułka i tam przekazał mu niewesołe wieści.

Salvatore nie mógł sobie przypomnieć imienia Aggie. Pamiętał, że jest zakonnica. Pamiętał, że coś do niej czuł. I nic więcej.

ROZDZIAŁ XIII

Minęły dni, tygodnie, a może i miesiące, kto wie. Wspomnienia nie zapisują się w kalendarzu. Jona z kolegami siedzieli w speluncie ukrytej między podejrzanymi magazynami na północ od Zagród, czekając na sławną grupę muzyków, która miała tu zagrać. Zespół w ogóle się nie pojawił, a zamiast nich scenę przejęła trupa pijanych aktorów, śpiewająca obsceniczne piosenki w nienagannej tonacji i ścisłej harmonii. Ludzie rzucali szklankami lub wypluwali swoje trunki, rycząc ze śmiechu.

Gdy przedstawienie dobiegło końca, strażnicy pili na umór. Byli tam Szajbus, Jona, Tripoli i dwóch młodych pisarczyków, podnieconych po pierwszej wprawce w mundurze, bo tego dnia Calipari wreszcie wysłał ich na patrol. Głędzili o jakimś zdarzeniu w Zagrodach, próbując zgrywać twardzieli. Podobno jacyś goście chcieli rozłupać czaszkę koleśa maczugami, ale oni przyszedli mu z odsieczą, odcinając trzonki maczug swoimi mieczami i tłukąc walczących płazem, a jeden bandyta się doigrał, bo próbował rzucić się na szeregowca, a ten wbił mu ostrze w brzuch. Świeżo upieczony strażnik chciał pokazać, jak to naprawdę było, jak zabił oprycha W imię króla...

Jona podniósł się i spiorunował go wzrokiem.

– Myślisz, żeś taki dzielny? To czemu cały dzień bazgrzesz przy biurku, zamiast łązić po Zagrodach?

Szeregowiec podniósł na niego speszony wzrok.

– Taki jesteś twardy? – Jona chwycił go za ramię i odepchnął od stołu. – Przekonajmy się, czy mnie pobijesz. Nie użyję niczego prócz pięści. Zobaczmy, kto pierwszy się nakryje nogami.

Szeregowiec ani drgnął.

Szajbus położył rękę na ramieniu Jony.

– Daj im te ich pięć minut.

– Pięć minut, mówisz? A może dziesięć? Ja i reszta chłopaków robimy to dzień w dzień, babrzemy się w łąnie, gdy te dzieciaki lenią się przy biurkach. Nie zgrywajcie twardzieli, bo jesteście nikim.

Szajbus popukał go w ramię i uśmiechnął się dobrotliwie jak dziadek do niesforne go wnuczka. Był dużym, łagodnym gościem, silnym jak niedźwiedź. Znał humory Jony i umiał sobie z nimi radzić. Uniósł ręce w geście kapitulacji. Nie poddawał się jednak, spychał Jonę do tyłu.

– Proszę, idź sobie na spacer. Możesz sobie do woli poniewierać tych, których nie potrzeba nam jutro w pracy, ale własnych ludzi zostaw w spokoju.

– O co ci chodzi? – zdziwił się Jona. – Oni po prostu działają mi na nerwy.

– Ładnie cię proszę. Jak głupka poturbujesz, tydzień się będzie składał do kupy, a Calipari każe ci przejąć jego biurko, gdy się o tym dowie.

Jona spojrzał po swoich kolegach. Patrzyli na niego, jakby psuł im świetną zabawę. I tak było. Potaknął.

– Idę, bo jestem miły, i dlatego, że Szajbus mnie ładnie poprosił. – A potem warknął do pisarczyka, który tak był z siebie dumny: – Ciesz się, że masz wszystkie kości całe. Jak się nazywasz? Nowy jesteś.

– Pup. Tak mnie nazywają.

– No to uważaj, Pup. Jeden dzień w terenie nie robi z ciebie mężczyzny.

Młody miał dość rozumu, by nie odpowiedzieć.

Jona wypił sporo, dość, by tak się rozzłościć, a skoro już się rozzłościł, chciał się upić jeszcze mocniej, by rozzłościć się jeszcze bardziej. Chwiejnym krokiem wyszedł na ulicę. Rozejrzał się na boki. Jak co noc na

cuchnącej granicy magazynów i Zagród widział ludzi przewijających się przez karczmy, teatry i sklepy oraz sekretne kasyna.

Nie miał pojęcia, co teraz z sobą począć. Nie dostał żadnego zlecenia już od dawna, odkąd Aggie została skazana. Zastanawiał się, czy sam nie mógłby się zgłosić, sprawdzić, czy cieśla nie ma czasem kogoś do ubicia tej nocy. Gdyby jednak wziął coś w takim stanie, mógłby przypłacić to życiem, zresztą do Króla Nocy nie można się ot tak po prostu zgłosić po nowe zlecenie. Był płatnym zabójcą, i tyle. Wypełniał rozkazy, nic więcej.

Nudził się więc jak mops. Nie chciało mu się pić. Nie chciało mu się przepuszczać pieniędzy na gry. Nie chciało mu się kraść. Nie chciało mu się gadać z nikim znajomym. Nic mu się nie chciało robić.

Chciał znaleźć coś nowego – nową karczmę, nowy teatr... I choć nie zdawał sobie z tego sprawy, chciał się zakochać.



Szukał swojego informatora z ulicznego gangu. Chciał się z nim napić. Może choć raz go nakłoni, by coś wyśpiewał bez udziału pięści. Nie mógł go znaleźć. Ten ptaszek albo zaszył się w którejś z różowych palarni, zaciągając się demonowym ziołem z nargili, albo już zdążył się upić gdzieś indziej.

Jona oparł się o najbliższą ścianę i spojrział na księżyc, który wisiał na niebie jak srebrny kolczyk. Ulice były pełne ludzi, a każdy gdzieś szedł, miał coś do załatwienia, z kimś się umówił... On nie miał dokąd iść. Nikt mu się nie przyglądał – przechodnie widzieli tylko jego mundur.

Gdy tak stał przy ścianie, w pobliską alejkę skręciła imponująca kareta, tocząc się w kierunku burdelu. Dzwonki owinięto czarną tkaniną, a herb szlachecki przykryto zasłonami.

Jona jednak rozpoznał karetę. Syn lorda Elitreana nie miał wstydu... przynajmniej dopóki wszyscy udawali, że nie znają jego imienia. Warto trochę przytrzeć rogów młodemu byczkowi. Jona chciał zrobić coś, by zabić nudę. Coś ekscytującego. Coś nowego. Myślał, że zabawi się kosztem młodzika, a skończy się na upomnieniu od przełożonych. Nie miał pojęcia, że ten spontaniczny czyn doprowadzi go do tego, czego szukał podświadomie od wielu tygodni, miesięcy, może lat.

Pobiegł, by dogonić karetę. Powóz zatrzymał się bokiem przy tylnych drzwiach burdelu. Syn lorda Elitreana zniknął w środku, nim Jona tam dotarł. Woźnica zapalił cygaro, opierając się o karetę. Wiedział, że tej nocy będzie długo czekać.

Jona podszedł do niego.

– Czyja to karetka? – warknął. – Mów, do kogo należy!

– Do nikogo – odparł spokojnie woźnica. – Właściciela tu nie ma.

– Ach tak? Ukradłeś powóz, by przewozić kontrabandę?

– To sprawa mojego lorda. Jeśli on nie chce być rozpoznany, to tak będzie.

– A skąd mam wiedzieć, że ten twój „lord” nie jest przemytnikiem, który podszywa się pod szlachcica, skoro zakrył herb?

Woźnica wzruszył ramionami.

– Chce pan, żebym zdjął zasłony, to zdejmę. Ale syn lorda Elitreana z miejsca każe je od nowa założyć i pójdzie z panem na noże. I nie przylatuj pan potem do mnie na skargę.

– Ściągaj je – burknął Jona, wziął zasłony od woźnicy i wszedł do burdelu.

Próbował krzykiem odgonić obdarte dzieciaki żebrzące przy schodach. Stłoczyły się wokół niego. Rzucił im kosztowną czarną satynę. Pisnęły z radości, rozszarpały dar i rozbiegły się, unosząc oddarte kawałki jedwabiu.

Madame przybytku nerwowo zeszła, by zatrzymać Jonę na schodach. A on na cały głos obwieścił, że przybył tu po tego łobuza, syna lorda Elitreana. Na górze drzwi się zamykały z trzaskiem, klikały zamki.

Jona przecisnął się obok właścicielki, wpadł na piętro i raz jeszcze ryknął donośnie. Kopniakiem otworzył pierwsze drzwi, na które trafił, ale nie było za nimi syna Elitreana. Za następnymi również.

Kobiety krzyczały i próbowały się zakryć.

Madame biegła za Joną, oferując okazałą łapówkę, błagając, by dał gościom trochę prywatności. Jona rzucił pieniądze na podłogę. Chciała mu dać więcej. Wytrącił banknoty z jej ręki.

– No to rozwal ten dom! – wrzasnęła za nim. – Tylko później nie przychodź do mnie, jak będzie cię kuśka swędziała!

Dzieci rzuciły się na pieniądze niczym stado gołębi na okruchy chleba. Właścicielka złorzeczyła, odpędzała je kopniakami, ale niewiele mogła zdziałać. Dzieciaki zniknęły w pustych pokojach i komórkach.

Jona śmiał się głośno.

Syn lorda Elitreana czekał w pokoju z mieczem w ręce, a za łóżkiem chowała się półnaga kobieta.

– To ty mnie wołasz?

– Tak. Lord Joni, do usług – odparł Jona. – Przed wojną to wszystko były moje ziemie.

– Naprawdę jesteś człowiekiem króla? Myślałem, że nosisz mundur tylko po to, by wkradać się na przyjęcia. – Młody szlachcic schował miecz do pochwy.

– Jestem człowiekiem króla i mam już serdecznie dość tych waszych przyjętek, i mam dość ciebie. To nie twoje ziemie, nie możesz tu robić, co ci się żywnie podoba.

– Chowasz się za służbą u króla?

– A ty chowasz się w burdelu? Zdjąłem zasłony z twojego herbu na karcie. Jeśli złapię cię z nieoznakowanym powozem, znowu je zedrę. Co robisz na swoich ziemiach, to twoja sprawa, lecz w królewskim mieście nie możesz bezkarnie plamić honoru swego rodu w ukryciu.

– Mój ojciec się o tym dowie.

– Jestem pewien, że i tak wie, co wyprawiasz. Wynagrodzi mnie za to, że próbowałem cię powstrzymać.

Obejrzał się na dziewczynę chowającą się za łóżkiem.

– Ode mnie nic nie dostaniesz! – Młody szlachcic przecisnął się obok Jony, obok przepraszającej madame i wybiegł na ulicę. Jona poszedł za nim, by upewnić się, że wsiądzie do karety i odjedzie.

Gdy powóz zniknął za rogiem, Jona wrócił do burdelu.

– Widziałem, że masz nową dziewczynę – rzekł do właścicielki.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła. – Calipari już ci da popalić za to, że urządzasz scenę w porządnym lokalu!

Jona się zaśmiał.

– Moje pieniądze ci śmierdzą? Chcę dziewczynę. Zdrową, silną, nową. Kogo masz dla mnie?

– Nikogo – burknęła madame. – Sierżant tylko mi podziękuje, jak wyrzucę cię na zbity pysk!

– No to go tu zawołaj. Zobaczymy, co powie. Cofnęła się, wyglądając na dość rozgniewaną, że mogłaby to zrobić.

Jona wszedł do pokoju, gdzie wcześniej zabawiał się młody Elitrean. Kobieta zdążyła już wyjść z ukrycia. Obmywała teraz nagą pierś w miednicy. Podniosła wzrok na Jonę, nawet nie próbując zakryć swoich wdzięków.

– Ty następny? – zapytała jakby nigdy nic. – Musisz bardzo mnie pragnąć, skoro go przegoniłeś.

Jona posłał jej kpiący uśmieszek.

– Coś w tym rodzaju.

– Szesnaście za numerek. Za wszystko inne płacisz ekstra.

– A ile za to, że cię trochę podotykam?

– Podotykasz? Gdzie?

– Gdziekolwiek.

– Szesnaście.

– Nawet jeśli do niczego nie dojdzie?

– Wiesz, że jestem tego warta.

– Chyba tak – stwierdził. – Stań przy łóżku.

Miała na sobie tylko spódnicę. Z rękami za głową stanęła obok łóżka. Jona odliczył szesnaście monet z kieszeni, ostrożnie kładąc je jedna po drugiej na stoliku. Zdziwił się, że mu starczyło.

Padli na łóżko. Jona ujął obie jej piersi. Były ciężkie, jakby napompowane wodą. Z sutków pociekło mleko. Myślał, żeby ją posiąść, a później zostawić, oszołomioną i chorą. Lecz mleko znaczyło, że gdzieś tu ukrywa dziecko, a jeśli ona by zachorowała, ono również. Wzruszył ramionami.

– Wystarczy – rzekł. – Miałaś rację, drogo się cenisz, ale warto było. A teraz idź sobie.

– Co? Tyle było krzyku i to już wszystko?

– Znikaj. Chcę być sam przez chwilę. Idź już.

– Klienci czekają.

– Powiedz szefowej, żeby znalazła ci inny pokój. Ja tu zostaję na trochę.

– Na jak długo?

– Jak długo będę chciał. Wynoś się stąd wreszcie! – Klepnął ją lekko w tyłek.

Szybko zmiotła pieniądze do mieszka, a potem naciągnęła na siebie szlafrok i wyszła.

Jona wytarł spoconą rękę o pościel.

Nie miał pojęcia, czemu tak potraktował syna lorda Elitreana i tę dziewczkę. Chciał to zrobić i wiedział, że nikt nie będzie za bardzo próbował go powstrzymać. Więc to zrobił. Co teraz? Jakoś nic nie przychodziło mu do głowy.

Rozejrzał się po pokoju. Może znajdzie coś nielegalnego, co mogłoby usprawiedliwić ten szalony wybryk. Gdyby naprawdę mu się poszczęściło, madame wpadłaby tu z jakimiś zbirami, a wtedy wszystko wróciłoby do normy, czyli do obijania oprychów i wykidajłów, których burdele zawsze ściągają z ulicy.

Uśmiechnął się do tej myśli i chwycił ciężką szklaną buteleczkę perfum z półki przy łóżku. Ściągnął poszewkę z poduszki i włożył tam buteleczkę, przygotowując coś na kształt prymitywnej maczugi. Zakradł się do drzwi i stanął z boku, by zaskoczyć każdego, kto zechciałby tu wejść, szukając guza.

Usłyszał kroki na korytarzu.

Gdy drzwi się rozwarły, wzniosł prowizoryczną maczugę, gotów roztrzaskać odurzające pachnidło na głowie śmiałka. Spodziewał się kłopotów.

W pokoju pojawiło się wiadro ze szczotką, a potem sprzątaczką ubrana jak senta.

Jona zmarszczył brwi.

– Ech, i tyle tego dobrego – westchnął i opuścił broń.

Senta przestraszyła się i odskoczyła, potknęła o wiadro i szczotkę, upadła na podłogę.

– Spodziewałem się kogoś innego. – Jona pochylił się, by pomóc jej wstać. – Przepraszam.

Warknęła na niego. Pstryknęła palcami. Ogień przypalił mu twarz. Ubranie zajęło się szybko, a plama od potu na tkaninie zaczęła się tlić i płonąć. Jona wpadł w panikę. Młóćąc się po piersi, podbiegł do miednicy. Ochlapał się brudną wodą.

– Cholerna senta! – złorzeczył, ostrożnie obmywając mundur. – To było nieporozumienie! Nie powinnaś przypalać człowieka króla. To tak jakbyś samego króla przypiekła!

Wstała z podłogi i poprawiła grube odzienie.

– Króla powinno się spalić za to, że pozwala wam zbirom harcować, gdzie chcecie!

Jona zacisnął pięść, ale się zawahał.

– Ludzie nie mówią nam tego w twarz – powiedział. Gdyby ją uderzył, pewnie odpowiedziałyby ogniem. Plamy od potu przepaliłyby tkaninę, nim zdążyłby to ugasić.

– A powinni! – odcięła się senta.

Jona podszedł do niej. Chciał ją powalić jednym ciosem.

Uderzyła pierwsza. Trafiła mocno, prosto w nos.

– Nie zbliżaj się!

Krew. Krew na całej jej dłoni. Jona wstrzymał oddech. Ścisnął nos dwoma palcami.

– Nie powinnaś tego robić. – Odchylił głowę i poczuł, jak krew spływa mu do zatok i gardła. Odkasznął.

Krew pociekła na krawędź jej rękawa. Zaczęła palić tkaninę.

Jona uśmiechnął się, nawet mimo bólu i strachu, i próbował się nie roześmiać. Ona to zobaczy. Zobaczy to i będzie po nim. Nawet jeśli ją zabije, już nie wykręci się z tego. Calipari go powiesi. Ona nie była jakimś

odmóżdżonym różakiem czy oprychem na ulicy, tylko porządnym obywatelem, ciężko pracującym na chleb.

Spojrzała na swój tłący się rękaw, zaczęła go trzepać.

Jona jęknął. Całe życie przeleciało mu przed oczami. Ostatnim razem miał szczęście, bo Calipari umył rękę, zanim krew dotarła do rękawa, a i tak wszystko można było zwalić na rozbity nos Aggie.

– Co to jest?

– Nic takiego – odparł Jona. – Umyj się. Zmyj krew. – Czy to...?

– Słuchaj, przepraszam, że cię wystraszyłem. Nudziłem się po prostu. Myślałem, że Elitrean przyśle jakichś osiłków, a ja rozbiję na nich butelkę perfum dla zabawy. Nie chciałem ci zrobić nic złego. Przysięgam, nie chciałem cię przestraszyć ani zrobić nikomu krzywdy. Proszę...

Naprawdę się bał. Zawsze, wszędzie wisiała nad jego głową groźba – groźba krwawiącej rany. A teraz błagał, by ocalić życie.

– Nie obchodzi mnie, jak się bawisz – odparła senta już spokojniej. – Powinieneś coś zrobić z tym nosem.

– Złamał się jakiś czas temu – stwierdził. – To nieważne. Proszę... – Znowu ścisnął nos palcami, próbując zatrzymać krwawienie.

Skrzywiła się. Wyjęła jakieś mokre szmaty z kieszeni i zaczęła ścierać krew z dłoni i rękawów. Ręce jej drżały. Wyciągnęła szmaty w stronę Jony.

– Namydlona ścierka. Trochę brudna, ale jest tam jeszcze nieco mydła. Może przez to nie spali ci się koszula.

Wzruszył ramionami.

– Spróbuję. – Wziął od niej ścierkę.

– Ty...

– Co? – Zmarszczył brwi.

– Twoja krew przeżera mój rękaw. Jak kwas.

– Nie jestem... demonem – rzekł z naciskiem. – Nie gadaj bzdur. Elishta jest zamknięta od tysiącleci.

– Wiem. A ty wiesz, że jestem sentą. Mogę to sprawdzić.

– Sprawdź, a sama się przekonasz.

– Niektóre demonowe pomioty są niezwykle długowieczne.

– Skoro jesteś tak dobrą sentą, to czemu sprzątasz po dziwkach?

– Robię, co muszę. Wolałbyś, żebym zapisała się do straży miejskiej?

– Pewnie, że nie – westchnął Jona. – Ale to dziwne. Nie powinnaś stać na rogu ulicy z kośćmi, kartami, czymś w tym rodzaju? – Mówił z trudem, bo krew zalewała mu gardło.

– Nie każda senta odnajduje koany czarośnienia w swoim wnętrzu. – Znowu pstryknęła palcami, a w powietrzu zaskrzył się języczek płomienia.

– Jak się nazywasz?

– A co ci do tego, jak się nazywani, człowieku króla?

– Nic – odparł. – Podoba ci się sprzątanie w burdelu? Potaknęła.

– Nie narzekam.

– Cóż, jeśli będziesz czegoś potrzebować, znajdź mnie. I nikomu nie mówmy o krwi, dobrze? To nie to, co myślisz, a jak rozniesie się plotka, mogą mnie zabić, i to za nic. Jestem sierżant Calipari. Nicola Calipari.

– Nicola – powtórzyła z powagą. – Zapamiętam. – Muszę już iść.

– To do widzenia.



Czym prędzej pobiegł do domu, by wyszorować krew z munduru, zmyć ją z twarzy i rąk i upewnić się, że nos nie zacznie znowu krwawić. Gdyby jego krew spadła choćby na trawę, wypaliłaby rośliny tak szybko, że nikt by tego nie przeoczył.

Biegł przez mrok. Wpadł do domu. Tu do zbiornika przez stare rury dopływała woda z rzeki. Wpompował wodę do umywalki. Włożył tam jedną rękę, potem drugą. Otarł się starymi szmatami, które będzie musiał później spalić.

Usłyszał ciche kroki na skrzypiących schodach. Matka bosą przeszła przez pokój i położyła mu rękę na ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest.

Kłamał. Paliło go w żołądku. Objęła go.

– Powiedziałem, że nic mi nie jest – burknął. – Lepiej mnie nie dotykaj.

Nie puściła go. A on jej nie odepchnął.

– Idź spać, mamo. Rano wstajesz do pracy.

– Nic ci nie będzie?

– Nie wiem. Nie wiem.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Znowu zaczęła mi lecieć krew z nosa. Wystraszyłem się, i tyle – tłumaczył. – Po prostu bardzo się wystraszyłem, że ktoś mógłby mnie odkryć.

– A ktoś odkrył?

– Nie – skłamał. – Ale i tak się wystraszyłem.

– Nie bój się – uspokajała. – Jak twój nos, Jona? – Sięgnęła do jego twarzy.

Wyrwał się jej.

– Już lepiej. Nie dotykaj mnie, mamo.

– Nigdy nie chciałam, żebyś był człowiekiem króla. To niebezpieczne. Posprzątaj tu, nim się położysz. Zrobiłabym to sama, gdybym mogła. Dobranoc, Jona.

– Mamo, co pocznę, gdy ktoś się o tym dowie? Szła do schodów. Milczała.

– Co pocznę, gdy ktoś się o tym dowie?

Szła tak powoli, jakby każdy jej krok był zmierzchem zapadającym nad misą doliny. Tak powoli. Jona wsłuchał się w jej kroki i w ciszę pomiędzy nimi.

Ta cisza wystarczyła mu wtedy za wszelkie słowa.



Cały czas się ukrywamy. Ja cały czas się ukrywam.

Rachel jeszcze raz obwąchała krew. Nie miała wątpliwości, że czuje w niej nutkę Elishty. Znała ten zapach – jej krew pachniała podobnie. Djoss od dziecka uczył ją, że musi skrywać i palić swoją krew. A wcześniej tego samego uczyła ją matka. Gdy nadchodziły te trudne kobiece dni, musiała używać szmat i palić je na osobności. Jeśli skaleczyła się w palec, musiała polać go woskiem i obwiązać tkaniną, by dokładnie zasklepić ranę. Ludzie chorowali przez jej krew.

Szybko wyniosła przesiąknięte krwią szmaty na pusty skrawek trawy na tyłach burdelu. Wyżęła ścierkę. Zielone źdźbła zwiędły jak podczas suszy. Wstrzymała oddech i powtórzyła ten eksperyment z większą rośliną. Ona również obumarła. Kwas zdążył już przezreć szmaty, spalić się w jej dłoni na kupkę popiołu i ulecieć z wiatrem.

Nigdy wcześniej, w całym swym życiu, nie spotkała nikogo innego w swoim rodzaju.

ROZDZIAŁ XIV

Przenieśliśmy się tutaj. Tu jest lepiej. Czyściej. – Pracujesz po drugiej stronie Zagród, tak? Djoss z założonymi rękami stał przy drzwiach.

– Przy tej dużej rzece.

Rachel usiadła na pryczy i przeciągnęła się.

– Jeśli zobaczę cię w burdelu, gdzie całą noc zmieniam te paskudne prześcieradła, przysmażę ci tyłek – ostrzegła. – I lepiej nie wnikaj, w którym pracuję.

– Nie zamierzam. Słuchaj, znalazłem pokój w tamtych stronach. Rzeźnik ma cały budynek obok swojego sklepu. Wszystko to jego. Miałabyś bliżej.

– A ty?

– Dłuższy spacer mnie nie zabije.

– Mnie też nie.

– Tam jest przyjemniej niż tu.

– I co z tego? Musimy się ukrywać, Djoss. Musimy się trzymać z dala od kłopotów, zbierać grosz do grosza i być gotowi do ucieczki.

Djoss westchnął.

– Turco potrzebuje tego pokoju – powiedział jej prawdę. – A my potrzebujemy jakiegoś przytulnego miejsca na uboczu. Możemy się zaszyć gdzieś indziej.

Rachel położyła się na pryczy.

– Piekarz o tym wie?

– Będzie siedział cicho, dostanie swoją dolę.

– Robota nie idzie?

– Coś w tym rodzaju. Mamy już dość harowania dla innych. Chcemy sami coś rozkręcić.

– Palisz czasem ten wasz towar?

– Odrobinę. Trzeba, gdy się go odbiera. By sprawdzić, czy dobry. Jak nie jest, walę po łbach. Już kilka rozwaliłem. Spryciarze! Robią byle jak, aby taniej, sprzedają na boku. Dużo tam złego towaru.

– Djoss...

– To lepsze niż robienie za ochroniarza w jakiejś speluncie. Bezpieczniejsze. Żadnych pijaczków. Turco i tobie wyświadczył przysługę, prawda? Znalazł ci pracę.

– Tak, to prawda.

– Chodźmy więc stąd – przekonywał. – To ładny pokój. Z oknem, które możemy otworzyć, gdy będzie gorąco. Bez pieca nad głowami. No chodź. Tam będzie nam lepiej.

– Wszystko, co mam, mam na sobie – stwierdziła. – Jestem gotowa do drogi. Zawsze jestem gotowa, Djoss. Nie wkręcaj się w nic za bardzo. Nie spoufalaj się zbyt z kolegami. Nie możemy tu zostać na zawsze. Nigdzie nie możemy zostać na zawsze. – Wstała i poprawiła ubranie. Była szczelnie opatulona. – Czekają na zewnątrz, tak?

Djoss otworzył drzwi. Turco wszedł pierwszy. Jego czerwone odzienie przetarło się na szwach. Skórę miał poszarzałą. Ukłonił się Rachel jak człowiek dobrze wychowany.

– Znalazłem wam nową kwaterę – oznajmił.

– Wielkie dzięki – odparła Rachel niechętnie.

– Mogłabyś okazać więcej entuzjazmu. I wdzięczności – stwierdził Turco. – Ja się staram, a nikt mi nie dziękuje. Sami niewdzięcznicy.

Za nim wszedł Pies. Przystanął w rogu. Dotknął gorących cegieł, gdzie ciepło z pieca spływało na dół, oparł się plecami o rozgrzaną ścianę i zamknął oczy.

Turco położył rękę na ramieniu Djossa.

– Będzie dobrze. Otworzymy tu własny interes. Koniec z ziołem od innych. Czas zarobić prawdziwe pieniądze.

Rachel chciała się sprzeciwić, ale była bezsilna. Ten okropny człowiek załatwił jej pracę. To on, w tym starym zaułku, dawał schronienie ludziom, którzy nie mieli gdzie się podziać. Jej bratu też znalazł pracę. Mogła się zżymać, ale Turco był przyjacielem Djossa. Znalazł jej nowe mieszkanie, a mógł przecież po prostu wyrzucić ją na ulicę. Trudno było przyjąć to do wiadomości, ale ten człowiek i jego niemy kompan byli im życzliwi.

– Turco, naprawdę jestem ci wdzięczna. Ale też boję się strasznie, że przez ciebie zabiją mi brata. Chcesz zabić mi brata?

Turco uśmiechnął się, odsłaniając zęby równie czerwone jak ubranie.

– Przestań się zamartwiać. Głowa do góry. Wszyscy na tym zyskamy.

Wzięła głęboki oddech. Podeszła do Psa i odciągnęła go od cegieł, nim się poparzy. Wzrok miał rozbiegany. Był na potężnym haju. Posadziła go w innym rogu.

– Trochę za bardzo się zjarał – rzekł Turco. Pomyślała, że on mógł porzucić Psa, ale tego nie zrobił. A Pies wciąż się go trzymał. Ona też, w pewnym sensie.

– A kto będzie nosił mięso? – zapytała.

– Kloszardzi – wyjaśnił Turco. – Gówniarze będą dzielić towar i go przemycać. Dużo tego schodzi ze statków. Wystarczająco dużo dla wszystkich. Djoss będzie pilnował porządku i tylko czasem nosił mięso, jak będzie za ciężkie dla łąchów.

Rachel skinęła głową. Ten człowiek był przyjacielem jej brata i starał się pomóc.

– Podobno w tym nowym mieszkaniu jest okno?

– I nie jest tam tak gorąco – odparł Turco. – Dla nas tu będzie lepiej. Demonowe zioło trochę ochładza. Rozrzedza krew. – Spojrzał na Psa i się

zaśmiał. – On się nieźle wścieknie, jak wróci na ziemię. Chcesz coś stąd przenieść? Pomożemy.

Rachel dotknęła łysej czaszki Psa. Popatrzyła w jego szkliste oczy. Tego dnia miała ochotę krzyczeć i uciec z Psiej Ziemi. Zastanawiała się, jak sobie radzi ten mężczyzna, którego spotkała w burdelu, którego uderzyła w nos. Nigdy by się nie dowiedziała niczego o mężczyźnie z palącą krwią, gdyby uciekła z miasta.

– Zostawimy meble, jeśli je chcecie – powiedziała.



Nowe mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze i miało czyste drewniane podłogi. Była tu wanna, porządny piec i sznur na pranie za oknem wychodzącym na wąską uliczkę.

Rachel rozwarła okiennice i wyjrzała na zewnątrz. Rzeźnik trzymał swoje zwierzęta dwa podwórza dalej, a wielki plac ubojni w Zagrodach leżał po drugiej stronie, też blisko. Kobiety suszyły pranie na sznurach rozciągniętych między cegłami nad głowami bawiących się dzieci. W powietrzu unosił się smród z pobliskich ubojni, ale przez odór śmierci przebijał czasem zapach rzepy, kapusty, cebuli i wygotowujących się płóciennych pieluszek.

– Tu jest o wiele lepiej – przyznała Rachel. – Nie zapomnij podziękować Turcowi w moim imieniu.

– Postaram się przynieść dwie nowe prycze, gdy wrócę – powiedział Djoss.

Rachel popatrzyła na brata z wyrzutem.

– A gdzie idziesz?

– Jak myślisz? Do pracy.

– Aha. – Nachmurzyła się. – No dobrze.

Zamknęła za nim drzwi na klucz. Dotknęła solidnych drewnianych ścian, czystych i pomalowanych cienką warstwą białej farby. Wiedziała, że ochroniarze i sprzątaczkę nie mieszkają w takich warunkach, nawet w okolicach niedaleko Zagród. Widać Djoss zarabiał niemało.

Podeszła do okna. Wychyliła się, żeby odprowadzić brata wzrokiem.

Wracał do ich starego mieszkania. Nic nie mogła na to poradzić.

Usiadła w rogu ze skrzyżowanymi nogami, zamknęła oczy. Próbowwała raz jeszcze przywołać moc czarośnienia. Nie żądała od losu wiele. Chciała tylko zobaczyć przeznaczenie jednej nocy, jednej twarzy...

Powoli otworzyła wewnętrzne oko. Pozwoliła, by doznanie snów spłynęło z czubka jej głowy niczym mokry jedwab. Zobaczyła rozległą szarą dolinę z ciemniejszymi plamami wizualnego bełkotu. Usłyszała stłumiony pomruk głosów. Została tam, zmagając się z koanami, uwalniając umysł od wszystkich trosk i obaw.

Zasnęła, medytując, ze skrzyżowanymi nogami i głową opartą o ścianę. Djoss ją obudził. Była już noc. Przyniósł z sobą łóżko.

– Cóż, najwyraźniej bardzo się starałam, żeby mi nogi zdrętwiały – zażartowała. – Pomóż mi wstać.

Podniósł ją i posadził na pryczy,

– Na razie znalazłem tylko jedną. Może być twoja.

– Hej, stać nas na to wszystko?

– Pewnie, że nie – odparł. – A jak myślisz, czemu tak długo jej szukałem?

– Uważaj na siebie – poprosiła. – Jeśli cię aresztują, a ja będę musiała uciekać...

Podszedł z powrotem do drzwi.

– Nie mamy wyboru, Rachel. Nie mamy gdzie się podziać, a co innego bym robił? Albo to, albo nic.

– Nieprawda. Możemy uciec – upierała się. – Nie musimy tu zostawać.
Uśmiechnął się smutno.

– Ale mi się tu podoba. Już dawno nie mieliśmy okazji, żeby trochę się ustatkować, zaprzyjaźnić się z kimś.

– Ty masz kolegów. Ja nie. Djoss, musimy pomyśleć, jak stąd uciekniemy.

– I pomyślimy, ale na razie nic nam tu nie grozi. Czuję to. To dobre miejsce dla nas. Muszę iść. Przyniosę ci coś na śniadanie.

Rachel spojrzała na sufit. Zastanawiała się, czy nie zejść na dół do dzielnicowej fontanny po wodę. Albo czy nie poczekać, aż lód się rozpuści, jeśli posłuży się koanem. Wybrała czar. Włożyła pierwszy kawał lodu do ust, by się napić. Drugi, wyczarowany wprost z powietrza, trafił do wanny, a potem kolejny, i jeszcze jeden.

Myślała o tym mężczyźnie, którego spotkała w burdelu. Co on mógłby zrobić, jeśli naprawdę był taki jak ona? Mógł bać się tego, co ona wie. Mógł uciec. Mógł być zły. Mógł spróbować ją zabić, jeśli się przestraszył.

Trudno jej było skupić się na czymkolwiek, gdy już o nim myślała. Wszystkie dziwne rzeczy, o których bez przerwy słyszała w młodości – niegodziwość demonowych pomiotów, zgroza i choroba, które przynosiły światu – nie były w stanie złożyć się na wyraźne zrozumienie człowieka króla kryjącego się dla żartu za drzwiami z butelką perfum w poszewce. Tacy jak oni powinni knuć spisek mający na celu ponowne otwarcie bram Elishty i uwolnienie Bezimiennych. Zamiast tego ona sprzątała w burdelu, a on tępił bandziorów w Zagrodach, gdzie nikt nigdy niczego nie knuł. Chciałaby go znowu spotkać, chciałaby z nim porozmawiać.

Lód topniał powoli. Położyła rękę na powierzchni wody i wydobyła z siebie ogień Senta, przemieniając go w ciepło ogrzewające wodę. Lód się rozpuścił. Z wanny uniosła się para.

Tyle mocy dają koany Senta, a ona używała jej jedynie do rozniecania palenisk czy podgrzewania wody na kąpiel, a czasem do tanich popisów, by kogoś odstraszyć. Magią można wygrywać wojny, ale jaki sens miało wygrywanie wojen dla kogoś bez żadnej narodowości? Widzenie przyszłości w czarośnieniu wcale nie oznaczało, że ktoś mógł dzięki temu uniknąć swego losu. Podgrzewanie wody, rozniecanie palenisk – to przynosi wymierne korzyści. Senty siedziały na rogach ulic z kartami tarota i za garść monet wróżyły ludziom – kocha czy nie kocha. Nigdy nie próbowały robić więcej, zachowywały umiar, nieodzowny umiar zgłębiających koany.

Jeśli znów zobaczy tego mężczyznę, spróbuje więcej się o nim dowiedzieć. Spróbuje porozmawiać o nim z Turkiem. Spróbuje zrobić cokolwiek. Kolejne jej losy muszą się zmienić.

Zdjęła ubranie i zanurzyła się w wodzie.



Mój mąż i ja znaleźliśmy pierwszy pokój, który wynajmowała. W okolicy Zagród nie było wielu piekarzy. Jona nigdy nawet nie był w środku. Raz widział, jak tędy chodziła, po tej ulicy, którą znał niemal od zawsze. Do orientacji wystarczył mu słup lampy albo nachylenie budynku na rogu. A ja musiałam zagłębiać się w jego umysł w poszukiwaniu wskazówek.

Weszliśmy z mężem do piekarni i udaliśmy się na dół, do piwnicy pod piecem. W środku było wilgotno, deszczówka zbierała się w kałużach. Cegły gniły. Wokół ścian stały duże drewniane dźwigary podtrzymujące strop.

Wkroczyliśmy między ludzi śpiących, siedzących w błocie i odpoczywających pod ścianami, gdzie ciepło z góry nie doskwierało tak bardzo ich plecom. Nawet na nas nie spojrzeli.

Mieliśmy z sobą pobłogosławione jabłka i wino mniszkowe, które wylaliśmy do kałuż deszczówki. Ogniste nasienie nie dałoby rady oczyścić tego błota. Nawet ogień ze spalonego budynku nie sięgnie głęboko do wód gruntowych. Jabłka położyliśmy w koszu na środku pokoju. Wilki żyły w lepszych warunkach, wśród łąk i wzgórz.

Po powrocie na górę powiadomiliśmy piekarza, że ten budynek zostanie spalony. Kazaliśmy mu wyprowadzić ludzi i wynieść z wyższych pięter wszystko, co chce zachować. W świątyni będzie mógł to oczyścić. Cały budynek był wręcz przesiąknięty demonową skazą.

– Wynocha z mojego sklepu! – oburzył się.

– Przykro mi – odparłam. – To nie pana wina. Nic nie mógł pan na to poradzić.

– Precz! – Rzucił mi chlebem w twarz. Wyszliśmy.

Już wcześniej poinformowaliśmy ludzi króla. Teraz czekali na zewnątrz z dzwonekami za pasem. Kapitan straży skinął na nas.

– Dajcie im czas – poprosiłam. – To ich dom. Potrzebują czasu, by go opuścić.

Kapitan spojrzał w górę na słońce.

– Zaraz zacznie zmierzchać. My też mamy domy, chcemy tam wrócić o ludzkiej porze. Jeśli wkrótce nie zaczną wychodzić, wypędzimy ich dzwonekami. Tacy jak oni niełatwo się wynoszą.

– Dziwi się pan?

Piekarz wysunął głowę zza drzwi. Zobaczył ludzi króla. Razem z żoną wyszli i zaczęli krzyczeć na kapitana. Splunął na ziemię pod nasze stopy. Kapitan uderzył go w głowę. Piekarz upadł i rozplakał się głośno.

Schyliłam się, dotknęłam jego ręki.

– Przykro mi – powiedziałam.

Odepchnął mnie z całej siły. Kapitan go aresztował. Jego żonę też. Widziałam, jak ich odciągają.

– Do roboty, chłopcy! Wypędzić ludzi z budynku – zakomenderował kapitan. – Wszystkich zaprowadzić do świątyni. Albo do celi, jeśli będą się rzucać.

Strażnicy podnieśli dzwonki. Zadzwonili. A potem rzucili się do schodów. Ludzie wybiegali z krzykiem. Rozpalono ogień. Ten budynek trzeba było puścić z dymem z powodu starej demonowej skazy w piwnicy. Demonowy pomiot mieszkał tu przez wiele miesięcy, wypacając się na gorące cegły.

Odwróciłam się do męża. Pamiętasz ten wielki dąb na wzgórzu opodal czerwonej doliny?

Tak.

Myślisz, że nadal jest piękny w blasku zachodzącego słońca? Tak piękny, że wataha wyje do późna w nocy, bo trzeba o tym krzyczeć, wykrzyczeć to z duszy? Czy tam nadal jest pięknie?

Tak.

Chcę wrócić do domu.

Mój mąż nie odpowiedział. Ogień buchnął z piwnicy, wysoki i mocny od skazy. Ludzie krzyczeli, gdy ich dom stanął w płomieniach i obracał się w zgliszcza. Ludzie króla wylewali wiadra wody na cegły po obu stronach, by ogień nie przeniósł się na sąsiednie budynki. Sformowali szereg i podawali wiadra z rąk do rąk. Żywioł szalał. Wokół zebrali się gapie. Rozniosła się wśród nich wieść o demonowym pomiole, to pewne.

Mój mąż i ja w milczeniu obserwowaliśmy pożogę.



Za dużo rozmawiamy. Nie mam ochoty o niczym rozmawiać. Chcę tylko spać.

Jeszcze nie. Dotrzymaj mi towarzystwa.

Nie mam żadnych ekscytujących historii, które mogłabym ci opowiedzieć.

Powiedz cokolwiek. Na przykład co zrobiłaś, gdy się o mnie dowiedziałaś? Jak się z tym czułaś?

A jak ty się z tym czułaś?

Nie chciałem o tym myśleć, więc nie myślałem.

Ja o tym myślałam. I prawie o niczym więcej.

Rachel długo leżała w kąpieli. Nagle uświadomiła sobie, że spóźni się do pracy, jeśli się nie pospieszy. Wskoczyła z wody i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się wytrzeć. Ale w pokoju nie było niczego poza jej ubraniami. Włożyła je więc na mokre ciało. Djoss powinien już wrócić.

Wyjrzała przez okno, nim wylała wodę. Nie chciała nikogo oblać. Na ulicy nie było żywego ducha.

Wciągnęła buty na szponiaste stopy i postanowiła, że nie wróci do pracy. Jeśli istniał inny demonowy pomiot, nie wiedział, że ona też jest taka. A więc musiała go czym prędzej znaleźć.

Chciała odszukać Djossa i powiedzieć mu, że w mieście jest ktoś taki jak ona. Pomyślała, że znajdzie brata u piekarza. Wyszła. Miała wrażenie, że opuszcza nie swój dom. Miała wrażenie, że powinna zatrzeć za sobą ślady bytności w tym miejscu, pod nieobecność prawowitych mieszkańców.

W znajomej piekarni zastała jednego z synów Wróblowej siedzącego pod drzwiami.

– Nie możesz wejść – powiedział. – Nikogo nie ma.

– Nie próbuję tam wejść. Szukam Djossa.

– Kto to?

– Mój brat. Taki duży. Dzieciak pokręcił głową.

– Nikogo tu nie ma prócz nas.

– A Turco? Jest?

– Nie.

– A wiesz w ogóle, gdzie jest ktokolwiek? Splunął. Popatrzył na nią spode łba. Przeszła się więc trochę, najpierw do wózka kramarza, który przyjmował tylko obce monety, potem do karczmy na dole wzgórza. Zawróciła w stronę nowego mieszkania. Zgubiła się, próbując je znaleźć. Chodziła wte i wewte po nieznanym ulicach, szukając jakiegoś znajomego punktu. Gdy w końcu wróciła do domu, zastała pusty pokój. Usiadła na pryczy, plecami przy ścianie.

W trakcie swej wędrówki bywali w malutkich wioskach rybackich, gdzie Djoss wybierał sieci na kutrach i przychodził do domu na obiad. W innych wioskach trzymał owce podczas strzyżenia, podczas gdy ona spała na pobliskich polach, kryjąc się w wysokiej trawie, gdzie wałęsające się psy obwąchiwały jej włosy. Kiedyś jechali przez pustynię w karawanie, na zmianę prowadząc zwierzęta przez karłowate trawy rosnące między wydmami. Zawsze razem.

A potem przybyli tu na statku. I nagle straciła go z oczu. To stało się nie wiedzieć kiedy, tak niepostrzeżenie, jak rosną konary drzewa. Nie wiedziała, gdzie jest. Gdyby ją teraz odkryli i zmusili do ucieczki, musiałaby zdecydować, czy go szukać, czy ratować życie.

Nigdy by nie porzuciła brata. Poczekała do zmroku. Zasnęła sama w pustym pokoju. Obudziła się i wciąż go nie było. Nie zostawił żadnych śladów, że pojawił się tu, gdy ona spała.

Raz jeszcze wyszła go poszukać, najpierw do karczmy, w której kiedyś pracował. Nie było go tam. Podeszła do jednego z ochroniarzy, który wydał jej się znajomy.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Sztuczki senty? Nie dziś. Zespół przygrywa gościom.

– Nic z tych rzeczy – odparła. – Szukam Djossa. Myślałam, że tu pracuje.

– Zrezygnował. Jesteś jego siostrą?

– Tak.

– Jakoś niepodobna jesteś. – I całe szczęście.

– Uważaj na brata. Chodzą słuchy, że wdał się w coś niedobrego. Że ma różowo przed oczami.

Potem odwiedziła wszystkie miejsca, które znała, i parę takich, których nie znała. Szukała go długo, ale jakby zapadł się pod ziemię. Ostatnim miejscem, gdzie miała ochotę go szukać, był pokój w piwnicy piekarni.

Gdy tam poszła, zobaczyła Turca siedzącego na krześle przed drzwiami.

– Gdzie Djoss? – zapytała. – Myślałem, że jest z tobą.

– Kłamiesz.

– Nie martw się o brata. Nic mu nie będzie – uspokajał.

– Na pewno? Wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Jak tam wasze nowe mieszkanie?

– Dobrze. Djoss długo nie wraca. Martwię się o niego. Już parę dni go nie ma. Turco, jeśli przez ciebie go aresztowali... powiesili...

– Przeze mnie? Gdzie tam! – Turco wstał, przeciągnął się i otworzył drzwi. – Wejdz.

Na środku pokoju stała mała nargila. Wokół niej leżeli jacyś mężczyźni. Wróblowa siedziała w kącie. Spojrzała na Rachel i zaraz odwróciła wzrok.

– Nie jest aresztowany, jak widzisz – rzekł Turco.

Dopiero teraz Rachel go poznała. Był na haju, a między jego palcami plątał się wąż nargili. Leżał na błocie, z mętnym spojrzeniem wbitym w sufit.

– O nie... – jęknęła. Jej brat, jej opoka, człowiek, który chronił ją przez całe życie. – O nie...

Turco wyjął mu wąż z palców.

– Pomogę ci zanieść go do domu.

Chwycił Djossa za rękę i podniósł. Rachel wzięła go za drugie ramię. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Wydawał z siebie niskie pomruki, stękał.

– Czy właśnie to robicie, gdy spędzacie z sobą długie noce? Tak wygląda to twoje tajemnicze życie?

Turco pewnie uznał, że Rachel mówi do siebie, bo nie odezwał się ani słowem. Pomógł jej zaciągnąć brata w górę schodów i do pustej piekarni, a potem na ulicę, też pustą.

Djoss odzyskał władzę w nogach gdzieś po drodze. Uśmiechnął się do Rachel promiennie. Cieszył się, że ją widzi.

Gdy przestał powłóczyć nogami i mógł iść o własnych siłach, Turco puścił jego ramię. Musiał wracać na swój posterunek pod drzwiami.

Zostali sami, a Djoss cały czas się uśmiechał jak głupi.

– Mam złe wieści – odezwała się Rachel. – Znów musimy uciekać.

Odkaszlnął.

– Co?

– Szukają mnie w tym burdelu. Jakiś facet próbował ściągnąć ze mnie ubranie, zobaczył łuski. Oplułam go. Zobaczył mój język. Od razu się na mnie poznał. A senty bardzo rzucają się tu w oczy. Łatwo mogą mnie znaleźć.

– Czyli musimy uciekać?

– Dasz radę biec?

– Nie. – Zachichotał. – Przepraszam. Ile mamy pieniędzy?

– Djoss, muszę ci coś powiedzieć.

– Jeśli uda nam się gdzieś ukryć... Może Turco zna jakąś kryjówkę.

– Djoss...

– Ale prędzej czy później on też się dowie... Rachel zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię.

Chciała go pobić, skopać. Djoss dalej szedł przed siebie powoli, ruchy wciąż miał nieporadne. Odwrócił się. Już bez uśmiechu.

– Rachel... Co się stało?

– Kłamałam – fuknęła.

Odetchnął i ruszył w stronę nowego domu.

– Nie możesz być w takim stanie, jeśli będziemy musieli uciekać! – krzyknęła za nim.

Dotarł do drzwi przed nią. Nie zamknął ich za sobą.

Teraz już nie myślała o drugim demonowym pomocie. Nie chciała o nim rozmawiać z Djosse. Z nikim nie chciała o nim rozmawiać.

Rankiem Djoss wyszedł bez pożegnania. Rachel milczała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Usiadła na pryczy. Zakryła twarz dłońmi. Zastanawiała się, gdzie jej brat idzie, jak długo tam będzie i co by było, gdyby się potknęła, upadła i jej ubranie by odsłoniło łuski. Albo gdyby ją obrabowali, pobili i zostawili gdzieś krwawiącą na trawę. Wtedy musiałaby uciekać z miasta.

Djoss starał się tu ustatkować, a to im nigdzie nie było pisane. Powinni wysiąść z łodzi tamtego przemytnika i dalej uciekać na południe.

Zaczęła płakać. Jej demonowe łzy były żrące. Otarła je kocem. Stopiona szorstka tkanina skapywała na drewnianą podłogę, która zaczęła parować. Rachel wytarła ją rękami. Wpadła w panikę. Rozpłakała się jeszcze mocniej. To byłby koniec, gdyby łzy przepaliły podłogę. Ludzie na dole zobaczyliby dziwne dziury w suficie. Musiałaby uciec, zostawiając to mieszkanie i brata.

– Przestań płakać! – nakazała sobie. – Przestań!

Wytarła oczy rękawem. Usiadła na podłodze, przycisnęła łydkę do kwasu. Poczuła, jak przeżera grubą tkaninę.

– Przestań płakać! – powtórzyła. Łzy przepaliły materiał, skórę i wgryzały się w głąb.

– Przestań, po prostu. – Odetchnęła. Próbowwała uspokoić oddech. Wtem pojawiły się koany, niechciane niczym cisza. Pojawił się ogień. Zapalił podłogę, gdzie spadły łyzy, osmalając deski. Szybko zmroziła podłogę lodem, by się nie rozprzestrzenił.

Skaza została już opanowana. Była taka malutka – kilka kropek na podłodze, nie bardziej podejrzanych od zaschniętych plam po jedzeniu. A gdy to się zaczęło, wydawało się największym niebezpieczeństwem na świecie. Rachel zaśmiała się na wspomnienie swego przerażenia. Śmiała się histerycznie. Spojrzała na swoje podziurawione ubranie i z tego też się śmiała. Nie była próżna, ale o swoją garderobę dbała bardziej niż największa strojnisia na świecie. Nie miała nic innego do ubrania, a Djoss nie mógł jej pomóc, bo go nie było. I zapewne nie będzie go jeszcze przez długi czas. Ponownie napełniła wannę stopionym lodem. Ściągnęła z siebie wszystko i wrzuciła do wody. Jeśli krew nadal choć trochę dymiała, woda rozrzedzi ją na tyle, by ocalić resztę materiału. Rachel uklękła przy wannie, gołymi rękami szorując butwiejące plamy.

Ubranie było do wyrzucenia, rzecz jasna. Musi znaleźć nowe, lecz nocą, w ciemności. Może uda się ukryć łuski.

Wyjęła mokre szaty z wanny, wciągnęła je na siebie. Dziury znajdowały się głównie na rękawach i spodniej części nogi. Jeśli będzie ostrożnie poruszała ramionami, nikt nie dojrzy łusek na rękach.

Gorzej było z nogawką. Rachel rozejrzała się po pokoju za jakąś tkaniną, którą mogłaby owinąć łydkę. Ściągnęła buty i podarła pryczę swoimi

pazurami.

Owinęła nogę. Zawiązała tak mocno, że aż bolało. Dziura była z tyłu, gdzie nie mogła na nią uważać. Gdy włożyła spodnie, przeciągnęła rękami po dziurze. Nie wyczuła nic poza tkaniną. To musiało wystarczyć.

Zebrała wszystkie pieniądze, jakie miała.

Musiała wyjść, choćby po jedzenie. Z głodu aż ją bolał żołądek. Kupiła sobie coś i gdy zjadła, poczuła się lepiej. Znajdzie sobie nową pracę. Djoss wróci i mu przejdzie. Za dużo razem przeżyli, by mieli się rozstać przez coś takiego.

Długo szła na północ, a potem na wschód. Przepłynęła promem na drugi brzeg rzeki. Poczekała do zmierzchu, a chmury na nocnym niebie zupełnie przesłoniły księżyc. Szła prosto przed siebie. Szukała innej senty, która pracowała w lepszej dzielnicy niż Zagrody.

Światła z wieży strażniczej przy wschodnim murze zlewały się z nocnym niebem na horyzoncie niczym nisko wiszące gwiazdy.

Znalazła sentę wróżącą z kart w cieniu karczmy między targiem wełny a polem błota, na którym stały wielkie skrzynie na paletach. Senta była ślepa. Jej oczy zupełnie zmętniały przez zaćmę.

Rachel odkaszlnęła.

Senta przetasowała karty.

– Witaj – rzekła Rachel.

– Witaj. – Senta miała starczy głos, lecz wyglądała dość młodo.

– Jak czytasz karty, skoro ich nie widzisz?

– Ale je czuję. – Podniosła jedną, by Rachel jej dotknęła. Dziewczyna delikatnie musnęła ją ręką. Wyczuła grubą warstwę farby, pociągnięcia pędzla były wyraźne. Obrazy zamazały się od częstego dotyku senty. – Sama je robię. Nie są piękne, ale dobrze je znam.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Ja też służę Jedności. Potrzebuję nowych szat. Nie wiem, gdzie indziej mogłabym je znaleźć. Mam pieniądze, zapłacę.

– Bogactwo? Strata czasu.

– Masz inne szaty?

– Mam, a twoje czuję z daleka. Cuchniesz. Co się stało?

– Wypadek przy pracy.

Senta uśmiechnęła się złośliwie.

– Wypadek, mówisz? – zadrwiła. – Ukaż mi swą wiedzę, sento. Udowodnij, że służysz prawdzie. Nie widzę i nie mogę ci wierzyć na słowo.

– Wyciągnij rękę – poprosiła Rachel i sięgnęła w głąb siebie. Wyczarowała lód i umieściła go w dłoni senty.

– Mało – oceniła tamta. – Ledwie zaczynasz.

– Tak jak my wszyscy – odparła Rachel. Senta skinęła głową.

– Tak, to prawda.

– Na oko jesteśmy podobnego wzrostu. Dobrze się ubierasz. Ja nie miałam tyle szczęścia na mojej drodze.

– Chodź za mną.

Pokój starej senty zajmował prawie całe piętro. Miała tam ciężkie meble i ptaszka w klatce, który nerwowo skakał po żerdce, gdy weszły do środka.

– Zapach cię zdradza, demonowy pomiole – stwierdziła Senta. – Śmierdzisz jak zawilgła siarka.

– Tak? – zdziwiła się Rachel. Od razu straciła serce do tej kobiety. – I co zamierzasz z tym zrobić?

– Jestem stara i ślepa, nie zdołam cię powstrzymać. Proszę, weź, co chcesz. Tylko się pośpiesz.

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Nie możesz zmienić swej natury. Bierz, co chcesz. Nie mogę cię powstrzymać. Zanim krzyknęłabym po pomoc, zabiłabyś mnie, pożarła moje ciało, a i tak zdążyłabyś uciec.

Rachel zmarszczyła brwi.

– W życiu nie zrobiłabym czegoś takiego.

– Twój język jest równie rozwidlony jak twoja dusza. Słyszę twój głos, ale nie wiem, skąd się dobywa. Mówisz inaczej niż ludzie.

– Nie chcę cię okraść ani skrzywdzić. Chcę tylko kupić nowe szaty. Jestem sentą jak ty.

– Nie, nie jak ja. Proszę... proszę, nie rób mi krzywdy. – Senta była spokojna. Usiadła na brzegu łóżka. – Weź, co chcesz, ale nie rób mi krzywdy. Jestem stara. Ślepa. Nie będę ci się opierać.

Rachel rzuciła w jej stronę pieniądza. Odbił się od narzuty i spadł na podłogę. Podniosła go i położyła sencie na kolanach. Stara senta chwyciła ją za nadgarstek. Oddychała szybko. Bała się.

– Nikomu o tobie nie powiem! Weź, co chcesz, i idź!

– Nie jestem potworem! – fuknęła Rachel. – Nic o mnie nie wiesz! – Odtrąciła jej rękę.

Wyciągnęła nowe ubrania z szuflad i od razu się przebrała. Nie próbowała się zasłonić. Patrzyła, jak ślepa kobieta siedzi skamieniała z przerażenia.

– Jesteś chodzącą obrazą Jedności – szepnęła senta.

– Nie wybrałam sobie życia – odparła Rachel. – Nigdy nie miałam nic do powiedzenia w tej kwestii. Muszę radzić sobie najlepiej, jak umiem. Nie jestem potworem. Nie krzywdzę ludzi.

– Proszę, weź, co chcesz, i idź sobie...

– Traktując mnie jak złodzieja, sprawiasz tylko, że nie mam wyrzutów sumienia – stwierdziła Rachel. Podniosła monetę, którą próbowała jej dać.

Wybiegła na ulicę. Pędziła z powrotem ku Zagrodom, gdzie nikt na nikogo nie patrzył. Miała ochotę biec dalej. Uciec z miasta.

ROZDZIAŁ XV

W nocy naciągnęłam wilczą skórę na plecy. Zostawiłam męża śpiącego. Po cichu, na miękkich łapach zesłam po schodach do głównego korytarza. Wszyscy tu spali. Drzwi były zamknięte na klucz. Nie chciało mi się wracać do frontowego wejścia. Zakradłam się na zaplecze, gdzie, jak wiedziałam, karczmarz spal przy otwartym oknie. Słyszałam w jego pokoju bzyczące muchy i komary nabrzmiałe od jego krwi. Położyłam łapę na parapecie i wyjrzałam na zewnątrz. Zobaczyłam miasto. Wyskoczyłam w noc.

Moje serce rwało się do dziczy tego świata. Chodziłam tam, gdzie zgasyły lampy uliczne, w których wypaliła się nafta. W mroku roiło się od świetlików. Szłam wśród nich, błogosławiłam najlepiej, jak mogłam, w tej wilczej formie. Omijałam posiadłości szlachty z wypielegnowanymi drzewami, gdzie jelenie przykute łańcuchami i zamknięte w zagrodach czekały na polowanie. Badałam ruiny starych budynków. Wietrzyłam zapach szczurów, myszy i sów gniezdzących się pośród gnijących cegieł.

Gdzieś w oddali salonowe pieski, koty, brytany, kurczaki, świny i inne stworzenia miasta, nierozumne i obojętne na ludzkie cierpienia, śpiewały mi o smutku, ściętych drzewach, błocie i tłumach. Odpowiedziałam im pieśnią wzgórz. Stałam na dachu magazynu i wyłam pieśń o wzgórzach przemykających pod stopami, o wzgórzach pokrytych zieloną trawą i lasem, o wzgórzach skąpanych w pierwszej jesiennej słońcu.

Śpiewałam, by je wszystkie stąd wywieść, gdzieś z dala od świata ludzi, gdzie mogłyby zaznać szczęścia – gdzie Erin zapewniłaby im spokój.

Psy czekały na mnie, bo byłam tu intruzem. Psia Ziemia to nie mój dom. Powinnam biegać po wzgórzach.

Mąż szybko mnie znalazł. Mój skowyt nie był dyskretny. Poszliśmy razem w stronę sitowia na skraju południowej części miasta, gdzie węże ścigały żaby w trawie, nieświadome biednych ludzi stawiających budy na palach nad mokradłami. Żaden wąż by mi nie uwierzył, gdybym powiedziała mu, że jest w mieście. On widział tylko trawę i butwiejące drewno.

Szliśmy, mój mąż i ja, przez dzikie tereny miasta.

Gdy noc miała się ku końcowi, mąż szturchnął mnie w ramię.

Widziałaś coś, co rozpoznałaś?

Tak. A ty?

Wiesz, o co mi chodzi.

Jak ty to robiłaś, gdy byłeś młody? Jak to było?

Wiesz przecież.

Nienawidzę tego.

Robimy, co musimy.

Nienawidzę tego miejsca.

A co Jona sądził o Psiej Ziemi?

Podobało mu się tutaj. Wciąż mu się podoba.

Nadał chcesz wrócić do domu?

Jeszcze nie. Nie, jeszcze nie.

Co widzisz naszymi oczami?

Gdy weszłam między ruiny, czułam jej zapach. Niemal ją widziałam. Szła ulicą, jakby lada chwila ktoś miał ją ugodzić oczami. Ludzie nigdy nie patrzą na siebie. Szła i wyglądała na zaleknioną.

Pokaż mi gdzie. Zabierz mnie tam.

I tak zrobiłam.



Rachel szła od budynku do budynku w nowym ubraniu. Szaty sent były na ogół proste, ale w tych dało się zauważyć kunsztowne wykonanie czerwonych pasów krzyżujących się na piersi i postrzępionych tam, gdzie rozdzielały się poniżej talii. Ten strój skrojono dla kobiety, a spodnie były tak szerokie, że niemal przypominały spódnicę. Dzięki temu będzie jej chłodniej w piekącym słońcu. Dużo czasu minęło, odkąd znalazła sobie kobiece odzienie.

Idąc przez zatłoczone ulice, sprawdzała, czy ubranie dobrze ją osłania, czy nie widać łusek.

Musiała wrócić do znajomych okolic, poszukać Djossa. Tu na pewno go nie znajdzie. To nie Zagrody. Rozbawieni ludzie przechodzili tłumnie z teatru do karczmy po drugiej stronie ulicy. Na tyłach oberży ogromny czarny niedźwiedź walczył na śmierć i życie ze sforą zdziczałych psów. Ludzie dopingowali niedźwiedzia. Zakładali się, jak długo przeżyje. Rachel zobaczyła rozjuszonego niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach i ryczącego na psy.

To było coś potwornego. Chciała, żeby psy rozerwały tę bestię na strzępy. Usłyszała psa skowyczącego z bólu i aż ścisnęło ją w żołądku. Jakiś artysta uliczny kroczył na szczudłach, na wszystkich spoglądając z góry i wykrzykując świństwa w stronę ciżby, którą widział pod sobą. Miał duże wiadro na kij, które opuszczał w tłum, gdy ludzie wyciągali do niego monety. Krzyknął do Rachel: – Sencia wiedźma nadchodzi! Jeśli umiesz zobaczyć przyszłość, to pewnie wiesz, z kim dzisiaj będę spał?

Rachel spojrzała w górę na niego, wykrzywając się w komicznym grymasie. Nie chciała, by ktokolwiek zobaczył, jak bardzo jest przerażona.

– W twojej przyszłości widzę kałużę! – odkrzyknęła. – I połamane szczudła!

Zaśmiał się, opuścił wiadro. Dała mu tę samą monetę, którą chciała zapłacić sencie za ubrania. Wolała nie wdawać się w kłótnię.

Ledwie przez chwilę, w tych nowych ubraniach, w tej nieznannej dzielnicy, czuła się jak zwykły człowiek w tłumie. Trochę bardziej wyprostowała plecy, ale zaraz poczuła, jak coś w niej pęka i na powrót się spaja – nigdy nie była bardziej samotna niż wśród tych ludzi, którzy wiedzieli, że mają co jutro jeść i nigdy nie będą musieli uciekać. Jednak w mieście był ktoś, kto najpewniej czuł się podobnie jak ona, z kim mogłaby szczerze porozmawiać, tylko we dwoje, razem. Nawet jeśli był złym człowiekiem, nie mógł być gorszy niż Turco i Pies.

Szła dalej, z powrotem do Zagród, rozglądając się w tłumie. Każdy mundur ludzi króla przyciągał jej wzrok.

Nim dotarła do promu, lampy uliczne zaczęły przygasać, już brakło w nich nafty. Gwiazdy zaświeciły jaśniej. Obserwowała znużonego strażnika miejskiego zapalającego zapalki w ciemnościach, czekającego na prom. Podniósł oczy znad płomyka zapalki. Patrzył wprost na nią.

Odwróciła głowę. Bała się go, choć miała ochotę porozmawiać z nim na osobności, otworzyć się przed nim jak krwawiąca rana.

Jona miał na sobie ubranie na nocną robotę, a nie mundur. Wykonał już swoje zadanie na dzisiaj. Próbował ułożyć sobie w głowie, co zrobił ten kupiec, że zasłużył sobie na śmierć. Tej nocy wspiał się do wskazanego pokoju przez okno i czekał, aż ten człowiek się pojawi. Udusił go sznurem, a potem wywlókł przez parapet na zewnątrz, przywiązał mu kilka cegieł do pasa i wrzucił do wody. Po wszystkim wrócił do tego pokoju i szukał jakichś wskazówek, które dałyby mu pojęcie, czemu trzeba było się pozbyć tego człowieka.

Znalazł jedynie księgi rachunkowe na sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem. Nie mógł czytać po ciemku, wsadził je więc pod koszulę i

wyszedł. Znalazł się w tłumie robotników czekających na prom, w migoczącym świetle lamp dogasających po długiej nocy. Nie potrafił zdusić w sobie chęci, by już teraz przejrzeć księgi. Kupił kilka pudełek tanich zapalek. Gdy ludzie odpłynęli promem, wyciągnął jeden z rejestrów. Palił zapalki w całości niczym krótkotrwałe świece. Płomień był jasny i ciepły, ale szybko gasł.

Przy tym świetle Jona zdołał przeczytać imię ofiary zapisane w rogu. Imię jak imię, niewarte zapamiętania, tak jak i człowiek, który je nosił. Płonąca zapalka parzyła w palce, więc dał za wygraną. Wsadził rejestry z powrotem pod koszulę. Usiadł na cegle wśród kupy śmieci, skryty głęboko w cieniu. Pomyślał, że łatwiej było kogoś zabić, niż przeczytać jego imię.

Zaraz przybędzie następny prom. Jona miał wrócić do domu kanałami, ale zbrzydły mu ścieki, ich smród i całe to zabijanie. Chciał przeprowić się promem i pójść do domu ulicą, jak przyzwoity człowiek. Rano, zaraz po świcie, zjawi się w pracy, jak uczciwy człowiek króla patrolujący ulice, dbający o porządek w dzielnicy. Z przyzwyczajenia obserwował tłum na nabrzeżu, machinalnie paląc zapalki. Nagle skamieniał. Skręciło mu się w żołądku. Cicho oddalił się od promu, na powrót w cienie.

Zobaczył ją. Patrzyła na niego, jakby go rozpoznała.

Gdy prom odbił od brzegu, wmieszał się w tłum ludzi, pobiegł do kanałów, na jednej z przycumowanych łódek przeprowił się przez rzekę do Zagród, do domu.

Nie chciał już nikogo nigdy zabijać. A już szczególnie nie chciał zabijać jej.



Zobaczyłaś mnie i co potem zrobiłaś?

Nic. Wróciłam do domu. Pokłóciłam się z Djossem. A ty?

Ja też wróciłem do domu. I nic poza tym. O co się kłóciliście?

Wołałabym o tym nie mówić.

Djoss w końcu wrócił i zobaczył Rachel leżącą na resztkach zniszczonej pryczy.

– Co się stało? Usiadła, ziewając.

– Zniszczyłam ją – przyznała bez ogródek. – Znalazłam nową pracę. Bliżej ciebie. Idź po dwie prycze. Nie, przynieś łóżka. Duże, z miękkimi materacami. – Rzuciła mu trochę monet z kieszeni.

– Twoje ubranie wygląda inaczej – zauważył Djoss. – Znowu się zniszczyło?

– Uprałam je – skłamała. – Gdzieś ty się podziewał? – Co? Westchnęła.

– Całe wieki cię nie było. Djoss usiadł na zimnym piecu i zrobił marsową minę.

– Pracowałem.

– Aha. Ja też dzisiaj pracuję.

– Czemu zniszczyłaś prycę? Wstała. Przeciągnęła się.

– Daj spokój. Masz pieniądze, dobrze ci się powodzi. To kupmy sobie jakieś porządne łóżka.

Wyszli razem. Wiatr znad oceanu był silny i piękny, i poniósł z sobą wszelkie słowa, które mogli wypowiedzieć. Gdyby ktoś zauważył ochroniarza i sentę, czekających tuż obok siebie na przerwę w ruchu powozów, by przejść przez ulicę, od razu by się zorientował, że są spokrewnieni. Tylko bliscy sobie ludzie potrafią tak milczeć przy sobie.

Kupili dwa łóżka, niemal bez słowa. Djoss miał dużo pieniędzy, Rachel nie musiała dodać swoich. Niósł oba materace na plecach, idąc wolno za woźnicą ze sklepu. Już w domu, kładąc się na łóżku, Rachel czuła zarazem ulgę i przerażenie. Przypomniała sobie, jak trzymała przed sobą materac, wyskakując przez okno. Djoss zasnął, gdy tylko się położył. Patrzyła na

niego jak na obcego człowieka. Twarz mu się opaliła, a mięśnie zwiotczały. To nie był Djoss, którego znała. Tak samo wyglądał wtedy, gdy znalazła go w piwnicy z nargilą.

Przewrócił się na drugi bok, jego koszula podciągnęła się trochę na plecach. Rachel zobaczyła ślady po paznokciach. Wstała, przyjrzała się tym zadrapaniom z bliska. Paznokcie, bez dwóch zdań.

Zmarszczyła brwi w zadumie.

Niegdyś widziała Djossa przy pracy, gdy szedł z trzema synami Wróblowej w stronę piwnicy. Było zbyt późno, by ot tak nosić mięso, bardzo rzucali się w oczy. Djoss miał całą lochę przerzuconą przez plecy, dwóch chłopców dźwigało świnie na żerdzi. Trzeci, najmłodszy, niósł prosiaczka przewieszony przez ramię. Zwierzęta były wypatroszone i miały brzuchy zaszyte białą nicią.

Następnego ranka Djoss przyniósł do domu świeżą kielbasę wieprzową, herbatę, czajnik i cztery przednie białe filizanki.

– Djoss, nie kupuj nic – błagała go wtedy.

– Czemu nie?

– Lepiej mieć pieniądze. Lepiej odłożyć, co się zarobiło. Pieniądze bardziej nam się przydadzą niż jakieś tam rzeczy.

– Zaslugujemy na to, żeby trochę sobie pożyczyć, choć raz. Zarabiamy sporo. Możemy to zostawić, jeśli będziemy musieli uciekać. Możemy odsprzedać, jeśli starczy czasu.

Rachel zdecydowała się nic więcej nie mówić. Wspomnienie o białej nici na brzuchach świń po raz kolejny nasunęło jej myśl o ucieczce. I o Djossie leżącym w otępieniu przy nargili.

Zastanawiała się, czy on żył z Wróblową tak jak Turco i Pies. Ta myśl była okropna. Mógł sobie pozwolić na meble i filizanki, i dobrze. Lecz jeśli

stać go było na kobietę, która chciała zapewnić jedzenie swoim trzem synom, znaczyło to, że ukrywał, ile naprawdę zarabia, nie był szczery.

Obserwowała go przy posiłku i wyobraziła sobie brata z Wróblową, jak ją kroi na kawałki i zjada, a Turco i Pies się temu przyglądają. Straciła apetyt.

– Djoss, myślę, że musimy już stąd odejść – odezwała się.

– Ty po prostu nie potrafisz usiedzieć w jednym miejscu. A tu jest dobrze. I nie brakuje kryjówek.

– Mnie się tu podoba.

– A mamy przynajmniej jakiś plan ucieczki? Duże miasto z masą strażników. Musimy mieć plan.

– Plan jest taki, żeby nie dać się złapać. Uciekać za morze. Jak zawsze. Naprawdę się boję, tylko nie wiem czego.

– To powiedz mi, jak się dowiesz – zbył ją. Skończył jeść. Wstał. Odsuwane krzesło zaskrzypiało o podłogę tak przenikliwie, że Rachel przeszły ciarki po plecach.

Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała, bo już się odwrócił i ruszył do wyjścia. Gdyby nie był tak zajęty pracą, zarabianiem pieniędzy, kolegami, powiedziała mu, że spotkała mężczyznę, który ma krew taką jak ona, i że powinni go znaleźć i z nim pogadać albo właśnie przed nim uciekać.



Wolałabym o tym nie mówić.

Skoro Djoss trwonił pieniądze z kolegami, Rachel musiała pracować naprawdę ciężko.

Rankiem znalazła nową pracę w innym burdelu, daleko od mieszkania. Turco o niczym nie wiedział. Warto było przejść się trochę dalej, by

zachować całość wypłaty. Sprzątała – zamiatała i myła podłogi, zmieniała pościel.

Czasem pijani goście, widząc strój senty, prosili ją o wróżbę. Coś wymyślała, bo potrzebowała pieniędzy. Nigdy nie przekazywała nikomu złych wieści. Nie chciała stracić pracy przez przepowiadanie przyszłości, w której oni już pewnie sami się widzieli. Zazwyczaj to, co nas zabije, to coś, co robimy na co dzień. Nawet Erin tego naucza. A bywalcy burdelu i tak by nie uwierzyli, że jej przepowiednie się sprawdzą.

Rachel ściągała brudne prześcieradła i wrzucała do wielkiego wora. Potem rozścielała mniej brudne, wilgotne na materacu. Przecierała ścierką podłogi i opróżniała nocniki do kratki ściekowej w piwnicy.

Dach burdelu przeciekał. Gdy padał deszcz, musiała pilnować, by nie przepełniło się mnóstwo wiader rozstawionych po górnym piętrze. Deszczówkę wylewała do beczki przy oknie, a gdy beczka była pełna – za okno. No i bez przerwy ścierała wodę z podłogi.

I tak krzątała się wśród wdzięczących się dziwek i napalonych mężczyzn. Ludzie jej nie zauważali. Jediną osobą niższą w hierarchii od tanich dziwek marynarzy jest sprzątaczką. Dni mijały, a nieraz bywało, że całą noc nikt się do niej nie odezwał.

Nad ranem prała pościel na podwórzu. Nim słońce wyłamało się zza horyzontu, układała mokre prześcieradła w komórkach na każdym piętrze.

Pensję za noc odbierała co rano. Liczyła pieniądze na miejscu, przy człowieku, który jej płacił. Przystawał zwracać na nią uwagę, jak tylko podał jej monety. Przy odrapanym biurku rachował, ile dziewczyny zarobiły dla niego tej nocy.

Dla niej oni wszyscy nie byli nawet ludźmi. Dla niej byli jak fruujące ptaszki i niedźwiedzie uganiające się za nimi. Liczyła pieniądze niczym złote owoce skradzione z sadu.

Mijały tygodnie. Djoss pojawiał się w domu tylko po to, by przynieść trochę jedzenia. Padał na łóżko i spał, osłaniając ręką oczy przed światłem. Oboje byli zbyt zmęczeni, by się kłócić.



Potężna burza przez trzy dni przetaczała się przez miasto. Deszcz, deszcz, ciągle deszcz. Ulice się wyludniły. Dziewczyny paliły fajki z kaczana kukurydzy na balkonach. Statki nie mogły dobić do portu przez wzburzone wody. Nie przybywali marynarze. Złodzieje nie mieli kogo okraść. A i tak nikomu nie chciało się pracować.

Rachel skończyła wcześniej. Właściciel burdelu powiedział jej, żeby nie wracała, póki nie przestanie padać.

Nie chciała wracać do domu. Skierowała się więc w stronę pracy Djossa, do piekarni. Zauważyła go przy drzwiach do sklepu mięsnego. Siedział tam przygarbiony i obserwował ulicę.

Ukryła się w wąskiej alejce. Wyjrzała zza rogu. Jak mogła zakończyć te niemal milczące kłótnie, skoro nie wiedziała, czemu się z nią kłócił? I co chciał przed nią ukryć?

ROZDZIAŁ XVI

Szukaliśmy Salvatore. Narzuciliśmy wilcze skóry na siebie i przeczesywaliśmy kanały. Ja prowadziłam. Mój mąż szedł za mną. Staraliśmy się wywęszyć jego zapach.

Raz wydawało mi się, że go znalazłam, niedaleko świątyni Bezimiennych, obok drzwi, gdzie wrzucało się monetę. Było wiele wejść, ale on korzystał z tego. Nie miałam pewności, czy to właściwy trop – Jona był demonowym pomiotem, nie Wędrowcem i nie wilkiem. Jego wspomnienia nie mogły mi powiedzieć, jak pachniał Salvatore.

Szliśmy za zapachem kwaśnym i zimnym, niczym zgniłego owocu, który zamarzał na przysypanym śniegiem polu.

Zgubiłam ten zapach na skraju wody, gdzie robotnicy trzymali swoje łódki. Z łatwością przeprawiliśmy się na drugą stronę, ale tam trop się urywał. Na ulicach było za dużo przechodniów i za dużo koni. Nic tam nie zwietrzyliśmy. Jedyne straszylimy ludzi. Jeśli ktoś odważył się podejść bliżej, szczerzyliśmy zęby, uciekaliśmy. Wróciliśmy do kanałów. Nie znaleźliśmy jednak żadnego śladu. I tak co noc – żadnego śladu.

On tu gdzieś był.

Sporo wiedziałam ze wspomnień Jony, ale nigdy dość dużo. Nawyki Salvatore załamały się wraz z jego sercem.

Był tutaj. Musiał tu być.



Jona przemycił księgi rachunkowe tamtego kupca na posterunek i ukradkiem wsunął je w stertę nieprzeczytanych raportów na biurku Calipariego. Sierżant z nocnej zmiany był na służbie, ale szybko zasnął.

Obok niego na biurku leżała butelka. Nocna załoga kręciła się w pobliżu na ulicach, lecz akurat wtedy panował spokój. Pisarczyki zapewne rozeszły się, jak tylko zobaczyły, że sierżant usnął pijany. Jona dołączył do ksiąg notkę. Napisał ją lewą ręką, by Calipari nie rozpoznał autora.

„Król Nocy istnieje. Ona gdzieś tu jest. Nie mów nikomu, póki się nie upewnisz”.

Już przestudiował te księgi. Ten człowiek pracował dla arystokratów, zaopatrywał ich w wino i mięso, na przyjęcia, których będzie wiele, gdy skończy się pora deszczowa. Bez niego zmniejszyła się konkurencja wśród dostawców wielkopańskich imprez. Czemu Król Nocy kazał go zabić? Trudno uwierzyć, że miało to jakiś związek ze szlachtą bawiącą się do białego rana.



Jona był z Szajbusem, Jaimiem i jego żoną w pubie niedaleko Zagród, gdzie wcisnął kumpłowi Szajbusa, Djossowi, jakieś drobne, by wejść do środka, choć ludzie stali w długiej kolejce za drzwiami, bo do miasta przyjechała sławna grupa akrobatów – gadano, że umieją założyć nogi na głowę i robić niesamowite skoki. Jaimie od razu poszedł z żoną tańczyć – przy niej nie tykał alkoholu. Szajbus zobaczył czerwone drzwi na tyłach i poszedł tam grać. Nieważne, że to było nielegalne, zawsze pozwalali mu wygrać jakąś drobną sumkę, by przymykał oko na ten proceder. Jona więc został sam w tym wielkim, zatłoczonym pubie.

Podszedł do baru i gestem przywołał barmankę. Jedyne, co mu pozostawało w chwilach takich jak ta, to upić się jak najszybciej. Rzucił pieniądze na ladę i natychmiast wychylił kufel. Znów podniósł rękę. Gdy odwrócił się z nowym piwem w dłoni, tuż przed nim stała kobieta.

Rachel.

Włożył palce do kieszeni, szukając monet. Zastanawiał się, czy ma przy sobie dość, by kupić jej milczenie. Za dużo ludzi wokoło. Nie było sposobu, by ją tu zabić po cichu. Nie wziął ze sobą noża ani trucizny. Zresztą miał już dość zabijania ludzi. Odstawił kufel na bar. Był zmęczony.

– Chyba cię znam – powiedziała. – Gdzie ja cię mogłam widzieć?

Uśmiechnął się. Nici z udawania.

– Ach, rozbiłam ci nos! – jakby nagle sobie przypomniała. – Chcę z tobą pogadać. Nie tutaj.

Powinna krzyczeć, podnieść larum, że ten człowiek w mundurze tylko udaje strażnika. Że wygląda jak człowiek, ale wcale nim nie jest. To demonowy pomiot. Chce ich wszystkich skazać na potępienie. Jona podniósł kubek, ale szybko go odstawił. Za bardzo drżały mu ręce. Uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie dosłyszałem cię.

– Musimy pogadać. Proszę. Nie chcę ci robić żadnych przykrości. Chcę tylko pogadać. Dyskretnie.

– Nie rozumiem...?

– Uderzyłam cię, pamiętasz? – Udała, że wali go w nos. Próbowwała być przyjazna. – Nie boję się ciebie, jeśli myślisz... Słuchaj, musimy pogadać, to wszystko.

– Nie powinnaś się przyznawać, że uderzyłaś człowieka króla. Król nie lubi, jak nas biją.

– Twoja krew! – krzyknęła. Jej głos nie przebił się jednak przez tłum i muzykę. Ktoś od tyłu pchnął ją na Joneę.

Odsunął się. Walnął dłonią w bar.

– O czym ty mówisz? – Nie dałby rady przedrzeć się przez tłum, gdyby musiał uciekać.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, nikomu nie powiem. Możemy zwyczajnie porozmawiać? Proszę!

Wskazała drzwi do kuchni. Wzruszył ramionami i poszedł z nią. Myślał, czy jej nie zabić. Ładna była. Uczepiła się jego rękawa. Zastanawiał się, co matka by mu poradziła w takiej sytuacji, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Trudno było sobie wyobrazić, by mu kazała zabić kobietę.

To w końcu musiało się zdarzyć. To wisiało w powietrzu, od zawsze.

A o czym niby mieliby rozmawiać? Był, kim był, a jeśli ktoś się o tym dowiedział, musiał umrzeć. Gdyby zabił ją już wtedy, kiedy go uderzyła, wszystko byłoby inaczej. Gdyby po zatamowaniu krwawienia wrócił do burdelu, gdzie rozbiła mu nos, odnalazł ją i uciszył na zawsze, miałby spokój.

Rozejrzał się wokoło, szukając sposobności, by zabić ją bez świadków.

W kuchni jakiś grubas z zawziętym grymasem wycierał szklanki. Rachel wyprowadziła Jonę na zewnątrz, gdzie nie było takiego tłumu, ale i tak kręciło się sporo ludzi.

– Gdzie możemy pójść? – zapytała z rozpaczą w głosie. Spojrzał na nią. Była tak samo przerażona jak on. Puściła jego rękaw i przygryzła wargę. – Musimy znaleźć jakieś ustronne miejsce.

Jona pokręcił głową.

– Naprawdę chcesz zostać ze mną sam na sam?

– Proszę... – Wzięła głęboki oddech. – Jestem tu nowa. Nie wiem, gdzie moglibyśmy pójść.

Rozejrzał się na boki.

– Znam jedno takie miejsce. Kanał był niedaleko.

Poprowadził ją nad brzeg rzeki. Siedzący tu bezdomni znikli na widok jego munduru. Idealne miejsce, by udusić ją w tajemnicy i wrzucić do

wody. Będzie musiał działać szybko. Senty miały swoje sztuczki, wiedział to.

– Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał – oznajmił.

– Dobrze. Chciałam ci powiedzieć, że... – Rozejrzała się na boki, popatrzyła na wodę. – Proszę, nie rób mi krzywdy. Nie masz powodu.

– Nie chcę ci robić krzywdy – stwierdził. – Naprawdę. Przysunęła się do niego, na tyle blisko, że mógł poczuć zapach jej skóry, a pachniała jak wybielacz i siarka. Okropnie. Może piwo uderzyło mu do głowy. Uświadomił sobie, że ma ochotę wgryźć się w jej szyję.

– Cały czas powtarzałeś, żebym umyła ręce – szepnęła.

– Czego chcesz? – odszepnął. – Żeby ci zapłacił? Nie mam wiele, ale zapłacę ci, jeśli będę musiał.

– Nie zamierzam cię szantażować ani nic takiego. Chcę tylko... tylko porozmawiać.

– Więc mów.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Jeśli komuś o tym powiesz, spalą mnie żywcem. Aresztują moją matkę...

– Nie, nie, nie... Wiem, tego nie chcę.

Zacisnął pięści. Może nosiła to ubranie tylko dla ochrony.

– Naprawdę jesteś sentą? – Tak.

Odwrócił wzrok ku ciemnej wodzie kanału.

– Ja w to nie wierzę – przyznał. – Ani w Erin, ani w Imama, ani w Jedność.

– Każdy w coś wierzy. Nie chciał jej zabijać.

– A gdzie w tym wszystkim miejsce dla Elishty, hm? I dla mnie? Nigdzie. Jestem wcieleniem zła. I co mam robić, oddawać cześć demonom?

– Popatrzył jej w twarz. Naprawdę była przerażona. – Nie mogę zmienić tego, kim jestem.

– Już dawno bym cię wydała, gdybym chciała to zrobić. Gdybym chciała pieniędzy, już bym ich zażądała, tam w barze, gdzie jest... – Spojrzała na kanał. – No wiesz... bezpieczniej.

– Tak?

– Nie całkiem to miałam na myśli, mówiąc o jakimś ustronnym miejscu.

– Lepszego nie znajdziemy.

– Ja tylko chcę wiedzieć, jak to się stało w twoim przypadku. Po prostu jestem ciekawa.

– Wszystkie moje tajemnice... – Jeszcze nigdy w życiu nie mówił o tym głośno. – Mój ojciec i dziadek, a może nawet pradziadek byli tacy jak ja, ale trochę gorsi. Urodziłem się z demonowymi skrzydłami, matka mi je odcięła. Mam na plecach wielkie blizny. Jak ktoś pyta, mówię, że upadłem na ogrodzenie. W ogóle nie śpię. Ani trochę. To wszystko, co wiem. Zadowolona?

– Nazywam się Rachel. Rachel Nolander. Chcę ci zrobić coś, co może trochę zboleć, ale nic ci nie będzie, obiecuję.

Jona miał ochotę się roześmiać, udać, że to wszystko jest jedynie żartem.

– Brak mi słów – dodała. Prychnął.

– No to na razie. Jeśli powtórzysz komuś, co właśnie ci powiedziałem, moje życie będzie skończone. A może i twoje. Pomyśl o tym.

– Nie. – Chwyciła jego rękę i odwróciła. – Daj mi chwilkę. Tylko chwilkę. – Przesunęła palcami po wnętrzu jego dłoni.

Zadrżał. Jej palce były gorące, paliły ogniem.

– To boli! – jęknął.

Zamknęła oczy. Nie puściła jego ręki.

– To boli! – powtórzył głośniej. Próbował zacisnąć dłoń, ale trzymała mocno.

– Przestań – poprosiła. – Już skończyłam.

– Co zrobiłaś?

Wciąż trzymała jego rękę.

– Słuchaj, wiem o twoim pochodzeniu więcej niż ty. Moja matka mnie tego nauczyła. Gdy narodziły się oceany, wcale nie były słone, były czyste niczym kryształ. Pojawił się deszcz, spadł na nagą ziemię, wymył minerały ze skał do wody. I tak woda nasyciła się jodem i solankami. Można wyliczyć, kiedy dokładnie niebiańska Jedność dotknęła wody, bo sól w naszych łzach też jest słona, lecz mniej, a rzeki ciągle pompują minerały i brud do oceanów, więc soli w wodzie jest coraz więcej. Gdyby ktoś obliczył, kiedy woda w morzach była tak słona jak nasze łzy, poznalibyśmy, od jak dawna istoty ludzkie żyją na tych brzegach.

Jona odkaszlnął. Spływał potem. Z trudem łapał oddech. Potarł dłoń. Paliło go pod skórą.

– W Elishcie, głęboko pod naszymi stopami, nie ma życia – ciągnęła Rachel. – Są tylko demony i w swojej niegodziwości starają się nas zniszczyć. Wysyłają emisariuszy, by wabili śmiertelników w mrok pod wodami, pod ziemię, gdzie ciemność rozświetlają jedynie płonące dusze. Gdy rodzi się dziecko z demonową skazą, będzie... niszczycielem życia.

Puściła jego rękę.

– Tego o was uczą. To wszystko nieprawda. Wiem, bo ja nie jestem taka. Nie jestem niszczycielem życia. Jestem po prostu sobą.

Jona oparł się o ścianę, pocierając dłoń. Nic nie mówił. Nie miał nic do powiedzenia. Rachel odwiązała rzemyki na nadgarstku i trochę podwinęła rękaw, by odsłonić kawałek ramienia.

– Co widzisz? – zapytała.

Jona zmrużył oczy w nikłym świetle lampy. Twarz i ręce miała blade, bezkrwiste, a jej ramię było czarne jak smoła. Połyskiwało w świetle księżyca. Dotknął go palcem. Zbyt twarde na znamię, zbyt miękkie na pancerz.

– Mój ojciec też był demonem – powiedziała Rachel. – Matka była sentą, którą on siłą zmusił do uległości. Pewnego dnia mój brat go otruł. Nie byłam tak zła jak ojciec. Matkę zabili, gdy znaleźli demonowe ciało ojca. Mój brat nie jest taki jak my, urodził się przede mną. Gdy zabił ojca, ukrył mnie i pobiegł po matkę, ale się spóźnił. Odtąd zawsze byliśmy razem, on i ja, i nikt więcej. Te łuski mam na całym ciele. A na stopach szpony zamiast paznokci.

Jona przesunął ręką po jej łuskach.

Rachel podciągnęła rękaw wyżej. Nad łokciem też były łuski – gładkie, ciepłe, wężowe.

Gwałtownie opuściła rękaw. Mocno go zawiązała.

– A ty jesteś zły?

– Co?

– Podobno mamy być źli, prawda? Jesteś zły?

– Raczej nie. Nazywam się Jona. Jestem lordem Joni, ale to już nic nie znaczy. Próbuję odbudować dobre imię mojego rodu. Stanę się oficerem i wychowam moje ludzkie dzieciaki na silniejsze ode mnie, trochę lepsze. Nie jestem taki zły jak mój ojciec. I nie taki zły jak mój dziadek.

– Ja nie mam nic. Nawet cienia.

Uniosła rękę. Cień padający na mur urywał się na rękawie. Jej dłoń nie rzucała cienia.

– Obłąd. – Jona też uniół rękę. Dwa cienie wyglądały tak samo.

Rachel sprawdziła rzemyki na rękawie. Ścisnęła je mocniej.

– Widzę, że dobrze się kamuflujesz w tych szatach senty – zauważył.

Uniosła brew.

– Nie kamufluje się – odparła. – Nie widziałeś moich koanów? Może kiedyś senty dojdą do tego, jak demonowe pomioty pasują do tego wszystkiego.

Jona rozejrzał się wokoło. Czy było jeszcze coś do dodania? Spojrzał na nią i przypomniał sobie, że chciał ją zabić. Odniósł wrażenie, jakby to wspomnienie pochodziło sprzed tysiąca lat. Jakby wtedy miał inne życie. Życie, w którym nie istniał nikt inny taki jak on. Salvatore był inny, był potworem albo żywiołem samolubnej energii. Nie był taki jak ona.

– Co teraz? – zapytał Jona.

– Nie wiem – odparła. – Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ja.

– Ja kiedyś spotkałem jednego.

– Był zły?

– Był nie gorszy niż ludzie, dla których pracował. Już jakiś czas go nie widziałem. On nie wie, kim naprawdę jestem, ale ja wiem, kim on jest. – Jona uśmiechnął się z zażenowaniem. – Nie sypiam z prostytutkami. Czasem tylko chodzę do burdelu, by udawać przed kolegami. Gdybym szedł z dziewczynami do łóżka, tylko by chorowały, ludzie zaczęliby gadać i ktoś by mnie przejrzał.

– Jasne. Och, nie pokazałam ci jeszcze języka.

Otworzyła usta. Wypełzył spomiędzy zębów niczym język jaszczurki. Na końcu był rozwidlony. Szybko schowała go z powrotem.

– Przepraszam, to trochę obrzydliwe.

– Nie bardziej niż moje skrzydła – stwierdził. – Mówisz dobrze.

– Długo ćwiczyłam. Gdy się upiję, język trochę się wysuwa, więc się nie upijam. Cały czas muszę ukrywać te łuski i język, ale poza tym chyba wyglądam normalnie. I tyle z mych dziwactw. – Przygryzła wargę.

– Jesteś głodna? Chodźmy stąd.

Spojrzał w dół na kanał. W głowie miał obraz wpadającego do wody ciała obciążonego cegłami. Stracił apetyt.

– Nie jestem głodna – odparła.

– Ja też nie. To i tak nic nie zmienia, prawda?

Przeszli się trochę i zatrzymali w kawiarni na skraju Zagród, która była otwarta całą noc, obsługując marynarzy wytaczających się z karczm, szukających czegoś do zjedzenia, nim wrócą na pokład. Rachel i Jona nie zjedli nic. Wypili tylko gorzką herbatę, cierpką jak suchary.



Polowanie, wieczne polowanie. Jona stracił zainteresowanie Salvatore, ale my nie. Znalazłam trop ciemny jak smoła wśród ścieków i bardzo stary. Dało się go wyczuć tylko dlatego, że skaza utrzymywała się tu o wiele dłużej niż cokolwiek innego. Prowadził w głąb miasta, do splekanego budynku, w połowie zawalonego.

Od razu skierowałam się do pokoju Salvatore. Mój mąż tymczasem przeszukał resztę pomieszczeń. Nie znalazł nikogo żywego. Było ciemno jak w grobie. Wspięłam się na schody. Znałam te schody. Widziałam je w umyśle Jony. Drzwi też znałam. Otworzyłam je i ujrzałam pokój.

Hamak wciąż tu był. Wszystko przykrywał kurz. Deski na podłodze przegniły, tak samo jak strop. Do środka przez dziury w suficie wpadały promienie księżyca. Czulałam tu zapach Salvatore. Wszędzie go czulałam.

Zrzuciłam wilczą skórę i stanęłam wyprostowana. Sprawdziłam hamak. Wciąż dobrze się trzymał. Usiadłam na nim, położyłam się. Wyobraziłam sobie życie w tym ciasnym pokoiku.

Mój mąż nic nie powiedział, gdy wszedł, przyglądając się podłodze i ścianom, szukając czegoś, co Salvatore zostawił, a co mogłoby naprowadzić nas na jego ślad.

Ściągnął z siebie wilczą skórę.
Król Nocy wie, gdzie on jest.
Ona nie chce nas widzieć.
Ona wie dokładnie, gdzie on jest. Za trudno byłoby go znaleźć, gdyby
był sam. Nie jest aż taki sprytny. Ma przyjaciół, nawet jeśli ich nie pamięta.
Czy kogoś tu znalazłeś?
Nie.
Będzie dziś padać. To dobra noc, by spalić ten budynek do cna.



Jona odprowadził Rachel do domu. Zauważyła, że ludzie inaczej na nią patrzą, gdy idzie obok człowieka króla. Nie miała pojęcia, co o tym sądzić, ale lubiła go.

Wzięła go za rękę. Uśmiechnęła się.

Spojrzał w dół na jej dłoń. Nie odpowiedział uśmiechem. Puściła jego rękę.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Chwytał jej dłoń. I nie puszczał.

ROZDZIAŁ XVII

Polujemy na żywych, nie na martwych. Salvatore cały czas nam się wymyka. Rachel może wróci do Psiej Ziemi, jeśli jej brat tu wróci.

Przenikam moimi oczami, moimi zmysłami, głęboko do wspomnień Jony. Widzę więcej, niż on kiedykolwiek był w stanie zobaczyć, ale łowcy nigdy nie mają dość informacji, by poznać swoją ofiarę.

Czy to wspomnienie jest prawdziwe?

Żadne nie jest do końca prawdziwe.

Jeśli jednak pomoże nam ją znaleźć, taka prawda wystarczy.



Następnego wieczora Rachel otworzyła okno na ponure niebo, kłębiące się sine chmury. Sączyła herbatę i obserwowała nadciągającą burzę.

– To minie – stwierdził Djoss. – Pora sucha się zbliża.

– A od kiedy to znasz się na tutejszej pogodzie? Jesteśmy tu dopiero kilka miesięcy.

– Ludzie tak mówią.

– Myślisz, że będą nas dzisiaj potrzebowali w pracy? – Nie.

– Wystarczy nam pieniędzy na czynsz? – Tak.

– A wystarczy, żebym trochę się zabawiła?

– Czyli jak?

– Och, sama nie wiem. Chcę iść potańczyć. Chodź ze mną na tańce!

Wzruszył ramionami.

– No dobra. Gdzie?

– Gdziekolwiek. Tylko nie zostawiaj mnie samej. Tęsknię za tobą.

Westchnął.

– Ja za tobą też. Ale najpierw muszę coś załatwić.

– Co? – zapytała.

Zmrużył oczy. Zastanawiał się.

– Wiesz co? Chyba mogę to przełożyć na jutro. I tak by ci się to nie spodobało.

– Nie, pójdę z tobą.

– Nie, to nieważne – zbył ją. – Pójdziemy się trochę zabawić. Będziemy tylko we dwoje. To będzie nasze własne zalane deszczem miasto. Kiedyś wreszcie trzeba zainwestować w parasole.

Wymknęli się w nocny mrok w przerwie między największymi ulewami. Wpadli do baru, przemoknięci do suchej nitki. Nie było tam żadnej muzyki, więc zrezygnowali z tego lokalu i przeszli przez kładkę na drugą stronę ulicy. Uginające się deski zatapiały podeszwy ich butów w wodzie, która wybiła z kanałów. Teraz ścieki nie niosły z sobą wiele brudu. To, co nie zostało jeszcze zmyte do zatoki, już się nie ruszy. Nadchodziły upały, zbliżała się pora sucha, gdy nie będzie padało przez wiele tygodni z rzędu.

W następnej tawernie przygrywał tylko jeden muzyk, bębniarz. Djoss z siostrą tańczyli niezgrabnie – ona w szacie senty, a on pełen obawy, że podepcze jej stopy swymi wielkimi buciorami.

Bębniarz wybijał rytm, paląc fajkę. Gdy przygasła, sprezentował dwojgu tancerzom głośny, szybki finał.

We trójkę, razem z barmanem, bili mu brawo. Nikogo więcej tam nie było. Djoss zamówił coś do picia i trochę gulaszu. Rachel zapytała go, gdzie się podziewał tyle czasu. A on uniknął odpowiedzi, odwracając pytanie. Żadne z nich nie chciało się do niczego przyznać.

Djoss rzucił bębniarzowi jeszcze kilka monet i znów tańczyli. W tańcu nie musieli rozmawiać.

Gdy grajkowi skończyło się zioło, usiedli i wypili po kilka kolejek. Porównywali rodzaje piwa, które zdarzyło im się próbować w różnych miejscach. Po licznych falstartach i wielu rozpaczliwych próbach nawiązania poważnej rozmowy dali za wygraną. Wyszli z powrotem na ulicę.

Rachel zauważyła średniego syna wdowy opierającego się o mur i patrzącego na nich spode łba. Zniknął w mroku za zasłoną deszczu.

Koniec końców wrócili do domu. Pożyczyła od niego jedną z olbrzymich koszul. Teraz miał ich już trzy, wszystkie nowe. Po ciemku usiadła na łóżku, patrząc na swoje nogi. Rzadko patrzyła na swoje ciało, a i wtedy zawsze miała wrażenie, że to jakaś ułuda. Czasem zapominała, że nie jest normalnym człowiekiem, i chodziła wśród ludzi, jakby nic jej nie groziło. Przesunęła dłońmi po łuskach. Były twarde. I gładkie.

Djoss prał ich ubrania w wannie na tarce, którą sprawił sobie za nowe pieniądze. Rachel przestała już krzyczeć na niego, że cały czas coś kupuje. Mieli meble, sztuce i zioła w doniczkach na oknie. Rozwiesił jej mokre szaty w mieszkaniu, bo wciąż lało jak z cebra.

W pokoju nad nimi dwoje ludzi uprawiało miłość, powoli, namiętnie.

Rachel głęboko wciągnęła powietrze.

– Djoss, chcę powiedzieć ci coś ważnego. – Co?

– Myślę, że musimy uciekać, i to niebawem.

– Czemu?

– Chyba poznałam kogoś takiego jak ja. Nawet na pewno. Powinniśmy uciekać.

– Jeśli nikt o tobie nie wie, zostańmy. Dobrze nam tu się żyje. Jeszcze nigdy tyle nie mieliśmy. Łóżka, czyste ubrania, dużo rzeczy. Po prostu trzymaj się od niej z daleka. Jeśli ją zobaczysz, odwróć się w drugą stronę. Nie musi o nas wiedzieć, jeśli ją złapią.

– To mężczyzna, Djoss. Oboje przyzwyczajamy się do tego miasta. I to mnie martwi. Co tam słychać u Turca? Jak wam idzie?

– Piwnicę zalało. Nikt tam nie zejdzie, póki się nie wysuszy. Turco szuka nowego miejsca.

Wiedziała, że on kłamie. Siedziała w tej piwnicy podczas najgorszych ulew i nigdy jej nie zalało.

– Nadal mamy dość pieniędzy?

– Robota pali nam się w rękach.

– Jaka robota? Nie odpowiedział.

– Jaka, Djoss?

– Spróbuj się trochę przespać. W porze suchej praca sama się znajdzie.

Rachel spuściła wzrok na koszulę, którą miała na sobie. Niektóre plamy potu były w dziwnym rdzawym kolorze, jak rozwodniona krew.



Gdy deszcze trochę zelżały, Djoss i Rachel wrócili do pracy. Noce mijały bez większych ekscesów. Marynarze mieli pieniądze, a dziwki łatwe kłamstewka. Rachel sprzątała, jak zwykle cicha.

W wyobraźni widziała to miasto rozpostarte przed nią, pełne karczm i burdeli, mężczyzn pragnących kobiet i kobiet pragnących pieniędzy, widziała swojego brata bijącego ludzi i przemycającego towar z jednego budynku do drugiego, by zapłacić czynsz za kobietę i jej dzieci, które rosły na zbrodniarzy. Za dnia miasto było wrzawą, zgiełkiem sklepikarzy i ludzi, którzy mijają się w milczeniu. Wszystko w tym mieście było samotne, niewłaściwe i wstrętne i nic w jej świecie nie było dobre. Jediną osobą, z którą wtedy rozmawiała, był Jona, w kawiarniach i cichych zakątkach, na osobności.

Gdy powiedziała Jonie, co myśli o tym mieście, przytulił ją i pocieszał: Me zawsze i nie wszystko tu jest takie złe. Za długo siedzisz w Zagrodach. Wezmę cię na bał. Zobaczysz coś nowego, coś wspaniałego. Masz suknię?

Nie, coś ty!

Znajdę ci jakąś.

Nie chcę iść na żaden bał. Chcę iść gdzieś, gdzie nie będę musiała ukrywać, kim jestem. A na balu musiałabym się nie tylko ukrywać. Jona, ja już sama nie wiem, czego chcę.

Jak się dowiesz, to mi powiedz. Pomogę ci. Jesteśmy przyjaciółmi. Powinniśmy sobie pomagać.

Może. Pomyślę o tym. A ty czego chcesz?

Chcę wiedzieć, jak to jest śnić.

Następnego dnia zmiana się skończyła, a Djossa nie było. Rachel straciła cierpliwość. Poszła prosto do piwnicy piekarni. Wkroczyła do środka i nawet nie patrząc na piekarza, skierowała się do schodów na dół.

Piwnicy nie zalało. Już nieraz była tam podczas deszczu. Wiedziała, że Djoss kłamie jej w żywe oczy.

Zapukała. Otworzyła Wróblowa. Rachel nie była zaskoczona, spodziewała się, że ją tu zastanie. Wepchnęła się do środka. Wdowa nie protestowała. Usiadła w błocie.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Djoss cię tu trzyma, prawda?

– Tak. Turco rozszerza działalność. Już tej piwnicy nie potrzebuje. Ludziom nie podoba się błoto. Djoss powiedział, że możemy tu zostać.

– On z tobą nie będzie długo.

– Mówiłaś chyba, że jesteś jego siostrą.

– Bo jestem. I nie, nie jestem zazdrosna. Djoss i ja... prędzej czy później będziemy musieli opuścić to miasto. To nieuniknione. A gdy pójdziemy, to

sami. Po prostu znikniemy. Puf. Jak dym.

– Ale na razie moi chłopcy mogą spać pod dachem. Jak chcesz go zabrać z sobą, to opiekuj się nim, gdy wtacza się tu zbyt różowy, by ustać na nogach.

Rachel oparła się o ścianę.

– Kiedy on tu przychodzi? Wróblowa tylko wzruszyła ramionami.

– Jak niebezpieczne jest to, co robią on, Turco i Pies?

– A co cię obchodzi, co robi, skoro dobrze zarabia?

– Wystarczy nam własnych kłopotów, nie musimy szukać więcej. Co przemyca?

– Kłopotów? – powtórzyła wdowa. – Wiedziałam, że z tych twoich sztuczek nie ma żadnego pożytku. Turco mówi, że nie kradną. Może kłamie, ale to nie moja sprawa. To wszystko? Nie chcę, żebyś tu była, gdy chłopcy wrócą.

Mogło jej chodzić o synów albo o mężczyzn, którzy pozwolili jej tu mieszkać. Rachel się rozejrzała. Ostatnie deszcze nie przysłużyły się tej zapuszczonej piwnicy. Rozstawiono tu więcej belek dla podparcia uginającego się sufitu, lecz wyglądało na to, że wciąż za mało.

Rachel miała pokój nad piętrze, z oknem, stołem i łóżkiem. Chętnie by udusiła Djossa za to, co robił tej kobiecie, za to, jak ją wykorzystywał, ale wiedziała, że w razie konieczności on nie porzuci siostry, ucieknie z nią. To nie tak, że go traciła. Po prostu jak wielu mężczyzn prowadził drugie, sekretne życie.

Wróblowa podeszła do rogu piwnicy. Stał tam dzban, może z wodą, może z czymś innym. Pociągnęła z niego głęboki łyk. Nie zaproponowała Rachel niczego. Nawet na nią nie spojrzała.

Rachel wyszła. Na ulicy dostrzegła Djossa przepychającego się przez tłum. Dogoniła go. Zwolnił. Ręce miał brudne od krwi.

– To świńska krew – uspokajał ją.

Nie uwierzyła, ale nie miała pewności. Wrócili do mieszkania. Poszedł do łóżka z brudnymi rękami. A ona położyła się w ubłoconych butach.

Myślała o Jonie chodzącym po ulicach. Myślała o tym, że sama ma drugie, sekretne życie. Myślała o tym, jak mu do twarzy w mundurze, jak jej się podoba, nawet jeśli czasem jest trochę niemiły.



Dwie noce później oboje dostali wolne. Djoss wypożyczył niewielką zagłówkę. Wpłynęli na zatokę, prześlizgując się między burtami galeonów, kutrów rybackich i przysadzistych frachtowców. Djoss umiał trochę żeglować, a Rachel potrafiła manipulować wiatrem w razie potrzeby. Nabrali prędkości i podskakiwali na falach.

Rachel cały czas się śmiała.

I przez jakiś czas znów dobrze się im układało. Djoss jeszcze niekiedy spotykał się z wdową. Rachel wiedziała o tym, ale nic nie mówiła. Sama też wychodziła, by spotkać się z Joną w kawiarni, posiedzieć w słońcu i porozmawiać. Nigdy wcześniej nie miała nikogo, z kim mogłaby pogadać o życiu.

Jaką miałeś twarz, zanim się narodziłeś?

Jak ci się żyje?

Gdy zamykała oczy, próbowała wyobrazić sobie go ze skrzydłami. Czy wyrosłyby wielkie jak u gargulca, czy małe i zdeformowane? Próbowała wyobrazić sobie jego blizny na plecach, jakie byłyby w dotyku, gdyby przesunęła po nich rękami.

Pomachała do Djossa na ulicy. Skinął na nią. Niósł coś. Dogoniła go.

– Wiem, wiem – bąknął. Oczy mu błyszczały krystalicznie, kołnierz koszuli miał różowy od potu, wzrok rozbiegany.

– Co wiesz? – Założyła ręce na piersi.
– Mam nie używać towaru.
– Po prostu bierz za to pieniądze. Ale nie używaj.
– Turco płaci mi dość, żeby choć raz było mnie stać na porządne mieszkanie.

– Jasne.
– Naprawdę mnie to nie kręci.
– Wierzę ci.
– Nie wierzysz.
– Wierzę. Muszę wierzyć, Djoss. Tylko ciebie mam na tym świecie. – Rozejrzała się po ulicy. Wiedziała, gdzie jej brat zmierza. – Wiesz, co jeszcze powinieneś wiedzieć? Nieładnie traktujesz tę kobietę i jej synów. Nie idź tam, chodź ze mną do domu.

Uśmiechnął się smutno.

– Pójdę. Ale Wróblowa pomogła nam, choć nikt inny nie chciał nas znać. Ona, Turco i Pies są moimi przyjaciółmi. Kiedy ostatnio mieliśmy przyjaciół, Rachel?

– Ja jestem twoim przyjacielem.
– Wiesz, o co mi chodzi.
– Nie wiem, Djoss – skłamała, bo rozumiała, co miał na myśli. Umówiła się z Joną na herbatę pod wierzbą. Pora deszczowa miała się ku końcowi, można już było wychodzić bez parasola.

Djoss powiedział, że wróci później, i też kłamał. Tym razem Rachel nie odpuściła mu tak łatwo. Za dużo kłóciła się z bratem, a Jona mógł poczekać ten jeden dzień. Chciała, żeby Djoss skończył z tymi kłamstwami, zanim to stanie się jeszcze bardziej bolesne. Poszła za nim do piwnicy piekarza, obserwując go z daleka.

Widziała, jak tam wchodzi. Trzej chłopcy wyszli na zewnątrz i usiedli na ganku. Wyciągnęli kości i zaczęli rzucać nimi na zmianę, ale nie wyglądało na to, że grają o coś konkretnego. Nikt nie wygrywał. Rachel podeszła do nich. Uśmiechnęła się. Oni zachowali kamienne twarze.

Najstarszy wydobyl gwóźdź z podartego buta. Pogrzebał nim w zębach. Rdza na gwoździu miała ten sam kolor co jego zęby.

Rachel weszła do środka. Piekarz gdzieś przepadł. Drzwi od piwnicy były uchylone. Usłyszała ciche postękiwania dwojga ludzi, kobiety i mężczyzny. Zastanawiała się, czy nie zapukać. Domknęła drzwi. Zasłoniła uszy. Nie chciała się z nimi widzieć, póki się nie ubiorą.

Najstarszy syn poszedł za nią na schody, wciąż dłubiąc w zębach.

Przyłożyła palec do ust.

Chłopak uniósł gwóźdź i wycelował w nią.

– Zostaw nas w spokoju – warknął. Skoczył ze szczytu schodów.

Rachel wyciągnęła ręce, by się zasłonić.

– Djoss! – krzyknęła. Chłopak próbował ją dźgnąć, był przeraźliwie. Nie była w stanie go zatrzymać, był silny, rozjuszony i szybki.

Djoss wyszedł nagi, ze spodniami w rękach. Z konsternacją spojrział na dzieciaka szamoczącego się z Rachel, zamierzającego się na nią gwoździem, tnącego jej ubranie, rękami i zębami rozszarpującego je w miejscach, gdzie powinna być miękka skóra.

W piwnicy podniósł się krzyk wdowy.

Djoss złapał chłopaka za nogę i mocno rzucił nim o ścianę. Rachel pstryknęła palcami, a łachmany dzieciaka zajęły się ogniem. Chłopak zawył jak wilk, zaczął trzepać się po ubraniu, ale zaraz przestał. Znów rzucił się na Rachel z gwoździem.

Djoss wsunął już spodnie po kolana. Nie zdążył temu zapobiec. Gwóźdź wbił się w ubranie i ześlizgnął po łuskach. Chłopak ugodził raz jeszcze. Nie

miał szans, by się przebić zardzewiałym gwoździem. Rachel próbowała zablokować go rękami, by ocalić ubranie.

– A to co?! – zakrzyknął mały napastnik. Nie zranił jej, ale próbował. Gryzł, szarpał i dźgał. W końcu odechciało mu się walki.

– Djoss, proszę, nie rób mu krzywdy! – błagała wdowa.

Wydało się. Łuski prześwitywały przez rozcięcia w ubraniu. Djoss wyrwał wdowie koc, którym się zasłaniała, i podał siostrze. Rachel była oszołomiona, nie mogła myśleć. Musiała zakryć dziury w koszuli. Musiała się ukryć.

Wdowa nie zareagowała. Pozostali jej synowie zeszli do piwnicy.

Djoss pierwszy się odezwał.

– Jeśli powiesz komuś o mojej siostrze, zabiję cię gołymi rękami. Jeśli powiesz Turcowi albo Psu, ich też zabiję. Wiesz, że jestem do tego zdolny.

Znalazł koszulę, włożył buty i skinął na Rachel. Wróblowa się rozplakała. Wyciągnęła ręce do swoich dzieci. Przytuliła je. Podniosła wzrok przerażona.

– Czas, żebyś opuściła to miasto – powiedział jej. – Czas, żebyś zabrała chłopców i wyniosła się z Zagród. Jak ich jeszcze raz zobaczę, nie będzie zmiłuj.

Wróblowa ubrała się w pośpiechu. Wzięła chłopców za ręce.

– Idźcie – poganiał ich Djoss. – Wynoście się z miasta. Na zawsze.

Kobieta poprowadziła synów po schodach. Djoss z kamienną twarzą odprowadzał ich wzrokiem.



Gdy wrócili do mieszkania obok sklepu mięsnego, Djoss wyjął przybory do szycia i zacerował koszulę Rachel. Czekwała na łóżku, aż skończy, otulona kocem.

– Jak długo mnie śledziłaś? – zapytał. Z szyciem radził sobie lepiej niż ona. Miał większą wprawę.

– Nie chcesz wiedzieć – odparła. – Przepraszam. Mówiłeś poważnie, że ich zabijesz?

– Oczywiście, że nie.

– Bo jeśli tak... – Nie.

– Jej syn próbował mnie zabić, i to przez ciebie.

– Wiem. Przepraszam, Rachel. Nie chciałem tego. Dla żadnego z nas.

– A czego chciałeś?

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. On szył, a ona patrzyła.

– Nie chcę uciekać. Ona odejdzie. Weźmie z sobą synów – odezwał się w końcu.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Odłożył koszulę i igłę.

– A ty chcesz uciec?

– Nie chcę. Mnie też się tu podoba. Nie sądzę, by Wróblowa nam zaszkodziła. Djoss, mam już dość uciekania.

– A jak będzie, jeśli zostaniemy?

– Tak samo jak teraz. Będzie tak samo, póki nie będziemy musieli uciekać. To nigdy się nie skończy. Nic się nie zmienia. Nic się nie polepsza. Będziemy uciekać aż do śmierci.

Djoss znów wziął się do szycia. Potem oddał jej zacerowane ubranie.

Włożyła na siebie wszystkie szaty senty.

– Obejrzyj mnie.

Sprawdził, czy nie prześwituje żadna łuska. Nic nie znalazł. Wyszli, kupili coś do jedzenia u ulicznego sprzedawcy. A potem wrócili do domu i zasnęli w łózkach. Tak samo było w kolejnej nocy.

I tak wyglądało ich życie. Zawsze będzie tak wyglądać.



Matka Jony naląa mu kilka chochel gulaszu. Postawiła miskę na stole i usiadła, sama nie jedząc nic.

– Jak w pracy? – zagadnęła.

– Ech, jak to w pracy. A u ciebie?

– Skończyłam suknię dla tej dziewczyny Carrohów. Wiesz, tej z tłustymi udami. Ja nigdy takich nie miałam. Gdy chodzi, to jakby się statek zataczał. Ale jest bogata. Pieniądze z każdej dziewczyny robią ślicznotkę.

– Nie, nie robią. Nie cierpię takich bab.

– Musisz się z którąś ożenić. Bardzo ci do twarzy w mundurze. Dostaniesz awans, może nawet na oficera, i znajdziesz sobie bogatą dziewczynę, nie za ładną, bo wtedy nie będzie krzywo na ciebie patrzyła.

– Ty byłaś kiedyś piękna.

– A twój ojciec był kiedyś bogaty. Masz jakieś plany na wieczór? – Nie.

– Niedługo zaczną się bale. Te dobre są tylko u lady Sabachthani. Powinieneś na nich bywać. Jak wyjdiesz, kup trochę herbaty. Wczoraj wypileś wszystko. Doprawdy, w życiu nie widziałam, żeby ktoś w siebie wlewał herbatę litrami. Dobry gulasz?

– Smaczny, mamó.

Jona nachylił się nad miską. Próbował nie zwracać uwagi na to, że matka bacznie mu się przygląda. Ciągłe się na niego gapiała. Nigdy nie widział, żeby coś jadła, ale gotowała dla niego i patrzyła, jak on je.

ROZDZIAŁ XVIII

Ukrywali Salvatore przed nami, chronili go. Byliśmy tego pewni. Ktoś powiedział mu, gdzie jesteśmy. Kazali mu trzymać się od nas z daleka. Jego trop był zimny, co noc zimniejszy.

Król Nocy wie.

Nie możemy jej ufać.

Nie chciałam się z nią kontaktować. Nie zarabiał dla niej na tyle dużo, by to usprawiedliwiało jej protekcję. Byliśmy jedynymi ludźmi w całej Psiej Ziemi, którzy jej się nie bali i nie zginali karku przed władzą królów.

Powinniśmy kazać ją aresztować. Potrzebujemy jakiejś formy nacisku, by wydobyć z niej prawdę.

Myślisz jak on. Znamy już prawdę. Nic więcej nam nie potrzeba.

Gdy śnię, nie wiem, gdzie zaczynam się ja, a gdzie kończy on.

To się zmieni z czasem. Wszystkie wspomnienia w końcu bledną.

Mój mąż próbował mnie pocieszyć, ale to tylko pogorszyło sprawę. Myślałam o tym, jak Salvatore nas unikał. Z każdą chwilą traciłam wspomnienia, nawet gdy coraz bardziej się w nie wgłębiałam, zapisując wszystko. Musieliśmy zmierzyć się z Królem Nocy i zażądać prawdy. W tym celu trzeba było zaaranżować spotkanie gdzieś, gdzie by nas nie zabili tylko za to, że ośmieliliśmy się tego żądać. Na miejsce spotkania wybraliśmy naszą główną świątynię, w pobliżu królewskiego pałacu.

Przekazaliśmy zaproszenie w domu jej ojca. Chcieliśmy dobitnie dać jej do zrozumienia, że wiemy, kim jest, i że w każdej chwili możemy podzielić się tą wiedzą z innymi. Powiedzieliśmy jej, gdzie będziemy czekać.

Miejska świątynia Erin stała pod gołym niebem. Jeśli podczas mszy padało – cóż, trudno, wierni stali na deszczu i w błocie. Podwórze

wysypano otoczkami, by po ulewach nie powstało grzęzawisko. Kamienie potęgowały odgłos kroków. Usłyszeliśmy ją, jeszcze zanim zobaczyliśmy jej drobne butki wąskie niczym dzioby kolibrów, kontrastujące z okazałymi łydkami. Była w czerni, choć nie nosiła żałoby. Twarz miała przesłoniętą welonem.

Czekaliśmy w cieniu drzewa, w wilczych skórkach. Nie chcieliśmy ich ściągać. Ta świątynia dawała nam pociechę w mieście. Było tu wino mniskowe, jabłonie, a każdego innego dnia bawiły się tu dzieci.

Zastanawiałam się, czy pozwolić mężowi, by mówił w naszym imieniu, wiedziałam jednak, że on nie będzie chciał grzecznie rozmawiać z nikim z rodu jej ojca.

Niech pierwsza się odezwie, pomyślałam. Niech trochę się spieszy i niech się głowi, czy jesteśmy Wędrowcami, czy tylko wilkami.

Usiadła na korzeniu, który wyrastał z ziemi na kształt wygiętej ławeczki. Złożyła ręce na kolanie, spokojna i powściągliwa.

Ziewnęłam, obnażając ostre kły, żeby dobrze się im przyjrzała.

– No i...? – zaczęła.

Zastrzygłam uszami, jakbym odganiała natrętną muchę.

– Posłaliście po mnie, i to niegrzecznie, muszę dodać. Za kogo mnie macie?...

Wysunęłam język. Wilcza skóra opadła mi z twarzy.

– Wiem, kim jesteś, Ela. Świątynia Erin dobrze wie, kim jesteś.

Odsunęła welon. Wyglądała staro. Jona pamiętał ją z większą ilością alabastrowego pudru na policzkach.

– Czy szantażowanie mnie i obrzucanie śmiesznymi epitetami sprawia ci przyjemność? Nie jestem Królem Nocy.

– Twoja magia ci nie pomoże, gdy pożegnasz się z życiem – stwierdziłam.

– Twoja troska o moją duszę jest godna podziwu – zadrwiła. – Do rzeczy. O czym chciałaś porozmawiać?

– O Salvatore.

– Nie wydam ci go.

– On jest bluźnierstwem Elishty.

– Jest człowiekiem – poprawiła. – Bardzo smutnym, samotnym człowiekiem, który nie pamięta własnego imienia, jeśli mu nie przypomnimy.

– Demonowy pomiot! – warknęłam. Stałam na wilczych łapach. Mój pysk znalazł się na wysokości jej twarzy. – Zwodzi niewinnych, to zdrajca i niszczyciel życia!

Wstała, wciąż spokojna.

– Nie oddam go.

Mój mąż ściągnął wilczą skórę z siebie do końca. Był wysoki i silny. Pokłonił jej się.

– Lady Sabachthani, proszę usiąść. Moja żona nosi w sobie wspomnienia Jony. Bardzo to przeżywa, bo wie, co Salvatore zrobił, zanim umarł Jona.

Ela założyła ręce na piersi. Spojrzała na bramy świątyni.

– Czemu miałabym tu zostać? Będziecie mi tylko ubliżać, wysuwać groźby i szkalować moich przyjaciół.

– On już nie żyje – przekonywałam. – Jego umysł jest martwy. Miasto już należy do twego ojca, a noc do ciebie. Nas to nie interesuje. Interesuje nas tylko ten demonowy pomiot, Salvatore. Wszyscy, których zabił Jona, to tylko ludzie, którzy pomagali innym szlachcom urządzać przyjęcia, a ty nie mogłaś pozwolić, by przyćmiły twoje bale. Dlatego kazałaś ich zabić. Myślisz, że król nas wysłucha? Że możemy go zmusić, by nas wysłuchał?

Lady Ela Sabachthani zmarszczyła brwi.

– Jona narobiłby sobie kłopotów, gdybym go czymś nie zajęła. Musiałam poszukać mu czegoś do roboty, póki nie będę gotowa. Zmień się w człowieka, jak twój mąż. Nie lubię rozmawiać z bestiami.

Pozostałam wilkiem.

– Jona nie wiedział o mnie wszystkiego – ciągnęła. – I długo potrwało, nim się zorientował. Nosisz w sobie jego wspomnienia. Więc powiedz mi coś. Powiedz mi, co czuł, tak w głębi serca. Był smutnym, samotnym człowiekiem?

Nie odpowiedziałam.

– Bo ja go za takiego miałam. Czemu Salvatore? A co z tą nieszczęsną sprzątaczką? Znaleźliście ją?

– Uciekła na północ, za czerwoną dolinę.

– To czemu jej nie ścigacie? Zostawcie Salvatore w spokoju. Już ja o niego zadbam.

– Ona nie jest taka niebezpieczna – odparł mój mąż. – Stara się chronić ludzi przed własną skazą. Salvatore tego nie potrafi. On pierwszy. Później ona.

– Chcę, żebyście najpierw nią się zajęli. Zanim ją znajdziecie, Salvatore nie będzie mi już potrzebny i zostanie sam. Co mogę wam dać? Nową świątynię? Miejsce dla waszego ministra wśród moich doradców, gdy już zasiądę na tronie?

– A cóż możesz nam dać, czego byśmy chcieli, prócz Salvatore? – zapytałam. Nie jestem Joną. Mogę zagrozić jej prawdą. – Po co ci te demonowe pomioty? Do jakiegoś czaru?

Z powrotem zasłoniła się welonem.

– Tym razem czar nie będzie potrzebny. Co mogę wam dać? Jak myślicie? Jona wiedziałby co.

Milczałam.

– Powiedz mi, że on by się ze mną ożenił, choćby tylko dla pieniędzy.
Pokręciłam głową.
– Nigdy? – zdziwiła się.
– Jego serce nigdy do ciebie nie należało. Odwróciła się.
– Mój smutny, samotny człowieczek. Tak trudno było go czymś zająć przez te wszystkie noce. – Oddaliła się w stronę bramy.
– Czemu im to robisz?! – zawołałam za nią. Nie zaszczyliła mnie odpowiedzią.

Mój mąż zmarszczył brwi. Spojrzał na mnie. Nie poszło tak, jak się spodziewałem. Musimy stąd iść, natychmiast.

Musimy ukryć przed nią wszystkie czaszki. Nie możemy pozwolić, żeby jakaś została w mieście.

Jona wiedział, co miała na myśli. Lady Ela Sabachthani, królowa nocy, mogła nam podarować tylko jedno – nasze życie.



Mój mąż i ja od razu wyruszyliśmy ku jej posiadłości na wyspie, próbując dotrzeć tam przed nią, zanim zdąży wydać komuś rozkazy. Spieszyliśmy tam pod ludzką postacią, jako kobieta i mężczyzna, mając się na baczności. Przez kanały przepławialiśmy się na promach, a rikszami przez zabłocone ulice, unikając pozostawiania śladów. Na ostatnim promie przed jej posiadłością staliśmy między końmi zaprzężonymi do dwóch pięknych powozów.

Dotknęłam szyi siwka. Ostrzegł mnie przed dziwnym zapachem na promie. Ja też poczułam ten zapach. Podziękowałam zwierzęciu, głaszcząc je po kłębie. Ktoś nas obserwował.

Prom dobił do brzegu. Dwaj ludzie króla sprawdzali, kto wysiada. Mój mąż i ja zeszliśmy na gładki bruk. Szpieg nie był demonowym pomiotem.

Był tylko podły. A podłość jest powszechna.

Mój mąż i ja naciągnęliśmy wilcze skóry i puściliśmy się biegiem do posiadłości Sabachthanich, mknąc szybko jak konie. Nie przejmowaliśmy się strażnikami. Przesadziliśmy mur i pognaliśmy przed siebie.

Trzymając się cieni drzew, zakradliśmy się do zagajnika wierzbowego, gdzie dwie olbrzymie stalowe konstrukcje stały niczym modliszki rozmiarów karety.

Na nasz widok groźnie uniosły odnóża. Mój mąż zdjął wilczą skórę.

– Odstąp, demonie – powiedział.

Uniosł rękę. Jesteśmy świętymi sługami Erin. Oblał je świętą wodą. Zapaliła się na ich metalowych powłokach. Zastygły w bezruchu, rozedrgane. Mogliśmy zadać im ból. Nigdy nie zetknęły się z niczym, co mogło je skrzywdzić.

Mój mąż zrzucił wilczą skórę i wstał obok jednego z kolosów. A ten spojrział w dół na niego, niczym drzewo wiszące nad obliczem człowieka. Potwór zatrzęsł się jak zepsuty mechanizm zegara. Był stary. Ciało gnije, nieważne, ile magii się na nie rzuci. Martwe mięso tym bardziej.

Stal połączono z mięśniami i kośćmi, by stworzyć te potwory. Jeden z nich miał złamaną, wygiętą nogę. Drugiemu brakowało kawałka długich modliszkowatych szczypiec. Odsłonięte kości szerniały. W ranach próbowały zagnieździć się czerwce, ale szybko zdychały.

Uważaj! Nie dotykaj ich.

Nie posłuchał mnie. Dotknął tylko stalowej twarzy potwora. Wepchnął sól ze świętą wodą przez oczodoły. Na powierzchni pyska pojawiły się bąble, stalowa maska się poluzowała. Mąż ją oderwał od kleistego ciała. Pod nią była ludzka czaszka, tyle że zdeformowana. Na górze czerepu wyrastały rogi, jak u kozioróżca.

Zrzuciłam wilczą skórę. Miałam sól i świętą wodę przeznaczone dla drugiego potwora i drugiej czaszki. Magia spływała jak kwas wraz z gnijącym mięsem. Rany, które im zadaliśmy, były śmiertelne. Te maszyny ze stali i martwego ciała już nigdy się nie poruszą.

Mój mąż ostrożnie owinął rogatą czaszkę w liście i płaty skórzane. Włożył ją do saku, zarzucił na plecy. Drugi czerep milcząco świdrował nas pustką oczodołów.

– Salvatore? – zapytałam. – Nazywasz się Salvatore?

Delikatnie oderwaliśmy metalową maskę od czaszki. Była niemal ludzka, ale wygięta na szczęce i nad oczodołem. Zabraliśmy ją i obsypaliśmy solą gnijące demonowe ciało. Ogniste nasienie szybko się zatliło, a potem płonęło długo.

W posiadłości Sabachthanich już rozdzwoniły się alarmy. Słysząc było tętent kopyt. Mój mąż i ja musieliśmy uciekać. Gdy przeskoczyliśmy mur i wbiegliśmy do zaułka, mój mąż otworzył kratkę ściekową. Mknęliśmy przez ciemne kanały. Nie zatrzymywaliśmy się przy łódkach. Przepływaliśmy wplaw przez rzeki i kanały i wciąż biegliśmy. Przypadaliśmy do ścian, gnaliśmy przez leśną gęstwinę i dalej, gdzie żadna ręka ludzi nocy nie mogła dosięgnąć naszych futer.

W nocy spaliśmy w spokoju na nagrzaną skalę, która długo trzymała ciepło. Rankiem poczułam umysł Jony napierający na skraj świadomości. Był czymś bezkształtnym w mojej głowie. Odgrodziłam go zapachem lasu. To były moje wspomnienia, wszystkich dni mego życia.

Salvatore – odezwał się mój mąż. – Chyba wiem, gdzie może być.

Gdzie?

Nie było go w mieście. Na pewno wiedział, że go szukamy.

To gdzie był?

Czy pokazywałem ci już górę, na której zabijałem demonowe pomioty, zanim się urodziłaś?

To twoja twarz, zanim się rodzisz?

Czyżby wspomnienia Jony robiły z ciebie Sentę? Czy zaczynasz czarościć, bo za długo przypatrywałaś się życiu Rachel? Możemy tam poszukać albo odpocząć, jeśli go tam nie ma. To tylko przypuszczenie, ale niegdyś łatwo można było się tam ukryć. Mamy nowe czaszki do przebadania.

To tylko dzieci. Nie powinniśmy wzywać Erin z tego powodu. I bez tego znam ich losy, tak zdeformowane i takie krótkie. I wiemy już, kto im to zrobił.

Na wzgórzach, na tych najwyższych, wyliśmy do wilczych watah. Nawoływaliśmy braci ponurymi pieśniami łowców. A oni odpowiedzieli odami do śmierci na wzgórzach, przywołując nas.

Szybko wspięliśmy się na tę górę. Sabachthani na pewno już powiadomiła go, że opuściliśmy miasto. Wezwała swoje zwierzątko do domu.

Jaskinia była pusta, gdy tam dotarliśmy. Klatki dla ptaków zmieniły się w sterty zbutwiałego drewna i rdzy. Znaleźliśmy hamak wiszący w mroku. Miał na sobie zapach Salvatore.

Mój mąż się roześmiał. Me sądziłem, że go tu znajdziemy.

Jeszcze go nie znaleźliśmy.

Jego zapachy były stare. Spał tu. Prześledziliśmy jego ślady, chodząc dokoła w miękkich butach. Zostawił pułapki, w które łapał ptaki i króliki. Własnoręcznie je oprawiał i piekł w rogu jaskini. Jadł też żołędzie ścierane o skałę, dziko rosnące cebule i rozmaryn. Był tu, ale już odszedł.

Położyłam się na jego hamaku, pohuśtałam się trochę.

Nowe czaszki – powiedziałam.

Mój mąż je wyciągnął z sakwy, położył na skałach.

Nie – odparł. – Me trzeba. Oni nic nie wiedzą.

Jesteś pewien?

Przyjrzyj im się raz jeszcze i porównaj z tą od Jony.

Tak zrobiłam. Były zdeformowane, ale nie tylko – były mniejsze.

Dzieci – oceniłam. – Musimy wracać. Zasługują na szybką śmierć. A nie na to, co lord Sabachthani zrobił tym małym dzieciom.

Prześpij się tu trochę. Niech twój umysł odpocznie. Śnij własne sny. Długo pozostawałaś w życiu innych. Przejrzę wspomnienia demonowego pomiotu, z którym miałem do czynienia w młodości. Będę tu spał i przypominał sobie jego życie. Poszukam tam lorda Sabachthaniego.

Poszłam za jego radą.

Wrócimy do miasta głęboką nocą, ale jeszcze nie teraz.

Salvatore żył długo, bardzo długo, zanim go poznaliśmy. Erin przyjdzie po niego i po miasto, które go ukrywało, zburzy wszystkie budynki i wykurzy go z jego kryjówki. A po wszystkim wyrosną tam wysokie złociste słoneczniki. Wilki przepędzą psy i będą rządziły niepodzielnie skalistą ziemią przysypaną gruzem.

Spałam w hamaku i śniłam o górze, gdzie przyszłam na świat. Śniłam o języku mojej matki liżącym moją dłoń.

Śniłam tylko o sobie.

KONIEC